



Wydawnictwo "Śląsk"



JERZY EDIGEY
**MINERVA
-PALACE
-HOTEL**

lesiojot

JERZY EDIGEY

**MINERVA
-PALACE-HOTEL**



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1972

ROZDZIAŁ I

Na Sveavägen

Była godzina za pięć jedenasta. Tak właśnie ustawiły się wskazówki ogromnego zegara na dachu wielkiego domu towarowego „Nordiska”. „Największy zegar świata” — jak go z pewną przesadą nazywają mieszkańcy Sztokholmu. Pobliską, centralną ulicą metropolii Sveavägen sunęły bez przerwy potoki samochodów. Kilka z nich miało niemałe trudności, żeby wyplątać się z tego strumienia pojazdów i skręcić w wąski przejazd pomiędzy dwoma gmachami, w których, jak i na całej Sveavägen, znajdowały się luksusowe sklepy.

Ale na tyłach tych domów towarowych, zbudowanych ze stali, niklu i aluminium, z wielkimi taflami kryształowych wystaw, widok był odmienny. Zupełnie różny od nowoczesnej architektury pięknej ulicy. Tutaj, na niewielkim placyku pokrytym zieloną murawą, stał niski i nieco pokraczny budynek. Okna miał niewielkie, ściany grube i sporządzone z masywnego betonu. Cały ten zaledwie dwupiętrowy gmach otaczało, rzecz prawie nie spotykana w Szwecji, wysokie żelazne ogrodzenie, zakończone w dodatku ostrymi kolcami, z lekka wygiętymi na zewnątrz. Również wszystkie okna w tym domu „zdobiły” stalowe pręty krat, wzmocnione jeszcze gęstą siatką. W żelaznym ogrodzeniu znajdowała się tylko jedna furka. Nie miała klamki. Za nią krótki chodnik z betonowych płyt prowadził do schodów, po paru stopniach kończących się głęboką wnęką. Zamykały ją niskie, ale bardzo solidne drzwi. Małe okienka z obu stron tych podwoi wyglądały jak strzelnice.

Gdyby któryś z cudzoziemców, których tyłu od rana do późnego wieczoru przesuwają się przez Sveavägen podziwiając bogactwo tutejszych wystaw, przypadkowo zajrzał w ten

zaulek, w pierwszej chwili pomyślałby, że tuż za frontem wspaniałej głównej arterii Sztokholmu mieści się jakieś ciężkie więzienie.

Ale to nie więzienie. Te gmachy w Szwecji bardziej przypominają luksusowe pensjonaty niż domy poprawcze. Nie ma w nich prawie nigdy krat, za to jest dużo kwiatów. Nie buduje się więzień w samym centrum miasta, gdzie każdy metr kwadratowy placu kosztuje tysiące koron.

Dopiero mała mosiężna tabliczka, dyskretnie umieszczona koło furtki bez klamki, zdradziłaby cudzoziemcowi tajemnicę. Wygrawerowano na tej tabliczce krótki napis:

SVENSKA ATOM

Teraz, za pięć jedenasta, w dniu czternastego czerwca, furtka stała otworem. Również otwarte były i drzwi prowadzące do wnętrza gmachu. Przy furtce stało dwóch młodych, wysokich i atletycznie zbudowanych Szwedów. W otwartych drzwiach rysowała się sylwetka starszego, siwowłosego mężczyzny w eleganckim ciemnym garniturze. Wejście do budynku ozdobiono dwiema flagami: białą z niebieskim krzyżem oraz biało-czerwoną.

Pod wejście budynku podjeżdżały w parusekundowych odstępach duże, czarne samochody, jakich na całym świecie używa się do oficjalnych wizyt. Jedno z pierwszych aut, które znalazło się przed wejściem, miało na prawym przednim błotniku mały proporzeczek biało-czerwony.

Dwaj urzędnicy stojący przy furtce witali gości wysiadających z samochodów niskimi ukłonami i gestem ręki zapraszali do wnętrza. Tu, w drzwiach, starszy siwowłosy mężczyzna, pełniący rolę gospodarza tego gmachu, miał dla każdego przybysza nie tylko szczery uścisk dłoni, ale także kilka miłych słów. Dwie śliczne sekretarki konwojowały gości, prowadząc ich do sporej sali na pierwszym piętrze. W samym jej środku stał długi, szeroki stół, pokryty zielonym sukniem. Na nim leżały skórzane, jeszcze zamknięte teczki. Przy stole, po jego drugiej stronie, ustawiono jedynie dwa fotele. Nikt z gości nie siadał, bo zresztą i na czym? W sali poza tymi dwoma fotelami nie było na czym spocząć.

Przybyli tworzyli więc niewielkie grupki dyskutujące po cichu. Z boku stołu, pod ścianą, znajdowała się niewielka mównica.

Zaproszenia na tę uroczystość wyraźnie podawały, że zacznie się ona o godzinie jedenastej. A więc za dwie minuty jedenasta sam prezes wprowadził na salę ostatniego gościa. Właściwie można było już zaczynać, ale przecież do podanego terminu brakowało sto dwadzieścia sekund...

Siwowłosy mężczyzna raz jeszcze spojrzął na zegarek. Sekundnik dochodził do dużej wskazówki ustawionej równo na cyfrze „dwanaście”. Za kilka sekund godzina jedenasta. Prezes uznał, że teraz można zaczynać. Przeprosił swoich rozmówców i wszedł na mównicę.

— Mam zaszczyt powitać naszych drogich gości — powiedział — witam przede wszystkim jego ekscelencję ambasadora Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — tu siwowłosy dziwnie zgrzytnął zębami i gwizdnął, a potem wydał odgłos jak gdyby się dławił, co miało oznaczać polskie nazwisko, tak trudne do przejścia przez szwedzkie gardło. — Witam też jego ekscelencję ministra królestwa Szwecji Gunara Henningssona, a także pana prezydenta¹ Polskiego Komitetu do Spraw Energii Atomowej oraz naczelnego dyrektora Polskiego Zjednoczenia Materiałów Rozszczepialnych. Zebraliśmy się tu w bardzo ważnej dla nas chwili, aby podpisać umowę licencyjną pomiędzy Svenska Atom a Polskim Komitetem do Spraw Energii Atomowej. Proszę jego ekscelencję ambasadora o zabranie głosu.

Prezes ustąpił miejsca na mównicy ambasadorowi polskiemu, który z namaszczeniem odczytał krótką deklarację:

— Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — stwierdził ambasador — przywiązuje wielką rolę do pokojowego współistnienia i współpracy pomiędzy państwami bez względu na ich ustroje. Rząd PRL uważa również, że energia

¹ język szwedzki nie zna rozróżnień „prezes — przewodniczący, prezydent”, dla oznaczenia wszystkich tych funkcji używa się jedynie terminu „prezydent”.

atomowa powinna służyć ludzkości wyłącznie w celach pokojowych. Kierowany tymi względami rząd PRL oświadcza uroczyście, że wszelkie materiały rozszczepialne uzyskane i wyprodukowane w Polsce na podstawie licencji udzielonej Polskiemu Komitetowi do Spraw Energii Atomowej przez Svenska Atom będą użyte jedynie i wyłącznie w celach naukowych i pokojowych. Rząd PRL umożliwi Svenska Atom kontrolę produkcji opartej o szwedzką licencję. Tego rodzaju kontroli produkcji atomowej rząd PRL nie uważa i nie będzie w przyszłości uważał za jakąkolwiek ingerencję, naruszającą suwerenność państwa. Rząd PRL, jak to już niejednokrotnie dawał wyraz w swoich oświadczeniach, dąży, aby w ogóle cała światowa produkcja i zużycie materiałów rozszczepialnych służyły tylko celom pokojowym i były prowadzone pod kontrolą Światowej Agencji Atomowej.

Ambasador lekko się skłonił i przy szmerze oklasków opuścił mównicę, na którą z kolei wszedł minister Gunnar Henningsson:

— Rząd Królestwa Szwecji — deklarował minister

— z prawdziwym zadowoleniem przyjmuje oświadczenie złożone przez ekscelencję ambasadora w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Rząd Królestwa Szwecji wielokrotnie podkreślał, że również stoi na stanowisku, iż energia atomowa musi służyć wyłącznie celom pokojowym. Tradycyjna neutralność Szwecji, która popiera wszelkie inicjatywy pokojowe, jest najlepszym świadectwem tych poglądów. Nie jest tajemnicą, że szwedzki przemysł, zwłaszcza przemysł metali rozszczepialnych, niejednokrotnie odrzucił bardzo korzystne oferty, które klóciły się z zasadą neutralności naszego państwa. Z tym większą satysfakcją witamy dzisiaj układ pomiędzy Svenska Atom a Polskim Komitetem do Spraw Energii Atomowej. Proszę przedstawicieli obu stron, aby zechcieli złożyć swoje podpisy na umowie.

Znowu rozległ się szmerek oklasków. Sekretarki podeszły do stołu i otworzyły skórzane teczki leżące na zielonym suknie. Obie panie trzymały w rękach złote pióra, które podały zbliżającym się przedstawicielom obu stron.

Siwowłosy prezes Svenska Atom i przewodniczący Komitetu do Spraw Energii Atomowej złożyli swoje podpisy na pergaminie umowy. Teraz sekretarki zamieniły obydwu panom teczki. Jeszcze dwa podpisy i umowa została zawarta. Szwed i Polak uścisnęli sobie ręce. To samo zrobili minister rządu szwedzkiego i ambasador polski. Pozostali uczestnicy uroczystości znowu pokwitowali ten przyjacielski gest nową porcją oklasków.

A tymczasem przystojne dziewczyny nie próżnowały. Szybko otworzyły szerokie, rozsuwane drzwi, łączące salę obrad z sąsiednim pomieszczeniem. Na długim stole, okrytym śnieżnobiałym obrusem i ozdobionym bukietami kwiatów, stały tace z kieliszkami i półmiski z miniaturowymi kanapkami z kawiolem i łososiem. Poza tym kryształowe miseczki z palonymi migdałami.

— Proszę, uczcijmy dzisiejszy dzień kieliszkiem szampana — prezes zapraszał gości do salonu przyjęć.

Sekretarki, pełniąc rolę gospodyń, podawały napełnione kieliszki i częstowały kanapkami.

Minister wzniósł toast za pomyślność i współpracę gospodarczą obydwu krajów. Ambasador polski odpowiedział podobnym przemówieniem. Znowu uściski dłoni i uśmiechy. Jak to na każdym tego rodzaju raucie.

Siwowłosy prezes trzymając w ręku kieliszek z pieniącym się płynem jeszcze i tutaj pamiętał o interesach. Wyjaśniał przewodniczącemu polskiej delegacji:

— Plany i rysunki robocze przygotujemy w ciągu tygodnia. Właściwie mamy je już prawie gotowe. Tak jak się umówiliśmy, dostarczymy je waszej misji handlowej. A ściśle, za dziesięć dni oczekujemy przyjazdu dwóch waszych specjalistów. Zapoznamy ich z całym przebiegiem produkcji i wtajemniczymy w jej sekrety. Tylko ci dwaj ludzie będą znali tę tajemnicę, tak jak w Szwecji zna ją zaledwie kilka osób. To jest nieodzowne. Sekret, który jest wiadomy więcej niż dziesięciu ludziom, bardzo szybko przestaje być sekretem.

— Doskonale to rozumiem, panie prezesie — zapewnił Polak.

— Nawet nie podkreślam, że muszą to być ludzie ze wszechmiar godni zaufania.

— Niech się pan nie obawia — przewodniczący komitetu uśmiechnął się w odpowiedzi — przyślemy wam naszych najlepszych specjalistów w tej dziedzinie. Profesora Romana Jabłoniowskiego i inżyniera Stanisława Malinowskiego.

— Słyszałem dużo o profesorze Jabłoniowskim — przytaknął Szwed. — Czytałem jego różne prace ogłaszane w miesięcznikach angielskich, francuskich i rosyjskich. Cieszę się, że poznam go osobiście. Niecierpliwie będziemy oczekiwali obydwu panów.

— Zjawią się w ściśle określonym terminie — zapewniał Polak — niech pan prezes będzie o to spokojny. Nam również zależy na jak najszybszym zorganizowaniu i opanowaniu produkcji. Na jak długo oblicza pan pobyt naszych uczonych w Sztokholmie?

— Sądę, że na razie dwa tygodnie wystarczą. Oczywiście uzyskane informacje będziecie musieli sprawdzać laboratoryjnie a później w skali półtechnicznej. Wtedy też będziecie musieli utrzymywać z nami kontakt roboczy. Zgodnie z umową przyślemy wam także naszych fachowców. Ci ludzie, którzy tu teraz przyjadą, zapoznają się przede wszystkim z tajemnicami produkcji, stanowiącymi najściślejszy sekret naszej firmy. Bez tego nikt nie ruszy z miejsca.

— Rozumiem — zgodził się Polak — zdaję sobie sprawę, że przystosowanie licencji do naszych warunków nie będzie sprawą łatwą. Sądę jednak, że z waszą pomocą damy sobie radę.

— A więc za tę współpracę. Skool — Szwed podniósł swój kieliszek na wysokość głowy i wpatrywał się w oczy Polaka.

— Skool — powtórzył przewodniczący Komitetu również unosząc swój kryształ i zatapiając spojrzenie w twarzy Szweda.

— Dla waszych wysłanników zamówię jutro pokój „Minerva-Palace-Hotel”. Przedstawiciel Svenska Atom będzie ich oczekiwał na lotnisku.

— Mam nadzieję — odpowiedział kurtuazyjnie Polak, — że niedługo dane mi będzie powitać pana prezesa u nas w Warszawie.

— Bardzo dziękuję. Przyjadę tam z prawdziwą przyjemnością.

Wskazówki elektrycznego zegara zbliżyły się do godziny dwunastej. Ambasador polski pierwszy zaczął się żegnać z gospodarzami. Siwowłosy Szwed ceremonialnie odprowadził gościa do samych drzwi. Dwaj młodzi urzędnicy żegnali go przy stalowej furcie. Czarna limuzyna z biało-czerwonym proporczykiem już czekała.

Za przykładem ambasadora poszli i inni Polacy oraz goście szwedzcy. Pięć minut po godzinie dwunastej w gmachu Svenska Atom nie było już nikogo obcego. Sekretarze zniknęli we wnętrzu budynku, drzwi zamknięto, a stalową furtkę jak zwykle zatrzaśnięto.

Z góry obliczono, że cała uroczystość odbędzie się pomiędzy godziną jedenastą a dwunastą. W Szwecji zaś punktualność jest nie tylko grzecznością królów, ale również i podstawową cechą codziennego życia.

Po wyjściu ostatniego gościa naczelny dyrektor Svenska Atom udał się do swojego gabinetu. W chwilę później zjawiała się tam jedna z sekretarek. Ta sama, która z takim miłym uśmiechem częstowała gości szampanem. Teraz dziewczyna miała mocno zaaferowaną minę.

— Co się stało, Karin? — zapytał dyrektor. Był dzisiaj w świetnym humorze. Rokowania z Polakami trwały dosyć długo. Obie strony musiały w nieskończoność uzgadniać każdy szczegół ze swoimi rządami. Ale wreszcie rozmowy doprowadzono do zwycięskiego końca. Umowa była bardzo korzystna dla Svenska Atom, chociaż, naczelny dyrektor był o tym gorąco przekonany, Polacy również zrobili doskonały interes. Na same badania wydaliby miliardy, a i to nie wiadomo jakie rezultaty zdołaliby uzyskać.

— Bardzo przepraszam, panie dyrektorze, ale nie zgadza mi się ilość kieliszków do szampana.

— Stłukł się któryś? Nie martw się dziecko, to drobiazg.

— Ja wiem, że... Nie, nic się nie stukło, przeciwnie jest ich więcej!

— Nie rozumiem, Karin, mów jaśniej.

— Pan dyrektor ustalił, że na uroczystości będzie dwadzieścia siedem osób. Przygotowałam dwadzieścia siedem kieliszków do szampana. Sama je roznosiłam, częstując kolejno wszystkich obecnych. A jednego kieliszka mi zabrakło. Dla pana Rune Noretunda nie starczyło. Musiałam szybko sięgnąć do szafki po dwudziesty ósmy kieliszek.

— Coś ci się dziecko pomyliło. Przecież tu, na moim biurku, leży pełna lista osób obecnych na uroczystości. Dwadzieścia sześć nazwisk. A razem ze mną dwadzieścia siedem.

— Nie, panie dyrektorze. Kiedy sprzątałam po przyjęciu kieliszki było ich dwadzieścia osiem. Nie chowałam ich. Do tej pory stoją na szafce. Może pan dyrektor sam sprawdzić. Trzy razy liczyłam. Dwadzieścia osiem.

— To zupełnie proste. Byłyście tam dwie. Ty i Ranghild Widlund. Na pewno ona też chciała napić się szampana i wzięła z tacki kieliszek.

— Nie, panie dyrektorze. Ani ja, ani Ranghild nie ośmieliłybyśmy się coś takiego zrobić. Fröken² Widlund roznosiła wśród gości kanapki.

— Dziękuję ci, Karin — dyrektor ciągle się uśmiechał — spostrzegawcza z ciebie dziewczyna. Svenska Atom będzie miała pociechę z tak pilnej pracownicy. Na pewno poleciłem któremuś z naszych inżynierów, aby wziął udział w tej małej uroczystości, a później zapomniałem wpisać go na listę i poinformować ciebie, że będzie nie dwadzieścia siedem osób, lecz o jedną więcej. Moja wina, bardzo cię przepraszam.

Przystojna blondynka obdarzyła szefa czarownym uśmiechem, kiwnęła główką i wyszła z pokoju.

Naczelnny dyrektor Svenska Atom przestał się już uśmiechać. Długo wpatrywał się w listę zaproszonych gości. Nie wszystkich cudzoziemców znał, a tych z ministerstwa nie

2 Fröken — po szwedzku — panna.

wszystkich mógł zapamiętać. Ale pracowników własnej instytucji rozróżniał przecież doskonale. Usiłował więc wywołać w swojej pamięci te twarze, z którymi spotkał się zaledwie przed godziną.

Przy każdym nazwisku stawiał „ptaszka”. Nie, nie mógł się pomylić. Urzędnicy Svenska Atom wyznaczeni do udziału w uroczystości podpisania umowy byli obecni. Ale ani jeden mniej, ani jeden więcej.

Może przybył ktoś z ministerstwa, kogo przedtem nie awizowano? Takich rzeczy nie robi się w Szwecji. Tym bardziej tam, gdzie ma się do czynienia z tajemnicami produkcji atomowej.

Może więc Polacy przybyli w liczbie większej niż to przewidywano? Ci dyplomaci są nieraz nieobliczalni i uważają, że wszystko im wolno. Starszy pan usiłował przypomnieć sobie sylwetki cudzoziemców.

Ambasador? Tego zna, widywał go niejeden raz na rozmaitych oficjalnych spotkaniach. Ambasador, dyrektor doskonale to pamięta, przybył czarnym volvo w towarzystwie pierwszego sekretarza ambasady. Ten również nie był obcy naczelnemu dyrektorowi. Prezydent Polskiego Komitetu do Spraw Energii Atomowej i dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Materiałów Rozszczepialnych byli dobrymi znajomymi wyższych urzędników Svenska Atom. Przecież rozmowy, w których brali oni udział w towarzystwie pięciu rzeczoznawców, toczyły się ponad rok. Tak, ci wszyscy panowie byli obecni na uroczystości. Cała siódemka. Ale rzeczoznawcy przybyli dużo wcześniej, bo jeszcze uzgadniano pewne klauzule załączników do umowy. A obaj prezydenci przyjechali jednym wozem i nikt im nie towarzyszył. Naczelnemu dyrektorowi dobrze utkwiał ten moment w pamięci. Teraz podniósł słuchawkę:

— Proszę — polecił — żeby natychmiast do mnie przyszli panowie Börjesson i Leisjö. Czekam na nich.

Za chwilę dwaj młodzi ludzie zameldowali się w gabinecie.

— Przypomnijcie sobie — dyrektor wskazał ręką, aby zajęły miejsca naprzeciwko jego biurka — kto i w jakiej kolejności

przyjeżdżał na dzisiejszą uroczystość.

— Najpierw — odezwał się Helmer Börjesson — przyjechało trzech panów z ministerstwa. Dużym, czarnym mercedesem.

— Potem podjechało auto z dwoma Polakami — przypomniał Leisjö. — To był nasz wóz wysłany po nich do hotelu.

— Tak — zgodził się naczelny dyrektor — przyjechali nim dwaj prezydenci. — To mówiąc na leżącej przed nim liście zaproszonych gości dyrektor postawił pięć „ptaszków”.

— Z kolei — na zmianę informował Börjesson — podjechał samochód polskiego ambasadora, a za nim jeszcze jeden wóz z trzecim Polakiem. Obydwa samochody zajęły przed nasz budynek jednocześnie, tak że auto pana ambasadora zatrzymać się musiało nieco za furtką. Ci trzej goście weszli razem.

— Tak — dyrektor był zaskoczony — przypominam sobie, że z ambasadorem wszedł pierwszy sekretarz ambasady i jeszcze jeden gość. Średniego wzrostu, blondyn, włosy zaczesane z przedziałkiem. Ale, ale, kiedy oni wchodzili na górę, rozmawiali po angielsku? To chyba nie był Polak?

Dwaj młodzi ludzie mieszała się. Powoli zaczęli rozumieć o co chodzi. Jeżeli ten trzeci nie był członkiem delegacji czy też ambasady polskiej, to na pewno nie należał również do grupy wyższych urzędników ministerstwa. A to by znaczyło, że do gmachu Svenska Atom wpuszczono obcego człowieka.

— A kto przyjechał po nich?

— Pan minister. On również sam siedział w swoim wozie. Po ministrze przybyło jeszcze dwóch przedstawicieli ministerstwa. I to już wszyscy.

Naczelny dyrektor znowu postawił „ptaszki” przy nazwiskach, ale dla jednego „ptaszka” zabrakło pozycji na liście. Dla . tego człowieka, który podjechał samochodem tuż za wozem ambasadora. Rozmawiając z ambasadorem, bezczelnie wlaź na górę. Nikt nie zapytał go o zaproszenie, bo przecież szedł w towarzystwie przedstawiciela zaprzyjaźnionego państwa i każdy był przekonany, że należy do świty ambasadora.

Kim był tajemniczy nieznajomy?

Ze zrozumiących względów zarówno fakt podpisania umowy o współpracy atomowej polsko-szwedzkiej oraz udzieleniu przez Svenska Atom licencji na wzbogacanie rud uranu, jak też sama uroczystość miały być utrzymane w ścisłej tajemnicy.

A jednak „prowincjonalne” pismo, gazeta „Kvällsposten”, ukazująca się jako popołudniówka w Malmö, już na drugi dzień podała szczegółowy opis całej uroczystości, nawet z ujawnieniem oświadczeń przedstawicieli obydwu rządów. Obszerny artykuł sygnowany był tylko imieniem „Sven”. Ale każdy, kto choć trochę orientował się w stosunkach panujących w prasie szwedzkiej, wiedział, że za tym imieniem kryje się najsławniejszy bodaj reporter Skandynawii, Sven Breman.

Po rewelacjach „króla reporterów”, naczelny dyrektor Svenska Atom odebrał osobisty telefon od jego ekscelencji pana ministra. Nie była to dla dyrektora przyjemna rozmowa. Na próżno gęsto się tłumaczył, że nikt z jego ludzi nie ujawniłby tak pilnie strzeżonej tajemnicy. Minister w to nie uwierzył.

W tej sytuacji, oficjalnej szwedzkiej agencji prasowej nie pozostało nic innego, jak tylko ogłosić krótki, urzędowy komunikat o podpisaniu umowy. Wiadomość tę powtórzyły wszystkie wielkie agencje, a za nimi cała prasa, różnorodnie komentując to niezwykle wydarzenie.

ROZDZIAŁ II

Złot w Sztokholmie

Warszawa, 17 czerwca, godzina 10.00

Na pierwszym piętrze dużego gmachu, za biurkiem w jednym z gabinetów, siedział człowiek w wieku około czterdziestu lat. Nosił dość niedbale uszyty popielaty garnitur. Materiał z trudem opinał figurę, którą każdy krawiec określiłby jako „nieco przytęgą”. Okrągłe oblicze mężczyzny i jego sympatyczne niebieskie oczy rzucające dobroduszne spojrzenia usposabiały każdego bardzo życzliwie do tego „grubaska”.

Niejedyn z ludzi, którzy mieli do czynienia z pułkownikiem Stanisławem Mogajskim, zwiódł się tymi pozorami. Zbyt późno dla siebie przekonywał się, że ten wysoki w hierarchii oficer kontrwywiadu jest człowiekiem wymagającym, nie dającym się zbyć byle czym i tryskającym energią. Przeciwnik, z którym bardzo niebezpiecznie jest krzyżować swoją szpadę.

Teraz Mogajski siedział za biurkiem i z niecierpliwością bębnił palcami po blacie. Podniósł słuchawkę.

— Kapitana Michała Wyganowicza ciągle nie ma?

— Kapitan jeszcze nie wrócił — informowała chyba po raz trzeci sekretarka — jak tylko się zjawi, zaraz go przyślę do pułkownika.

Ale dopiero po pół godzinie drzwi gabinetu pułkownika otworzyły się i stanął w nich człowiek wzrostu więcej niż średniego, przystojny, o podłużnej twarzy, lekko falujących włosach i szarych, spokojnych oczach.

— Nareszcie! — ucieszył się pułkownik. — Siadajcie, kapitanie.

— Bardzo przepraszam, pułkowniku — usprawiedliwiał się Wyganowicz — byłem zajęty na Okęciu. Wracam prosto

stamtąd. Sekretarka powiedziała mi, że pułkownik szuka mnie od przeszło godziny.

— Właśnie, właśnie. Mam dla was ciekawe zajęcie.

— Ooo? — zdziwił się kapitan. — To co będzie z moim Okęciem?

— Przekażecie sprawę majorowi Tomorowiczowi — odpowiedział pułkownik. — A nareszcie przyda się, być może — wasza znajomość portugalskiego.

— Jakiś wyjazd do Portugalii?

— Niekoniecznie. Nie tylko w Portugalii ludzie mówią tym językiem.

— Jeszcze w koloniach, no i... w Brazylii. A zatem Brazylia!

— w głosie kapitana pułkownik wyczuł pewne radosne podniecenie.

— Nie. Nie Brazylia, raczej Brazylijczyk.

— Brazylijczyk? Rozumiem, dlaczego pułkownik kazał mi przed trzema tygodniami zapaść węża. Wszyscy koledzy śmieją się ze mnie, patrząc na tę szczotkę, którą wyhodowałem pod nosem.

— Czas pomówić poważnie — zauważył starszy oficer. — Czytaliście w tych dniach w prasie informację o podpisaniu umowy polsko-szwedzkiej na temat współpracy w dziedzinie energii jądrowej?

— Tak — potwierdził Wyganowicz — były małe wzmianki. Zdaje się, że przed dwoma dniami. A może wcześniej? Nie przywiązywałem do tej wiadomości większej wagi.

— Istotą podpisanej umowy jest licencja, jaką Svenska Atom udziela naszemu przemysłowi na oryginalny sposób wzbogacania rud uranowych — wyjaśniał pułkownik. — W porównaniu ze stosowanymi dotychczas, jest to metoda rewelacyjnie tania. Jak kapitanowi zapewne wiadomo, nasze rudy uranowe są stosunkowo ubogie, tak że ich eksploatacja była do tej pory prawie nieopłacalna. Zakupiona licencja radykalnie zmienia sytuację.

— To wszystko rozumiem, ale nie wiem, jaka będzie w tym moja rola i co ma z tym wspólnego Brazylia?

— Oczywiście, że nic. Według informacji naszych

specjalistów od atomistyki, podstawowym czynnikiem szwedzkiej metody jest skład chemiczny katalizatora, powodującego oddzielenie się uranu od innych minerałów skały uranowej. Wszystkie inne problemy procesu wzbogacania rudy uranowej nie są zagadnieniem, którego nie potrafiliby rozwiązać uczeni większości państw europejskich, nie mówiąc już o specjalistach ze Stanów Zjednoczonych. Natomiast próby zastosowania odpowiedniego katalizatora udały się jedynie Szwedom.

— Na pewno na tym dobrze zarobią.

— Naturalnie, ale w tym przypadku chodzi nie tylko o pieniądze. Szwedzi są narodem tradycyjnie już neutralnym. Nie leży w ich interesie narażanie się któremukolwiek z wielkich mocarstw. A te państwa miałyby za złe Szwecji, gdyby rewelacyjną metodę udostępniła jednemu z nich. Dlatego też Svenska Atom zgadza się sprzedać licencję jedynie tym, którzy zobowiążą się, że wyprodukowany uran posłuży wyłącznie celom pokojowym. Poza tego rodzaju zobowiązaniem, Szwedzi obwarowują umowę istotnymi warunkami, przewidującymi ścisłą kontrolę produkcji i żądają wyliczenia się z każdego grama uranu.

— Dla nas to przecież nie jest przeszkodą. Polska nie zamierza produkować broni atomowej — uśmiechnął się Michał Wyganowicz.

— Dlatego też strona polska przyjęła warunki szwedzkie i podpisała umowę. To samo uczyniły także i niektóre z państw kapitalistycznych. Nie będę wam, kapitanie, streszczał szczegółowo, paragraf po paragrafie tej umowy, wystarczy że powiem, iż Szwedzi wtajemniczą w skład katalizatora i sposób jego produkcji tylko dwóch polskich specjalistów. Są nimi profesor Roman Jabłoniowski i inżynier Stanisław Malinowski. Tym ludziom nie wolno zdradzić sekretu nawet swoim najbliższym współpracownikom. Obydwaj uczeni za kilka dni wyjeżdżają do Szwecji, gdzie w ciągu paru tygodni zdobędą potrzebne im wiadomości.

— Rozumiem wszystko, ale nadal nie widzę w tym roli dla

siebie — zauważył kapitan.

— A to dlatego, że ciągle mi przerywacie. Otóż niewątpliwie wykradzenie Szwedom tajemnicy katalizatora jest marzeniem wielu wywiadów. Svenska Atom na pewno odpowiednio potrafiła zabezpieczyć się przeciwko tym zakusom. Ale chwila, kiedy cenna recepta będzie zmieniała właściciela i ze skarbcza na Sveavägen będzie musiała przewędrować do pancernych kas Komitetu do Spraw Energii Atomowej, jest najbardziej krytyczna i może wydać się tym wywiadowi wspaniałą okazją do zdobycia tak pilnie strzeżonej tajemnicy. Bez kupowania licencji i, co w tym przypadku jest jeszcze ważniejsze, bez podpisywania odpowiednich gwarancji.

— Sądzę, że Szwedzi zapewnią naszym delegatom odpowiednią obstawę — zauważył Michał Wyganowicz.

— To leży w ich własnym, dobrze zrozumiałym interesie.

— Nie zapominajcie, kapitanie, że w Szwecji, jak w każdym innym państwie, istnieją nie tylko „gołębie”, ale i „jastrzębie”. A tych, jak wskazuje zawsze praktyka, najwięcej jest właśnie w wojsku i władzach bezpieczeństwa. Mogę się mylić i chciałbym, żeby tak było, ale przypuszczam, że w Królestwie Trzech Koron niektórzy byliby nawet zadowoleni, gdyby komuś udało się „okraść komunistów” i zdobyć wzór chemiczny katalizatora. Dlatego też musimy się zabezpieczyć i na własną rękę, a nie liczyć tylko na sprawność naszych sąsiadów z drugiej strony Bałtyku.

Pułkownik Stanisław Mogajski otworzył jedną z szuflad swojego biurka i wyjął z niej na pozór zwykłą, skórzaną teczkę. Oficer otworzył ją i dopiero wtedy zauważył, że jest ona zaopatrzona w stalowy łańcuszek zakończony bransoletką. Po zapięciu bransoletki na przegubie dłoni, nikt nie wyrwie teczki z ręki jej właściciela.

— To nie jedyna zaleta tej teczuszki — roześmiał się pułkownik. — Mogę was zapewnić, kapitanie, że tej skóry nie przetnie żaden nóż ani nawet nożyce do cięcia stali. Nie przebije jej także kula pistoletu. Zameczki wyglądają tak niewinnie, że zdawałoby się, iż wystarczy kawałek drutu, aby

je otworzyć, a tymczasem oprą się one niejednemu wytrychowi. Dodam jeszcze, że i mały pożar nie jest zbyt groźny dla dokumentów znajdujących się wewnątrz.

— Słowem, taka przenośna kasa pancerna.

— Tak jest. A przy tym niewiele cięższa od normalnej teczki. Ma też dodatkową dla nas ważną tajemnicę.

— Jaką?

Pułkownik starannie zamknął teczkę i znowu otworzył swoje biurko. Tym razem wyjął z niego małe, tranzystorowe radio w skórzanym, dość zniszczonym futerale. Podał je kapitanowi ze słowami:

— Jak pan widzi, normalny aparat. Na zewnątrz niczym się nie różni od innych tego typu seryjnych radioaparatów japońskiej produkcji. Proszę, niech pan złapie jakąś stację. Może być Warszawa I albo coś na falach średnich.

Wyganowicz pokręcił gałką i w gabinecie rozległ się męski głos, tłumaczący, jak niesłychanie ważna jest budowa silosów dla kiszonek i odpowiednie nawożenie łąk.

— A teraz niech kapitan uważa.

Mogajski otworzył teczkę. Aparat zaczął wydawać krótkie, wysokie gwizdy. Pułkownik zatrzasnął zameczek. Radio znowu nadawało pogadankę rolniczą.

— Taki sam sygnał alarmowy rozlega się, kiedy do zameczka ktoś będzie usiłował włożyć jakiś klucz albo wytrych.

— Naturalnie poza kluczem właściwym — domyślił się kapitan.

— Nie. Klucza właściwego w ogóle nie ma. Ten otworek w zamku służy do wprowadzenia w błąd ludzi nie wtajemniczonych.

— Jak to? Czyżby teczkę można było otworzyć jedynie przez naciśnięcie na wieczko zamka?

— Tak jest. Ale przedtem trzeba spełnić dwa istotne warunki. Przecież przed chwilą otwierałem teczkę. Nic pan nie zauważył?

— Ze wstydem przyznaję, że nie.

— Trzeba — wyjaśnił pułkownik — przedtem odpowiednio

ścisnąć palcami dwa rogi teczki. Dopiero wtedy wieczko da się uchylić. W przeciwnym razie zacznie działać sygnał alarmowy.

— Przy obręczy, która zamyka się na przegubie dłoni, widzę cztery kółka. To pewnie zamek liczbowy, bo dostrzegam w nich drobne cyferki.

— Tak. Ma pan rację. Postanowiliśmy, że teczka musi mieć zamki otwierane bez klucza, natomiast jej właściciel zawsze będzie miał w kieszeni pęk bardzo skomplikowane wyglądających kluczyków. Gdyby złodziej go okradł, spróbuje dopasować któryś z nich do zameczka.

— A w ten sposób uruchomi urządzenie alarmowe. Dobrze pomyślane.

— Ponieważ mamy do czynienia z uczonymi, a ci bardzo często są ludźmi roztargnionymi, zamek cyfrowy łańcuszka nastawiony został na datę bitwy pod Grunwaldem. Nie grozi więc niebezpieczeństwo, że profesor Jabłoniowski zapomni kombinacji cyfr i nie będzie mógł zdjąć teczki z ręki.

— Nie byłbym, pułkowniku, takim optymistą. Uczony może pamiętać, że zamczyk otwiera się datą jakiejś bitwy. Ale zapomni, że właśnie chodzi o Grunwald. Będzie nastawiał cyfry Odsieczy Wiedeńskiej albo nakręcał daty innych, słynnych batalii. A niestety, w naszej historii nie brakuje bitew. Jest ich tam nawet za dużo.

— To prawda. Miejmy jednak nadzieję, że nie będzie tak źle. Ci, co tę teczkę zrobili, solidnie się nad nią napracowali. Zwłaszcza nad tym sygnałem alarmowym.

— Bardzo dowcipne — zauważył Wyganowicz. — Jaki zasięg ma radiostacja nadawcza zmontowana w tej teczce?

— Około jednego kilometra.

— A czy poza sygnałem alarmowym można nadawać i rozmowę?

— Kapitan chciałby, żeby tam był jeszcze i zegarek z wodotryskiem? — roześmiał się pułkownik. — Na przyszłość uwzględnimy te życzenia.

— Na jak długo starczą baterie?

— Praktycznie biorąc, na nieograniczony czas, bo same się

ładują pod wpływem światła. A w waszym radiu jest akumulator, który trzeba doładowywać normalnie z kontaktu. Tak jak we wszystkich tego rodzaju aparatach.

— Jak to w moim? — zdziwił się Wyganowicz.

— To właśnie prezent dla was, kapitanie. Wyjeżdżając weźmiecie ze sobą to cacko. A teczkę otrzyma profesor Roman Jabłoniowski. W niej będzie przechowywał tajemnice, z którymi zapoznają go Szwedzi. Na ulicy Jabłoniowski zabezpieczać ma teczkę łańcuszkiem na przegubie dłoni. Natomiast w swoim pokoju albo będzie ją przypinał do rury kaloryfera, albo, jeśli w tym hotelu nie ma tego rodzaju urządzeń, choćby do nogi stołu. A wtedy kapitan będzie czuwał nad bezpieczeństwem tej teczuski.

— To znaczy, że mam wyjechać do Sztokholmu? — domyślił się kapitan.

— No, nie od razu i nie wprost. Sądzę, że nie pogniewałby się pan, gdybym mu zaproponował przedtem parodniowy wypad do Paryża?

— Do Paryża? — zdziwił się Wyganowicz.

— Tak. Żeby trochę zmienić skórę. Na przykład z polskiego kapitana przemienić się w bogatego jubilera z Brazylii?

— A jubiler z kolei pojedzie do Szwecji?

— Widzę, że zrozumieliśmy się — przytaknął Mogajski.

Pułkownik schował swoją „podręczną kasę pancerną” do biurka, by wydobyć z niego cieniutką książeczkę — paszport zagraniczny, dużą kopertę brązowego koloru oraz barwną pocztówkę przedstawiającą fragment jakiegoś parku z fontanną na pierwszym planie.

— Niech kapitan teraz uważnie słucha. Po przyjeździe do Paryża zatrzyma się pan w Hotelu Neapolitańskim, gdzie zresztą ma pan zarezerwowany pokój. To zdjęcie przedstawia fragment Ogrodu Luksemburskiego. Może pan je ze sobą zabrać. Na ławce, z lewej strony fontanny, będzie pan siedział codziennie, od godziny dziesiątej do dwunastej, z planem miasta Paryża na kolanach. Przypuszczam, że te dyżury potrwać najwyżej dwa, trzy dni. Tam podejdzie do pana człowiek, już na pierwszy rzut oka wyglądający na

południowca i poprosi, aby wytłumaczyć mu na planie, w jaki sposób najlepiej dostać się na Rue de Rivoli. Za udzieloną informację zapłaci panu monetą jednofrankową; wtedy pan wyda mu pięćdziesiąt centymów reszty. Również w jednej monecie. Południowiec musi jeszcze odpowiedzieć: „Dziękuję, to mi się przyda, żeby wrzucić do fontanny.” Obaj będziecie mówili po angielsku. Dopiero po tej całej ceremonii przejdzie pan na język portugalski.

— Co mam mu powiedzieć?

— Po prostu, że pan na niego czekał i cieszy się ze spotkania. Dodam, że Brazylijczyk będzie do pana bardzo podobny. To zresztą zadecydowało o wyborze tej kombinacji. To nasz zaufany człowiek. On już pana wtajemniczy we wszystkie szczegóły handlu szmaragdami.

— Szmaragdami?! — w głosie Wyganowicza zabrzmiało nieklamane zdumienie.

— Tak. Brazylijczyk przywiózł do Europy piękną kolekcję szmaragdów, którą będzie ofiarowywał jubilerom paryskim i w Sztokholmie.

— A ja mam być jego pomocnikiem? — domyślił się Wyganowicz.

— Nie — zaprzeczył pułkownik. — Będziecie, kapitanie, właśnie tym Brazylijczykiem.

— Ja?!

— Po prostu, pan Diego de Periera, tak się nazywa nasz przyjaciel, wtajemniczy was we wszystkie arkana handlu szmaragdami, przekaże swoją kolekcję i zamienicie się paszportami. Brazylijczyk stanie się Michałem Wyganowiczem i wróci do Polski, zaś pewien oficer kontrwywiadu, już jako Diego de Periera, uda się do Sztokholmu.

— Z tymi klejnotami? — kapitan nie był zachwycony taką perspektywą.

— Tak. Z klejnotami. Będą się znajdowały w etui wyłożonym aksamitem i schowanym do podobnej teczki jak ta, którą wam pokazywałem. Naturalnie bez radiostacji alarmowej. To zupełnie niepotrzebne, bo klejnoty będziecie

codziennie deponowali w skarbcu hotelowym i to tak, aby jak najwięcej osób widziało te szmaragdy.

— A jeśli zechcą je kupić ode mnie? — przestraszył się Wyganowicz.

— Tym lepiej dla pana Periera, który poza oddaniem nam cennej przysługi zrobi jeszcze dobry interes. Wszystkie fachowe wskazówki dotyczące klejnotów dostaniecie od jubilera. W Sztokholmie zamieszkacie w „Minerva-Palace-Hotel” ale nie za blisko pokoju zajmowanego przez naszych uczonych. To by mogło wzbudzić podejrzenie. Wasza głowa w tym, aby rozszyfrować zarówno hotelowych gości, jak i służbę. A także mieć baczenie na to, co dzieje się z naszymi rodakami.

— A łączność?

— Broń Boże przez nasze przedstawicielstwa. Od momentu zamiany paszportów jesteście Brazylijczykiem Diego de Periera i w ogóle niewiele słyszeliście o Polsce. Na Drottningholmsvägen przy Linjensplan, tylko nie pomylcie tej ulicy z mającą podobną nazwę Drottninggatan, znajduje się mała kafejka. Tam codziennie rano o godzinie jedenastej będzie siedział nad szklanką kawy z rogalikiem starszy pan w ciemnych okularach. Przed nim na stole zauważycie gazetę „Sydsvenska Dagbladet”. To jest pismo wychodzące w Malmö. Poprosi go pan o zapalki. Odpowie: „Nie mam, bo palę tylko fajkę”. Może pan przekazywać mu materiały zarówno ustnie, jak i na piśmie. Także, gdyby potrzebna była jakaś pomoc, on to załatwi. Kiedy już skontaktujecie się po raz pierwszy, sami ustalicie dalszą łączność. Tu jest wasz paszport, a w kopercie pieniądze. Skromnie wyliczone, bo przecież jesteście nie bogatym w dewizy turystą. Dopiero w Paryżu, kiedy zostaniecie zamożnym jubilerem, pan Periera zaopatrzy was w odpowiednie środki pieniężne dla grania tej roli. Zaraz po tej rozmowie udacie się do naszego fryzjera. On już ma odpowiednie polecenie i zna wygląd Brązy li języka. Trochę zabiegów i będziecie podobni jak dwaj bliźniacy, których nawet ojciec nie zawsze potrafi rozróżnić.

— A kiedy mam wyjechać?

— O godzinie czternastej. Bilet na samolot jest w kopercie razem z pieniędzmi — pułkownik spojrzął na zegarek i dodał — sądzę, że będziecie mieli z godzinę czasu, żeby się zapakować. Rzeczy weźcie jak najmniej, bo przecież odziedziczycie bagaże jubilera, łącznie z jego garniturami i koszulami. Wszystko szyte w Brazylii i zaopatrzone w naszywki z Rio de Janeiro.

— Czy pułkownik ma jeszcze jakieś rozkazy?

— Specjalnie żadnych. Ale pamiętajcie, jedziecie tam dla ochrony ważnych dokumentów i tylko to jest waszym zadaniem. Nie wdawajcie się w żadne inne sprawy. Od rana do popołudnia macie czas dla grania roli brazylijskiego jubilera lub dla siebie. Po południu, kiedy uczeni wrócą ze swojego instytutu i zostawią teczkę w hotelu, zaczyna się wasza praca.

— Czy zabieram ze sobą broń?

— Nie.

— Może jednak być mi potrzebna.

Pułkownik Mogajski zastanawiał się. Wreszcie zdecydował.

— Może rzeczywiście macie rację. Porozumiecie się w tej sprawie z Perierą. Jeżeli ma odpowiednie zezwolenie, to weźmiecie jego pistolet. Jeżeli zaś nie, to w Sztokholmie, wszystko co będzie wam potrzebne, otrzymacie od mężczyzny w ciemnych okularach.

— W jakim języku mam z nim rozmawiać?

— Tam, w lokalu, oczywiście po angielsku. Przecież w Szwecji już na milę widać, że jesteście cudzoziemcem. Z takimi lśniącymi kruczoczarnymi włosami, obficie wypomadowanymi brylantyną. Później już po polsku.

— Kruczoczarne włosy wypomadowane brylantyną! — jęknął Wyganowicz i odruchowo przesunął po swoich nieco rozwichrzonych włosach ciemnego blondyna.

— Nie takie cuda potrafi zrobić zdolny fryzjer — roześmiał się pułkownik. — Nie zatrzymuję was dłużej, kapitanie, bo nie macie wiele czasu. Życzę powodzenia.

Krótki uścisk dłoni i za Michałem Wyganowiczem zamknęły się cicho drzwi.

*Niemiecka Republika Federalna, Pullach, 20 czerwca,
godz. 10.00*

Przybysz, choć w cywilnym ubraniu, stanął na baczność i przepisowo stuknął obcasami.

— Siadajcie, majorze — starszy, siwy mężczyzna, o krótko ostrzyżonej czuprynie i czerwonej twarzy wskazał ręką fotel stojący naprzeciwko biurka. Wysoki mężczyzna o rudawych włosach, niebieskich oczach i prostym nosie na dość okrągłej twarzy, bez słowa usadowił się na wskazanym mu miejscu.

— Proszę cygaro — gospodarz podsunął pudełko.

— Dziękuję, nie palę.

— Prawda, zapomniałem — starszy pan sam sięgnął do pudełka i powiedział — wezwałem pana majora, bo mamy ważne zadanie do wykonania.

— Jawohl, Herr Oberst!

— Czeka pana piękna wycieczka. Malownicze miasto, cudne kobiety.

— A zadanie? — major niezbyt entuzjasmował się słowami zwierzchnika. Wiedział dobrze, że pułkownik nie wzywałby go dla jakiejś krajoznawczej wycieczki.

— Zadanie chyba nie za trudne jak na pana, majorze.

— Słucham.

— Szwedzi sprzedali Polakom licencję na wzbogacanie rud uranu. Słyszał pan chyba o tym, bo sprawa narobiła sporo wrzawy w całej Europie.

— Przypominam sobie. Gazety pisały, że licencji udzielono wbrew pewnym naciskom i choć przedtem odmówiono jej innym państwom.

— Ta licencja bardzo nas interesuje — stwierdził pułkownik, — Wiem dobrze, że były z różnych stron starania, aby wykraść Szwedom ich metodę produkcji. Ale te usiłowania spaliły na panewce. Tajemnicę zna w Szwecji nie więcej niż pięciu ludzi. A dokumenty nie są dostępne dla nikogo. Teraz jednak nadarza się szczęśliwa okazja.

— Zdobycie tych papierów w Polsce?

— To też nie byłoby wykonalne. Na pewno Polacy także

obstawiają się tak, że opisu sposobu produkcji nie zdobędzie nikt niepowołany. Ale te dokumenty muszą się przecież przedostać ze Szwecji do Warszawy.

— Przewiozą je pod odpowiednim konwojem — zatroskał się major.

— Naturalnie. Nie myślę też o zawładnięciu dokumentami w czasie drogi. Jest inny sposób. Udało nam się ustalić, że do Sztokholmu przyjedzie dwóch polskich uczonych. Tam zapoznają się ze sposobem wzbogacania rud uranowych. Cały dowcip polega na odpowiednim katalizatorze. Mając jego skład chemiczny, można już samemu resztę zrobić. Tak przynajmniej twierdzą nasi specjaliści. Na ich słowie można polegać. Wiemy, że ci dwaj Polacy zamieszkają w „Minerva-Palace-Hotelu” w Sztokholmie i że codziennie będą pracowali w laboratoriach Svenska Atom na Sveavägen. Ci ludzie muszą robić notatki ze swoich prac i muszą dostać od Szwedów odpowiednie dane. Domyślamy się, że produkcja tego katalizatora nie jest prosta i obaj polscy uczeni stracą sporo czasu, aby się tego nauczyć. Zdobycie dostępu do ich notatek, nie mówiąc już nawet o oficjalnych dokumentach, które być może także będą im wręczone, to rozwiązanie zagadki składu katalizatora.

— Rozumiem. Trzeba jechać do Sztokholmu i zaopiekować się tymi dwoma Polakami.

— Właśnie o to chodzi.

— Czy w Svenska Atom mamy kogoś?

— Niestety nie. Z wielkim trudem odkryliśmy, że dla obu uczonych zarezerwowano pokój od dwudziestego czwartego czerwca. A więc znajdą się w Szwecji za cztery dni. Pan, drogi majorze, będzie tam już jutro i rozpocznie przygotowania dla jak najlepszego przyjęcia naszych drogich gości.

— Będę działał sam?

— Musi pan liczyć przede wszystkim na siebie. W Szwecji bardzo trudno jest zdobyć odpowiednich ludzi. Pewną pomoc oczywiście postaram się panu zorganizować, ale będzie się ona ograniczała do łączności i załatwiania spraw podrzędniejszych. Nasi rodacy od lat zamieszkujący w

Szwecji oddają nam ogromne usługi, lecz bezpośrednio pomocy nie można od nich wymagać. Żaden Niemiec nie nauczy się, nawet przez całe życie, tak dobrze mówić po szwedzku, żeby już po trzech wypowiedzianych przez niego słowach Szwedzi nie zorientowali się, że mają do czynienia z cudzoziemcem.

— W jakiej roli tam wystąpię?

— Pojedzie pan do Sztokholmu jako bogaty austriacki przemysłowiec, szukający kontaktów handlowych. Dzięki temu zarówno pański wygląd, jak i język nie powinny budzić podejrzania. Wszelkie papiery łącznie z instrukcją i listą osób, jakie pan odwiedzi w roli przedstawiciela przemysłu, dostanie pan major na dole w kancelarii. Tam też ustalą pan sposoby łączności.

— Kiedy wyjazd?

— Ma pan zarezerwowany bilet na samolot Frankfurt—Sztokholm na jutro rano.

— Jeszcze jedno pytanie, pułkowniku.

— Słucham?

— A ci dwaj uczeni polscy, gdyby im się coś stało?

— Wolałbym tego uniknąć. Lepiej nie zostawiać śladów i zdobyć potrzebne nam dokumenty w sposób bardziej dyskretny. W ostateczności, gdyby nie było już innego wyjścia... Wrzask, jaki by podniosła prasa szwedzka, na pewno nie byłby na rękę nikomu z nas. Ale oczywiście, mając do wyboru życie tych dwóch Polaków i wielki skandal międzynarodowy, lub zdobycie receptury na katalizator, to trzeba przyznać, że katalizator jest dla nas o wiele ważniejszy.

— Rozumiem. A pieniądze? Może tą drogą udałoby się coś załatwić?

— Wątpię, ani Szwedów ze Svenska Atom nie da się przekupić, ani tych dwóch z Warszawy. Obawiam się, że nawet próby tego rodzaju mogą się dla pana, majorze, niepomyślnie skończyć.

— Mogą być jednak takie okoliczności, że jeśli ktoś będzie miał do wyboru życie lub wydanie formuły i otrzymanie

jeszcze za to pewnej kwoty...

— Pieniędźmi nie potrzebujecie się krępować. Gotowi jesteśmy zapłacić za sposób produkcji katalizatora bardzo poważną sumę. W każdym miejscu świata. Życzę powodzenia, majorze.

— Jeszcze jedno, Herr Oberst.

— Słucham.

— A jak przedstawia się ewentualna współpraca z „bratnimi organizacjami”?

— Nie wiem, czy ktoś inny także interesuje się tą sprawą. Gdyby jednak znaleźli się tacy, co by wpadli na identyczny jak my pomysł, to sprawa jest prosta. Nie ma żadnych, jak to major nazwał, „bratnich organizacji”. Są tylko konkurenci, których należy ubiec.

— Za wszelką cenę?

— Tak jest, majorze. Za wszelką cenę! Zdaje pan sobie chyba sprawę, czym dla naszej biednej, skrzywdzonej, zarówno przez przyjaciół jak i wrogów, ojczyzny jest zdobycie taniego i szybkiego sposobu produkcji uranu. Najwyższy czas, żeby „olbrzym gospodarczy, a karzeł polityczny”, jakim dziś jest Bundesrepublik, zajęła w gronie narodów świata należne jej miejsce. A to może nastąpić wówczas, kiedy będziemy mieli dostęp do broni atomowej. Tej broni nikt nam nie da. Sami musimy ją sobie wziąć.

— Cieszę się, że tym razem mówimy o tym otwarcie.

Przynajmniej wiem jak mam postępować, jeśli dojdzie do jakichś krótkich spięć.

— Nie obchodzi pana nikt i nic, poza zdobyciem potrzebnych nam dokumentów.

— Za dwa tygodnie wrócę z gotow⁷ą formułą.

*Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Langley, 22
czerwca, godz. 10.00*

W wielkim kompleksie gmachów położonych w miejscowości Langley, znajdującej się około dziesięciu kilometrów od stolicy USA, Waszyngtonu, opatrzonym niewinną

tablicą „Biuro Dróg Publicznych”, tętniło normalne życie. Korytarzami snuli się urzędnicy z teczkami w rękach. Stukały maszyny do pisania i dalekopisy. Na próżno jednak ktoś nie wtajemniczony chciałby szukać w tym gmachu o kształcie wielkiej litery „H” czegoś, co ma wspólnego z drogami. Szyld „Biuro Dróg Publicznych” maskuje inną instytucję, której pełna nazwa brzmi „Central Intelligence Agency”, w skrócie CIA — największy koncern szpiegowski jaki kiedykolwiek istniał na świecie. Dziwne poczucie humoru, które każe CIA używać tablicy „Biuro Dróg Publicznych”, kazało jej jeszcze za swoje motto przyjąć słowa z Ewangelii Świętego Jana (Jan 8,32) „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”.

Jednym z korytarzy tego największego po „Pentagonie” gmachu rządowego USA szedł młody człowiek w dobrze skrojonym ciemnoniebieskim garniturze. Jasna czupryna, wysokie czoło, niebieskie oczy, zgrabny choć może nieco zbyt duży nos, wąskie usta i energiczny, do przodu wysunięty podbródek oraz wzrost dobrze ponad metr osiemdziesiąt pięć — tworzyły „model męskiej urody”.

Młody człowiek bez pukania nacisnął klamkę drzwi, oznaczonych czterocyfrowym numerem, i wszedł do środka. Za biurkiem siedział niski mężczyzna, o twarzy pomarszczonej bruzdami i czołem przeciętym długą blizną. Na temat tej blizny Johna Huntera krążyły po gmachu CIA najrozmaitsze pogłoski. On sam zwykł skromnie wyjaśniać, że to znak po japońskim mieczu, kiedy bohaterstwo samotrzeć uciekał z obozu jenieckiego na Mindanao. Natomiast „przyjaciele” twierdzili, że to po prostu ślad uderzenia butelką w jakiejś speluncie Singapuru. Jak tam było naprawdę, nikt nie docieknie. Młody dryblas uśmiechnął się od ucha do ucha i niedbale kiwnąwszy głową opadł na niski, wygodny fotel stojący przed biurkiem.

— Napiłbym się czegoś — zauważył.

— Dlaczego się spóźniasz? — starszy pan był w złym humorze. — Czekam na ciebie przeszło godzinę.

— Myślisz, że to tak łatwo wydostać się z Waszyngtonu? Pieszko-bym prędzej tu był.

- Więc trzeba było iść pieszo.
- Boss się gniewa — właściciel blond czupryny nie przejmował się złym nastrojem zwierzchnika. — Tak bardzo to się nie spieszyłem, żeby aż iść na piechotę.
- Jak nie mam się gniewać, kiedy każą mi robić cuda?
- Jakie?
- Słyszałeś, że Szwedzi sprzedali Polakom licencję na wzbogacenie rud uranu?
- Też mi ważna wiadomość.
- Właśnie że ważna. Nie zapominaj, że w ten sposób taki cenny sekret staje się własnością, jednego z państw bloku wschodniego.
- Chyba nasze bomby nie są gorsze od rosyjskich?
- Na pewno lepsze. Ale nie o to chodzi. Tę licencję myśmy też chcieli kupić.
- No to kupujcie. Na te rzeczy wujaszek Sam nie żałuje przecież pieniędzy.
- Kiedy nie chcieli nam sprzedać.
- A Polakom sprzedali?
- Właśnie. Od nas zażądali, żebyśmy wyliczali się z każdego grama uranu wyprodukowanego tą metodą i żebyśmy podpisali zobowiązanie, że uran będzie użyty wyłącznie w celach pokojowych.
- No to trzeba było podpisać. Mało to już nasz prezydent podpisał różnych umów, z których nie dotrzymał ani jednej literki?
- To nie takie proste. Szwedzi zastrzegli sobie prawo kontroli i wprowadzenia swoich ludzi.
- Ale my nie możemy narzekać na brak uranu. Poza własnym, mamy koncesje i kopalnie chyba we wszystkich częściach świata.
- Chodzi nie o sam uran, lecz o koszt eksploatacji rud. Metoda szwedzka jest rewelacyjnie tania w porównaniu z innymi. Dlatego musimy ją zdobyć.
- Blondas uśmiechnął się.
- Rozumiem. Mam pojechać do Szwecji i wytłumaczyć tym chłopcom, aby nam dali plany, a nie tym złym Polakom.

— Coś w tym rodzaju. W Sztokholmie, w „Minerva-Palace-Hotelu” będzie mieszkało dwóch polskich uczonych. Właśnie im Szwedzi udostępnią swoje tajemnice. Trzeba zaopiekować się tymi dwoma i w odpowiednim momencie sfotografować dokumenty, w jakie ich Szwedzi niewątpliwie zaopatrzą. To wszystko.

— Bagatelka! — rozmówca pułkownika Huntera aż gwizdnął. — Po prostu poproszę ich o powierzenie mi dokumentów na piętnaście minut!

— Jak to zrobisz, Jack, twoja sprawa. Pamiętaj, że to bardzo ważne.

— Będę miał jakąś pomoc?

— Sądzę, że im mniej ludzi będzie się kręciło po hotelu wokół tych Polaków, tym lepiej. A co do pomocy, to w każdym bądź razie nie szukaj jej w naszej ambasadzie. Pojedziesz zresztą i tak za fałszywym paszportem.

— Jako kto?

— Jako pewien obywatel Niemieckiej Republiki Federalnej.

— To przecież od razu stawia mnie w rzędzie najbardziej podejrzanych.

— Niekoniecznie. Nasi przyjaciele z Pullach, z Bundesnachrichtendienst³, jeżeli nawet zainteresowali się tą transakcją, to nie wyślą do Sztokholmu swoich ludzi z paszportami Bundesrepublik.

— Rozumiem — młody człowiek roześmiał się trochę sarkastycznie — jeżeli wpadnę, będziecie mogli twierdzić że to jakiś Niemiec od generała Wessela. Nie mogę zaprzeczyć, rzeczywiście sprytnie, ale wybitnie drańskie z waszej strony.

— Ale jak ci się uda, jesteś dobry do końca życia.

— A pomoc?

— Będiesz miał łączność z nami, w razie czego dostaniesz wszystko, co okaże się niezbędne, ale działać musisz sam.

— Czy tylko ja?

Pułkownik Hunter nieco się zmieszał.

³ Bundesnachrichtendienst — Wywiad NRF, dawniej „organizacja Gehlena”. Główna siedziba BDN mieści się w Pullach pod Monachium. Szefem BDN jest obecnie generał Gerhard Wessel.

– Z mężczyzn tylko ty.

– A kobiety?

– Sprawa jest zbyt ważna, żebyśmy ograniczali się do jednego sposobu. Może użyjemy i jakiejś kobiety.

– Ja będę ją płoszył, a ona będzie mi ^przeszkadzać. Bardzo to pięknie wykombinowaliście. Pomijam już fakt, że w takim luksusowym, międzynarodowym hotelu kręci się różnych dziewczynek bez liku. Każda szuka albo reżysera filmowego, albo milionera, a w najgorszym razie faceta, który by jej w barze postawił szklankę whisky. Jak w tym tłumie odróżnię, która jest nasza, a którą, na przykład, przysłano z Pullach? Chyba że będziemy pracowali razem z nimi.

– Broń Boże. Musimy zdobyć tajemnicę uranu sami i wyłącznie dla siebie. Każdy, kto nam w tym będzie przeszkadzał, jest naszym wrogiem.

– Pierwsze mądre słowa, jakie tu dziś usłyszałem.

Pułkownik Hunter nie rozgniewał się. Znał swojego człowieka. Wiedział, że ten młody blondyn jest do szaleństwa odważny, pewny i wiemy. A że przy tym ma nieco za ostry język, to trudno. Trzeba się z tym pogodzić. Dodał tylko:

– Jeżeli zdecydujemy się wysłać którąś z naszych dziewcząt, rozpoznasz ją, bo będzie miała na szyi mały, złoty klejnocik – szef wydziału CIA wyciągnął z szuflady biurka ładne cacuszko, główkę Nefretete na złotym łańcuszku. Pokazał ją swojemu rozmówcy i zamykając biurko, dorzucił: – To już wszystko, co chciałem ci, Jack, zakomunikować. Szczegóły techniczne uzgodnisz z Wallacem. Do prędkiego zobaczenia.

Malmö, SDS/KP – tidningshus, 22 czerwca

Przy Stockholmsvägen, na peryferiach Malmö, wznosi się wysoki, smukły gmach. Z aut pędzących autostradą można zauważyć, że cały parter zajmują rozmaite maszyny

drukarskie, będące w nieustannym ruchu. Reszta, dalsze czternaście pięter tego supernowoczesnego budynku, to redakcje jednych z największych w Szwecji gazet: porannej „Sydsvenska Dagbladet” i popołudniówki „Kvällsposten”. — Obie te gazety niejednokrotnie podkreślają, że ich „tidningshus” jest „ett av Europas modernaste” — najnowocześniejszy gmach redakcyjny w całej Europie. Jeżeli w tej reklamie jest nawet trochę przesady, to doprawdy niewiele.

Na siódmym piętrze, na lewo od windy, mieści się gabinet naczelnego redaktora. Goście i interesanci wchodzić przez sąsiedni pokój, gdzie urzęduje sekretarka. Dziennikarze omijają tę drogę, otwierając drzwi łączące pokój „naczelnego” bezpośrednio z korytarzem.

Właśnie tę drogę wybrał Sven Breman, nie bez słuszności zwany w całej Szwecji „królem reporterów”. Wysoki nakład i ogromna popularność „Kvällsposten” zawdzięcza w dużej mierze „szlagierom” tego dziennikarza o nieprawdopodobnym wprost „nosie” do wyczuwania sensacji.

Nie przejmując się tym, że naczelny redaktor jest zajęty i pisze, prawdopodobnie „wstępniaka” do jutrzejszego „Sydsvenska Dagbladet”, Sven wygodnie usadowił się w fotelu naprzeciwko biurka szefa i rzucił:

— Pojadę do Sztokholmu.

Naczelny nie sprzeciwił się i nie zapytał w jakim celu dziennikarz zaplanował tę podróż. „Król reporterów” był na specjalnych prawach w tym gmachu. Robił zazwyczaj tylko to, na co miał ochotę, ale wydawnictwu zawsze się to opłaciło. Naczelny zainteresował się jedynie:

— Na długo?

— Nie wiem jeszcze. Może na dwa tygodnie.

— Coś ciekawego?

— Tak mi się wydaje. Jeżeli się nie mylę, będziemy mieli bombę. I to jaką! Śmiało można powiedzieć, że atomową. Dosłownie!

Naczelny redaktor „Sydsvenska Dagbladet” odsunął leżący

przed nim, do połowy zapisany arkusz papieru. Uważnym spojrzeniem obrzucił swojego współpracownika i powiedział z uśmiechem:

— Może raz wtajemniczysz mnie w swoje zamiary? Raczej powinienem wiedzieć, co się dzieje w dzienniku, który redaguję i co robią moi ludzie.

— Ba, żebym to ja sam wiedział — Sven mówił to zupełnie szczerze. — Ale mój nos powiada mi, że warto zająć się tą sprawą. Zobacz.

Breman podał swojemu szefowi pasek papieru z dalekopisu. Jedna z agencji donosiła, że zgodnie z podpisaną niedawno umową o współpracy i zakupie licencji na wzbogacanie rud uranu, do Sztokholmu ma przybyć w tych dniach dwóch polskich specjalistów z dziedziny atomistyki dla zapoznania się w Svenska Atom z metodą, która była przedmiotem umowy licencyjnej.

— Myślisz? Czy warto do tego powracać? Przecież dałeś już sprawozdanie z podpisania tej umowy. Narobiłeś wtedy szumu. Dosłownie na cały świat — naczelny redaktor nie był zdecydowany.

— W tym może być coś — „królowi reporterów” z podniecenia aż oczy zabłysły. — Wszystko co dotyczy atomistyki, choćby to było zupełne głupstwo, interesuje wywiady różnych państw. Jestem przekonany, że Polaków będzie otaczał gęsty wianuszek najrozmaitszych typków. Chciałbym przyjrzeć się z bliska temu towarzystwu. W najgorszym razie zrobię parę rozmówek z uczonymi. Teraz, kiedy co setny Szwed jeździ co roku do Polski, bardzo u nas wzrosło zainteresowanie tym krajem. Przypuszczam, że uda mi się tych atomistów wyciągnąć na ciekawe rozmówki.

— A mnie się nie wydaje. Przeciwnie, sędzę, że w ogóle nie będą chcieli gadać z żadnym dziennikarzem. Jeżeli nawet zrobią jakąś konferencję prasową, to w obecności zarówno przedstawiciela Svenska Atom, jak i rzecznika ambasady.

— Moja w tym głowa — zapewnił Sven Breman — żebym z nimi pogadał bez tych pismaków ze Sztokholmu i bez żadnych oficjeli. A poza tym liczę na inne, znacznie większe

sensacje.

Naczelny jeszcze się namyślał.

— Dobrze. Jedź! Na miejscu zorientujesz się, jak to wszystko wygląda. W razie czego, jeżeli uznasz to za niewypał, spróbuj znaleźć w Sztokholmie coś innego dla „Kvällsposten”.

— Naturalnie. Przecież nie będę cały dzień trzymał warty przy tych atomistach.

ROZDZIAŁ III

50 koron dla szefa recepcji

„Minerva-Palace-Hotel”, jeden z najdroższych i najbardziej luksusowych hoteli Szwecji, zbudowano przed kilkunastu laty. Zajął on miejsce czteropiętrowej, starej kamienicy na rogu Kungsgatan i Sture Plan, a więc w samym centrum Sztokholmu, ale już w dzielnicy gdzie natężenie ruchu ulicznego maleje, a do pobliskiego parku jest tylko kilka kroków.

Szef recepcji znajdował się jak zwykle za swoim kontuarem w holu hotelowym. Bacznie obserwował wchodzących i wychodzących. Nic nie uszło jego uwagi, choć pozornie nie odrywał wzroku od leżącej przed nim księgi. Dwie jego pomocnice wydawały gościom klucze do ich pokoi lub też przyjmowały zlecenia i inkasowały rachunki. Jeżeli ktoś nie biorąc klucza skierował się na schody lub wszedł do jednej z trzech będących prawie w stałym ruchu wind, szef recepcji dyskretnie naciskał odpowiedni guziczek. Nikt takiej osoby nie zapytał dokąd i w jakiej sprawie idzie, ale zarówno windziarz, jak i pokojówka na piętrach byli ostrzeżeni i obserwowali „obcego”.

„Minerva-Palace-Hotel” bardzo dbał o swoją reputację i szczyił się tym, że nigdy żaden z jego gości nie został okradziony przez „szczura hotelowego” ani też przez złodzieja, który zmyliwszy kontrolę zdołał włamać się do numeru. A taka reputacja to też pieniądze, a nawet więcej niż pieniądze. To pewność, że bogaci ludzie, płacący rachunki hotelowe w wysokości kilkuset koron, zawsze będą ten zakład przedkładali nad inne, ponieważ tutaj mogą być spokojni o swoją biżuterię i swoje portfele. Chociaż niedawno zbudowany, hotel miał już liczne grono stałych gości. Naturalnie wyłącznie ludzi bogatych. „Minerva-Palace-Hotel” nie był bowiem miejscem schronienia dla zwykłych

turystów lub młodzieży podróżującej autostopem.

Do szefa recepcji podszedł właśnie jakiś mężczyzna z teczką w rękę, ubrany w ciemny płaszcz.

— Jestem ze Svenska Atom — przedstawił się.

— Słucham pana?

— Rezerwowaliśmy tutaj pokój dla dwóch Polaków, którzy mają przyjechać jutro.

— Chwileczkę, sprawdzę — szef recepcji udawał, że szuka właściwego zapisu w swojej wielkiej księdze, chociaż sprawę znał na pamięć. Dlatego właśnie był szefem recepcji, żeby wiedzieć i pamiętać o wszystkim co dzieje się w „Minerva-Palace-Hotelu”. — Już mam. Rzeczywiście, zarezerwowaliśmy dla tych panów apartament na czwartym piętrze. Numer czterysta dwadzieścia siedem. W porządku, prawda?

— Och, najzupełniej. Tylko popełniliśmy mały błąd. Powinniśmy byli rezerwować dwa oddzielne pokoje. To jest znany polski uczoney i jego asystent.

— Panowie nic o tym nie wspominali.

— Czy nie dałoby się czegoś zrobić? — nieznajomy niby odruchowo sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjąwszy stamtąd banknot zaczął się nim bawić. Bystre oko szefa recepcji dostrzegło, że jest to pięćdziesięciokoronówka. Nawet w „Minerva-Palace-Hotelu” nie daje się takich hojnych „pour boire”.

— Trudno będzie — rzekł z ociąganiem się — mamy dużo gości. Pełnia sezonu. Dzisiaj musiałem odmówić kilku Amerykanom, którzy przyjechali do Sztokholmu bez poprzedniej rezerwacji.

— Niech pan się postara. Może jednak... — palce nieznajomego podsunęły brązową kulkę w stronę szefa recepcji. Ten nakrył ją błyskawicznie lewą ręką.

— Mam wprawdzie na szóstym piętrze wolny pokój, ale już nie taki luksusowy jak ten na czwartym.

— Może być! — przybysz wyraźnie się ucieszył. — Profesor zamieszka na czwartym, a jego pomocnik trochę skromniej i wyżej. Zawsze to lepiej niż razem.

— Jeżeli panowie się zgadzają, to tak rozwiążemy sprawę — szef recepcji uznał, że pięćdziesięciokoronówkę może już uważać za swoją i brązowy papierek powędrował do kieszeni jego pięknego uniformu.

— Jeszcze jedno — zauważył przedstawiciel Svenska Atom — jak będzie z regulowaniem należności?

— Po prostu prześlemy wam rachunek. A może ten pan sam będzie płacił?

— Nie, nie — zachnął się urzędnik. — Ci panowie są naszymi gośćmi. A co do rachunku, to od razu ureguluję go gotówką.

— Proszę bardzo — szef recepcji ani jednym drgnięciem twarzy nie okazał swojego zdziwienia, że jeden z najpoważniejszych w Szwecji koncernów przemysłowych płaci swoje należności nie czekiem lub przelewem bankowym, lecz gotówką. I jak gdyby to była najnormalniejsza rzecz, zwrócił się do swojej pomocnicy — Gunvor, wystaw panu rachunek gotówkowy dla Svenska Atom i na pokój sześćset czterdzieści dziewięć.

— Na dwa tygodnie? — dodał, kierując te słowa do swojego rozmówcy.

— Tak. Na taki sam okres, jak pokój na czwartym piętrze — potwierdził przedstawiciel Svenska Atom wyjmując portfel.

Panna Gunvor Andhäll zajęła się wypisywaniem rachunku. Nieznajomy zaś, nachylając się do szefa recepcji, dodał konfidencko:

— Bardzo panu dziękuję, wybawił mnie pan z wielkiego kłopotu. To moja wina, że nie zamówiłem dwóch oddzielnych apartamentów. A już w tym miesiącu naraziłem się poważnie dyrektorowi. Obawiam się, że drugi raz nie uszłoby mi to na sucho. O dobrą posadę nie tak łatwo. Dlatego też płacę gotówką za ten dodatkowy pokój. Tamten pójdzie normalnie, przelewem. Lepiej stracić trochę pieniędzy, niż ryzykować stanowiskiem. Mam nadzieję, że ten drugi gość nie poskarży się dyrekcji na zły pokój?

— Ależ cóż znowu! — zaprzeczył szef recepcji. — Pokój jest bardzo ładny. Tyle że nie z widokiem na park, lecz na ulicę,

więc nieco więcej hałasu. Za to wyżej, lepsze powietrze.

Urzędniczka podała rachunek. Szef recepcji sprawdził go, podpisał, przyłożył pieczętkę. Mężczyzna w czarnym płaszczu uregulował należność, nie biorąc dwunastu koron reszty. Schował papier do kieszeni, podziękował i szybko opuścił gmach hotelu.

— Te dwanaście koron, Gunvor, to dla ciebie — zdecydował szef recepcji.

Nie była to z jego strony jakaś niespodziewana hojność wobec młodszej koleżanki. Po prostu nie był pewien czy sprytna młoda osóbką nie zauważyła manewrów z pięćdziesięciokoronówką. Cała transakcja wyglądała trochę dziwnie, lepiej więc, żeby o niej za dużo nie mówiono. A dwanaście koron jest akurat dostateczną sumką, aby wysoka, przystojna blondynka zrozumiała, iż o całej historii lepiej milczeć.

Szef recepcji o tym niezwykłym zdarzeniu nie powiedział nikomu, nawet po pracy, żonie. Nie zwierzył się też, że przedstawiciel Svenska Atom, chociaż mówił doskonale literackim językiem szwedzkim, miał dziwny akcent. Rodowity Szwed tak nie mówi. A cudzoziemiec, choćby całe życie spędził w Sztokholmie — zawsze będzie tylko cudzoziemcem.

Cały ten dzień był dla szefa recepcji niesłychanie szczęśliwy. Można powiedzieć, że pieniądze same wpadały mu do ręki. I właściwie nie wiadomo za co. Przecież wystarczyłby jeden telefon ze Svenska Atom albo pisemne zawiadomienie i sprawę drugiego pokoju załatwiono by pomyślnie. Ale ten Austriak, jakiś przedstawiciel firm handlowych z Wiednia. Dlaczego facet tak się upierał, aby mieszkać na czwartym piętrze? Doświadczony pracownik branży hotelarskiej od razu wyczuł w nim bogatego „jelenia”. Im bardziej tamten napierał się, żeby dostać pokój na tym piętrze, tym portier wynajdywał coraz poważniejsze przeszkody. Gość wreszcie zrozumiał i sięgnął do tej kieszeni gdzie trzeba.

Na punkcie czwartego piętra ludzie całkowicie zwariowali.

Już przedtem jakaś Angielka nadesłała rezerwację, ale pod warunkiem, że nie gdzie indziej, tylko tam. Ten wysoki, przystojny Niemiec z Federalnej Republiki także nie chciał słyszeć o innym pokoju jak na czwartym. A swoją drogą Niemiec był albo bystrzejszy, albo mniej skąpy od Austriaka. Od razu powiedział „Dla mnie pokój na czwartym piętrze, dla pana dwadzieścia marek za przyjacielską przysługę”. Dwadzieścia marek, to przeszło dwadzieścia sześć koron. Naprawdę piękny dzień, bo i Angielka nie pożałowała dziesięciokoronówki, chociaż wszystko było w najlepszym porządku i pokój na nią czekał.

A ten jubiler z Brazylii przywiózł piękne klejnoty. Gunvor i Mina aż zbladły z emocji, kiedy facet otworzył aksamitem wykładaną szkatułkę i pokazał im zielone świecidełka oprawione w platynę. Nielichy majątek w tej kasetce. Nic dziwnego, że smagły, o czarnych, wybrylantynowanych włosach, trochę śmieszny Latynos z miejsca zdeponował swój skarb w zabezpieczonym przed wszelkimi niespodziankami, potężnym sejfie „Minerva-Palace-Hotelu”.

Szef recepcji w głębi ducha przyznaje, że powodzenie trochę go rozzuchwaliło i z tym Brazylijczykiem brzydko wpadł. Niepotrzebnie go zapytał „Czy pan chce pokój na czwartym piętrze?”. Tym razem nie dało to żadnego profitu. Jubiler miał zdziwioną minę i odpowiedział, że nie jest przesądny i nie wierzy, aby czwórka przynosiła szczęście. Poprosił też o wyjaśnienie, dlaczego portier proponuje mu właśnie to piętro. Kiedy usłyszał, że stali goście uważają „czwórkę” za najwygodniejszą, Brazylijczyk poprosił o pokój piętro wyżej.

Szefa recepcji wcale więc nie zaskoczyło, że gość nie sięgnął do kieszeni. Może jednak dobrze sprzeda swoje klejnoty i wyjeżdżając będzie bardziej łaskawy? Chociaż z tymi południowcami nigdy nic nie wiadomo.

A znowu te dwie depesze! Jedna ze stoczni w Göteborgu, a druga z jakichś zakładów przemysłowych na północy. Nigdy nie rezerwowali pokoi w „Minerva-Palace-Hotelu” i raptem proszą o dwa numery i to akurat na czwartym piętrze. Jeśli

tak dalej pójdzie, cała „czwórka” będzie zajęta do ostatniego pomieszczenia, gdy tymczasem na innych piętrach będą duże luzy. Ale goście mają swoje fanaberie i zakład musi uwzględniać te życzenia. Za to płacą.

W końcu ten dziennikarz. Zjawił się gdzieś przed samym południem. Ubrany jak gdyby przepuszczono go przez magiel. Bez żadnego bagażu, jedynie z małą teczką. I taki pcha się do luksusowego hotelu! Jak Minerva Minervą nigdy żaden dziennikarz nie przekroczył progu tego hotelu. Co najwyżej jakiś dyrektor bogatego wydawnictwa. A ten bez żadnych ceremonii sięgnął po listę gości i szczegółowo ją przestudiował. Szef recepcji jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia. Nieraz bogaci ludzie celowo pozują na takich obszarpańców.

Żas pismak po sprawdzeniu kto gdzie mieszka oświadczył „Wezmę pokój na czwartym piętrze. Koło tego Austriaka, który dzisiaj przyjechał”. Dopiero potem wyjaśnił, że jest reporterem z prowincji. Z Malmö.

I to nawet nie z „Sydsvenska Dagbladet”, wielkiego, wpływowego dziennika, lecz z jakiejś popołudniówki. Szef recepcji już chciał gościa spławić tłumacząc, że wszystkie wolne pokoje zarezerwowano dla stałych gości, ale w porę spostrzegł umowne znaki dawane mu przez Gunvor. Tym razem dziewczyna spisała się na medal. Jak to dobrze żyć w zgodzie ze swoimi pomocnicami i przy okazji dać im trochę zarobić. Inaczej Gunvor na pewno by przemilczała, że ten obdartus to słynny „król reporterów”, znany w całej Europie ze swoich sensacyjnych artykułów. Takiemu nawet dyrekcja nie chciałaby się narażać i w razie awantury mogłoby się portierowi zdrowo dostać. Szef recepcji nie mógł zrozumieć, jakim cudem nazwisko „Sven Br man” wyleciało mu zupełnie z pamięci i nie zwrócił na nie uwagi, kiedy dziennikarz je wymienił. A przecież nieraz czytał różne historie podpisane tym imieniem, a przedrukowywane przez całą prasę szwedzką. Może po prostu dlatego, że z nazwiskiem Bremana szef recepcji kojarzył sobie człowieka, który zajeżdża pod hotel jakimś luksusowym wozem i wchodzi do holu ubrany jak

z igły. W Sztokholmie szykuje się chyba jakaś sensacja, skoro ten dziennikarz tutaj przyjechał. Że zatrzymał się w „Minerva-Palace-Hotel”, tylko dobrze świadczy o jego wyborze.

Ale nie same przyjemne chwile przeżywano tego dnia w recepcji wielkiego hotelu. Szef do tej pory nie może zrozumieć, jak Mina mogła tak fatalnie się pomylić. Wprost niedopuszczalne! Szef słusznie ją ostrzegł, że jeśli powtórzy się to jeszcze raz, będzie musiał wyciągnąć poważne konsekwencje w stosunku do jej osoby. Omylić się i wydać gościowi inny klucz? Nie do pomyślenia! Szef nawet nie słuchał wyjaśnień bliskiej płaczu dziewczyny.

A było tak: gość z NRF, właśnie ten przystojny, wysoki, który otrzymał pokój na czwartym piętrze, udał się do swojego numeru. Pikolak wniósł jego walizki i potem pokazał Gunvor z daleka pięciokoronówkę. Dyskretny znaczek kredą, umieszczony przez jakiegoś portiera nieznanego hotelu na walizkach tego faceta, nie kłamał. Gość jest hojny i daje duże napiwki. Niemiec po jakiejś pół godzinie zszedł na dół i udał się do baru. Klucz zostawił w recepcji i Mina powiesiła go w przedziale z numerem czterysta osiemnaście. Kiedy po godzinie gość ponownie zażądał klucza, Mina przez omyłkę wydała mu zamiast siedemnastki, dwadzieścia siedem. Gość wziął klucz, nie zauważył, że to nie do jego pokoju, i pojechał na górę. Dopiero tam zorientował się w omyłce, kiedy klucz nie pasował do zamka. Zjechał na dół i całe nieporozumienie się wyjaśniło. Szef recepcji musiał gorąco przeproszać Niemca i zapewniać, że takie niedopatrzenie już się nie powtórzy.

Mina potem przysięgała, że gość wyraźnie powiedział „Proszę czterysta dwadzieścia siedem” i dlatego wydała mu ten klucz. Ale to dziewczyny wcale nie tłumaczy. Gość ma prawo zapomnieć numeru swojego pokoju lub też omylić się; od tego jest gościem i za to płaci. Natomiast recepcjonistce płaci się właśnie za to, żeby się nigdy nie myliła. Powinna od razu zapamiętać zarówno twarz gościa, jak i numer jego pokoju. Kto tego nie potrafi, niech szuka sobie innej pracy, a

nie w „Minerva-Palace-Hotelu”.

Wprawdzie, szef recepcji przyznał w duchu, Niemiec zachował się bardzo przyzwoicie i wszystko obrócił w żart. Nie gniewał się, że odbył nadprogramową wędrówkę. I nie wykluczał, że pomylił numer lub dziewczyna go nie rozumiała. Rzeczywiście, jego angielszczyzna jest trochę dziwna, podobna do slangu, którym mówią niektórzy Amerykanie z Teksasu i Nowego Meksyku, ale mimo to wina recepcjonistki nie ulega żadnej wątpliwości. Przynajmniej w oczach starego, doświadczonego pracownika hotelu.

Całe szczęście jeszcze, że ta głupia Mina dała Niemcowi klucz do pustego, nie zamieszkałego pokoju numer czterysta dwadzieścia siedem. Tego, który Svenska Atom zarezerwowała dla polskiego profesora.

A gość albo poczuwał się do winy, że sam coś pokreślił, albo dziewczyna mu się podobała, bo za kilka minut przysłał jej przez pikolaka piękną czerwoną różę, której lodyżka owinięta była, zamiast srebrną folią, banknotem dziesięciokoronowym. Jeżeli nawet recepcjonistka wpadła w oko temu facetowi, to i tali nic u niej nie wskóra. Mina dobrze wie, że nawet za najmniejszy, najbardziej niewinny flirt z gościem hotelowym, natychmiast wyleciałaby z pracy. Wszystkie hotele mają swoje tajemnice, a wiadomo, zakochane dziewczyny wypapłają sekrety swoim wielbicielom. Może to być przecież ktoś podesłany przez konkurencję.

Następnego dnia przyjechali ci polscy uczeni. Pilotował ich urzędnik ze Svenska Atom, który spotykał gości na lotnisku, skąd przywiózł ich do hotelu. Jeden z Polaków był niskim, krępy męczyzną, o twarzy poranej bruzdami i siwych jak mleko skroniach. Typowy profesor. Ten drugi młody i przystojny, w wieku trzydziestu kilku lat.

Szef recepcji osobiście witał tych gości, tak polecanych jego opiece przez potężną „Svenska Atom”. Z całym uszanowaniem pochylił się w ukłonie przed starszym panem.

— Cieszę się — powiedział po angielsku — że mam zaszczyt w imieniu zarządu „Minerva-Palace-Hotelu” powitać sławnego polskiego uczonego.

Starszy pan uśmiechnął się z zakłopotaniem. Szef recepcji z kolei skłonił się młodszemu z uczonych. Nie był to jednak taki sam ukłon. Portier doskonale wiedział co należy się profesorowi, a co wystarczy jego asystentowi.

Obaj przybyli wyjęli z kieszeni zielone książeczki z białym orłem na okładce i położyli na kontuarze przed szefem recepcji, ale on na nie nawet nie spojrział.

— U nas w Szwecji — wyjaśnił — nie ma obowiązku meldowania się. Tylko przy okazji poproszę panów o wpisanie swoich nazwisk do hotelowej księgi gości. Książka znajduje się u panny Miny.

Pomocnica szefa recepcji obdarzyła obu gości najczarowniejszym z uśmiechów. Obaj uczeni podeszli do jej kontuaru i wpisali swoje, tak trudne dla szwedzkiego ucha nazwiska do dużej księgi w skórzanej oprawie, którą im recepcjonistka podała.

Następnie szef recepcji skierował starszego pana na czwarte piętro do przygotowanego dla profesora apartamentu, zaś młodego uczonego poinformował, że na niego czeka pokój na szóstym piętrze. Profesora zdziwiła nieco wiadomość o rozdzieleniu go z towarzyszem. Także i urzędnik „Svenska Atom” miał zaskoczoną minę i nawet próbował protestować, ale szef recepcji umiał się znaleźć i bardzo gorąco zachwalał zalety mieszkania w oddzielnych pokojach, które zresztą są najlepszymi i najwygodniejszymi w całym „Minerva-Palace-Hotelu”. Ostatecznie stary profesor machnął ręką i pod opieką pikolaka, taszczącego jego walizy, pojechał na górę. Młodego wyraźnie ucieszył taki obrót sprawy, bo aż głośno się roześmiał, kiedy profesor zniknął w drzwiach dźwigu. Przedstawiciel koncernu tymczasem załatwił w dyrekcji formalności pozwalające gościom z Polski korzystać z restauracji, baru i kawiarni hotelowej bez płacenia tam gotówką, a jedynie podpisując rachunki, które później Svenska Atom ureguluje.

Pilot czekał na Polaków, aż ci się trochę odświeżą w swoich pokojach, a później poprowadził ich do restauracji, gdzie cała trójka obiadowała. Szef recepcji był bardzo mile zdziwiony,

kiedy młodszy z Polaków podszedł do niego i gorąco mu dziękował za osobny pokój. Jedna dwudziestokoronówka zmieniła przy tej rozmowie swojego właściciela, a prestiż pewnego państwa, sąsiadującego ze Szwecją przez Bałtyk, w oczach portiera od razu bardzo wzrósł.

Po obiedzie obaj panowie wraz z ich cicerone udali się, jak to odnotowało wszechwiedzące spojrzenie szefa recepcji, do miasta, skąd wrócili dość późno. Profesor udał się do swojego pokoju i tam pozostał. Natomiast młodszy szybko powrócił na parter, by stamtąd powędrować prosto do baru. Portier uczynił w duchu uwagę, że na tym młodym to Svenska Atom nie zrobiła zbyt dobrego interesu. Był więcej niż pewny, że podpisywane przez niego rachunki będą odpowiednio wysokie.

Hotelowy psycholog nie omylił się. Kiedy po zdaniu pracy koledze wstąpił na chwilę do baru, aby przepłukać zmęczone gardło kufelkiem piwa, młody Polak jeszcze tam tkwił. Był w doskonałym humorze, siedział na wysokim stołku barowym koło pięknej, smukłej blondynki. Oboje popijali jakąś mieszaninę tęczowego koloru, w wysokich szklaneczkach. Na ten widok szef recepcji aż się wzdrygnął. Nie mógł patrzeć na koktaile. Wyobrażał sobie, ile to kolorowe świństwo może kosztować! Naturalnie nie tego młodego cudzoziemca, lecz Svenska Atom.

— Dobrze chociaż — pomyślał szef recepcji — że Svenska Atom nie musi regulować innych rachunków tego cudzoziemca.

Co ciekawsze, tuż obok tej pary, na sąsiednim stołku, siedział reporter, Sven Breman. Popijał „Bizon Brandy”. Nawet nie raczył się przebrać. Bo i w co? Nosił ten sam pognieciony, stary garnitur. Zdążył już się zaprzyjaźnić zarówno z młodym uczonym, jak i jego piękną towarzyszką.

ROZDZIAŁ IV

Pierwsze raporty

W parę dni później, w Warszawie, pułkownik Stanisław Mogajski uważnie studiował otrzymany przed chwilą raport ze Sztokholmu. Raport był wyczerpujący i bardzo szczegółowy.

Kapitan Michał Wyganowicz dokładnie opisywał zetknięcie się z brazylijskim jubilerem i dalszy swój pobyt w Paryżu. Sztuka „nadwornego” fryzjera z gmachu siedziby kontrwywiadu nie zawiodła. Polak i południowy Latynos byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Wystarczyło zamienić książeczki paszportowe, a zarówno portierzy hotelowi, windziarze i pokojówki jak i poważni przedstawiciele wielkich paryskich firm jubilerskich nie zdołali zorientować się, że od spotkania dwóch mężczyzn na ławce w Ogrodzie Luksemburskim mieli do czynienia już z innymi ludźmi niż przedtem. Na wszelki wypadek dwaj „bliźniacy” spotkali się ze sobą jeszcze kilka razy, po czym kapitan pojechał do Sztokholmu.

„W „Minerva-Palace-Hotelu” nie wzbudziłem żadnego podejrzenia — raportował rzekomy Diego de Periera. Wprawdzie na wstępie portier zadał mi podchwytliwie pytanie czy może życzyć sobie pokój na czwartym piętrze, ale z miejsca odmówiłem i umieściłem się o kondygnację wyżej. Mój numer znajduje się akurat nad jednym z pomieszczeń apartamentu zajmowanego przez profesora Romana Jabłoniowskiego. Jest to dogodnie, bo dzięki małemu peryskopowi, wysuwanemu z mojego balkonu, mogę dokładnie widzieć co dzieje się u profesora w jego sypialnym pokoju. Na szczęście Jabłoniowski wpadł na doskonały pomysł, aby właśnie tutaj, a nie w sąsiednim saloniku, przechowywać swoją „przenośną kasę pancerną”. Przed opuszczeniem pokoju profesor przypina teczkę do nogi

masywnego fotela i kładzie ją na jego siedzeniu. Lepiej byłoby wprawdzie przymocowywać ją do kaloryfera, ale niestety, hotel ma najnowszy, sufitowy system ogrzewania.

— Obaj uczeni, profesor i jego asystent — pisał dalej kapitan — są rozdzieleni. Nie wiem dlaczego, bo przecież w sypialni profesora znajdują się dwa tapczany. Ale faktem jest, że młody asystent zajmuje pokój na szóstym piętrze. To bardzo utrudnia pilnowanie ich obydwu. W tej sytuacji całą uwagę musiałem skupić na osobie starego profesora i na jego teczce. Muszę zresztą przyznać, że profesor nie przysparza mi zbyt wielu kłopotów. Po powrocie z pracy w gmachu Svenska Atom i po zjedzeniu obiadu najczęściej siedzi w swoim apartamencie i czyta lub robi notatki. Rzadko wychodzi do miasta i po kolacji udaje się na spoczynek.

Niestety, tego samego nie można powiedzieć o jego asystencie. Wydaje mi się, że niezbyt odpowiednią osobą wybrano do tej roli. Ten człowiek jest stanowczo za młody, aby uczestniczyć w tak odpowiedzialnym zadaniu. Całe popołudnie spędza w mieście, a wieczory w restauracji lub barze hotelowym, gdzie obaj uczeni nie muszą płacić za konsumpcję, a jedynie podpisują rachunki. Profesor Jabłoniowski umiarkowanie korzysta z tego przywileju, natomiast jego młody asystent wcale się nie krępuje i z powodzeniem odgrywa rolę milionera. Żeby chociaż „uczłował” sam! Zawsze kręcą się przy nim coraz to nowi „przyjaciele”, a zwłaszcza „przyjaciółki”. Nie było mi trudno ustalić, że w ciągu tych paru dni aż dwie panie odwiedzały go w pokoju, który opuszczały dopiero nad ranem.

W bardzo prosty sposób zdobyłem klucze do pomieszczeń naszych uczonych. Obejrzałem przede wszystkim szczegółowo klucz oraz zamek i jego konstrukcję. Zamek kulkowo-zapadkowy, oparty na systemie „Yale”, oczywiście własnej, szwedzkiej produkcji. Jak wiadomo, każdy z tego rodzaju zamków ma swój numer. Kombinacji zapadkowych mogą być dziesiątki czy nawet setki tysięcy, ale ze względów praktycznych fabryki stosują kilkanaście typów i odpowiednio je oznaczają numerami, żeby można było w

razie czego dokupić właściwy klucz. Otóż zauważyłem, że mój zamek ma numer identyczny z numerem mojego pokoju. A kiedy pokojówka, sądząc, że mnie już nie ma, weszła żeby u mnie posprzątać, tak zainteresowałem ją kolekcją moich klejnotów, że tymczasem udało mi się sprawdzić jakie klucze ma na swoim kółku. Potwierdziło się. Dla większej wygody wszystkie pokoje „Minerva-Palace-Hotelu” otrzymały kombinację zamków identyczną z numeracją hotelową. Wyjaśniłem ten sekret mojemu „łącznikowi”, który, nie wiem jak to zrobił, dość że nazajutrz zaopatrzył mnie w potrzebne mi klucze. Zdołałem stwierdzić, że pasują idealnie do obu pokoi naszych atomistów.

Do apartamentu profesora nie wchodziłem, ponieważ i tak mogę obserwować co się dzieje wewnątrz. Zadowolilem się sprawdzeniem czy klucz obraca się w zamku. Działał doskonale. Uważałem jednak za stosowne rzucić okiem na pokój młodego asystenta. Kiedy uczeni przebywali w Svenska Atom, a pokojówki zajęte były swoją robotą, zaryzykowałem wyprawę na szóste piętro. W pokoju nie znalazłem żadnych notatek, a nawet ani jednej książki naukowej. Za to cały plik najrozmaitszych, przeważnie duńskich pism, nazywanych tutaj skrótowo „porno”, a także bogatą kolekcję zdjęć, raczej nie przeznaczonych do pokazywania ich przedszkolakom. W całym numerze unosił się jeszcze zapach damskich perfum, a na umywalce leżała zapomniana kredka do ust.

W hotelu pełno jest cudzoziemców. Chyba nawet więcej niż Szwedów, ponieważ „Minerva-Palace-Hotel” przeznaczono przede wszystkim do obsługi bogatych turystów. Głównie Amerykanów i Anglików. Na razie nie zauważyłem, aby ktoś podejrzany kręcił się w pobliżu profesora lub narzucał się jego osobie. Co do jego pomocnika, to już wyraziłem swoją opinię, a rzeczą pana pułkownika będzie interweniować gdzie trzeba.

Jedna sprawa budzi moje podejrzenie. Oto w przeciwieństwie do innych pięter, czwarte zajęte jest aż do ostatniego numeru, co przypomina sytuację w hotelach warszawskich, chociaż na innych kondygnacjach jest luźno.

Sprawdziłem również, że co najmniej dziesięć osób przybyło albo w przeddzień, albo w dniu przyjazdu naszych uczonych. Między innymi jakiś Niemiec z Republiki Federalnej, kilku Szwedów, bardzo przystojna Angielka, dwa małżeństwa francuskie, szwedzki dziennikarz, chyba autentyczny, bo innego tak niechlujnie ubranego nie wpuszczono by w ogóle do tego rodzaju hotelu. Poza tym jakiś Austriak, paru Włochów, dwóch obywateli Izraela, podobno dyplomaci przybyli do Szwecji z oficjalną misją. Na to całe towarzystwo muszę specjalnie uważać, choć dotychczas nikt swoim zachowaniem nie dał powodu do podejrzeń.

W restauracji i w holu hotelowym kręci się mnóstwo młodych, eleganckich i przystojnych kobiet. Kilka z nich usiłowało, zresztą bez większego skutku, skokietować starszego pana. Z tym młodszym nie mają kłopotów. Sam podrywa, ile tylko może.

Dodam jeszcze, że po porozumieniu się z moim opiekunem i zarazem łącznikiem, postanowiłem zaopatrzyć się w broń palną a także i w samochód. Wynająłem małą, ale szybką maszynę. To może przydać się w przyszłości, a poza tym ułatwia mi maskowanie się. Cóż to za jubiler, który nie dysponuje własnym wozem, tylko chodzi pieszo lub jeździ taksówkami? Zgodnie z instrukcjami mojego brazylijskiego „bliźniaka” codziennie odwiedzam różnych jubilerów, proponując im kolekcję szmaragdów. Zainteresowanie transakcją jest, ale ceny wyznaczone zostały specjalnie za wysokie, co daje okazję do targów i przedłużania rozmów. W hotelu, zgodnie z zaleceniem, pokazałem szmaragdy możliwie dużemu gronu osób spośród personelu.

Chciałbym ponadto wyjaśnić pewną sprawę — tłumaczył się ostrożny jak zwykle i znający naszych księgowych kapitan Michał Wyganowicz. — Mieszkam w najdroższym bodajże hotelu w Szwecji i gram rolę bogatego jubilera. Tutaj jeden koktail w nocnym barze kosztuje tyle, za ile trzy osoby bawiłyby się w warszawskich „katakumbach” całą noc. Wydatki mam duże, wielokrotnie przekraczające wysokość diet przewidzianych na zagranicę.

Co do kontrwywiadu szwedzkiego czy też szwedzkiej policji politycznej — kończył swój raport rzekomy Diego de Periera — nie zauważyłem, aby roztaczali opiekę lub choćby tylko obserwowali naszych uczonych. Za to kręci się koło nich ten szwedzki dziennikarz. Zaprzyjaźnił się z asystentem, jest z nim nawet na „ty”, a także zapoznał się z profesorem. Złożył również wizytę w moim pokoju. Słowem, węszy wszędzie, niby pies gończy. W rozmowie ze mną bardzo interesował się szmaragdami, wypytywał w jakiej okolicy Brazylii znajdują się kopalnie tych kamieni i gdzie się je szlifuje. Usiłował także mówić ze mną po portugalsku. Na szczęście, w tym języku okazałem się znacznie mocniejszy od przeciwnika i raczej dobrze zdałem ten egzamin. Prosiłem o sprawdzenie i dostałem od mojego łącznika informację, że Sven Breman jest rzeczywiście bardzo znanym i popularnym reporterem z Malmö. Zapewniano mnie, że nie ma on nic wspólnego ani z władzami bezpieczeństwa Szwecji, ani z żadnym obcym wywiadem. W każdym razie dziennikarz zachowuje się tak, jak gdyby prowadził na własną rękę śledztwo i jakby przewidywał jakieś sensacje”.

Pułkownik Mogajski aż trzykrotnie przeczytał raport swojego podwładnego. Wydawało się, że nie może zrozumieć rozwoju sytuacji w „Minerva-Palace-Hotelu”. W końcu z uśmiechem schował dokument do teczki i zamknął ją w stalowej kasie. Jeszcze tego samego dnia do Szwecji poszła szyfrowana iskrówka. Udzielano w niej kapitanowi Wyganowiczowi pochwały za dotychczasową działalność, ale jednocześnie podkreślano, że najważniejsza część jego misji jeszcze się właściwie nie zaczęła. Polecano nadal jak najgorliwiej czuwać nad bezpieczeństwem profesora i jego bezcennej teczki. Wyjaśniono, że oficer kontrwywiadu może się nie krępować wysokością wydatków. Zalecono prowadzenie pertraktacji ze sztokholmskimi jubilerami, a także stopniowe obniżanie cen, aby kontrahenci nabierali nadziei, że transakcja może zostać zawarta, chociaż nie bez oporów upartego Brazylijczyka.

Prawie w tym samym czasie w Pullach, w jednym z pokoiw siedziby Bundesnachrichtendienst, starszy, siwy pan, o krótko ostrzyżonej czuprynie i czerwonej twarzy, studiował przyniesiony mu z działu szyfrów raport ze Sztokholmu. Agent donosił, że przybył do Szwecji i ulokował się w „Minerva-Palace-Hotelu”. Dostał pokój, nie bez trudności, na tym samym piętrze co polski uczony.

„Pierwszą moją czynnością — raportował specjalny wysłannik BDN — było rozdzielenie obu Polaków. Gdyby zajmowali we dwójkę jeden apartament, nasze zadanie byłoby niezmiernie skomplikowane, a nawet wprost niewykonalne. Na szczęście, dzięki pomocy ludzi, z którymi, według wskazówek Herr Obersta, skontaktowałem się zaraz po przybyciu do Sztokholmu, udało mi się temu zapobiec. Było to dość ryzykowne, ale zakończyło się pomyślnie. Po prostu jeden z naszych ludzi, podszywając się pod urzędnika Svenska Atom, pojechał do hotelu i zażądał, aby w zarezerwowanym apartamencie umieszczono jedynie starego profesora, a jego młodszego pomocnika gdzie indziej. Tak się też i stało. Drugi Polak zamieszkał na szóstym piętrze, w pokoju sześćset czterdzieści dziewięć. Pociągnęło to konieczność opłacenia przez nas kosztów wynajmu tego numeru na okres całego pobytu polskich uczonych w Sztokholmie. Były również poważne koszty dodatkowe”.

Autor raportu dołączył wyliczenie wydatków, stwierdzające, że trzeba było przekupić pracowników hotelu, co wyniosło kilkaset koron. Pułkownik nieco się skrzywił, ale w końcu podpisał „zatwierdzam”.

„Profesor — raportował dalej agent — nie rozstaje się z teczką, którą na łańcuszku przypina sobie do ręki, tak że wyrwanie tego pakunku jest niepodobieństwem. Ten rodzaj akcji trzeba więc z góry wykluczyć, jak też i ewentualną kradzież w czasie, choćby pozorowanej, katastrofy samochodowej. Pozostaje jedynie próba zawładnięcia zawartością teczki pod nieobecność uczonego w pokoju. Jak bowiem stwierdziłem, profesor zabiera ze sobą tekę tylko do Svenska Atom. Po powrocie, w godzinach popołudniowych,

profesor obiada w restauracji hotelowej, a nawet czasami opuszcza gmach „Minerva-Palace-Hotelu”, ale zawsze już bez teczki.

Pokoje zamyka się tutaj na skomplikowane zamki zapadkowe. Proszę o przysłanie specjalnych elektromagnetycznych wytrychów, zdolnych do podniesienia zapadek. W załączeniu przesyłam nazwę firmy produkującej te zamki i typ zastosowany w hotelu, aby dobrać najlepiej działający wytrych.

W hotelu jest pełno gości. Trudno coś o nich konkretnego powiedzieć. Można jednak przypuszczać, że wśród nich kryją się pracownicy szwedzkiej policji politycznej, agenci wywiadu polskiego oraz innych państw. Dużo jest pięknych kobiet. Niektóre z nich wyraźnie interesują się tymi Polakami. Stary profesor nie zwraca zbytnej uwagi na te damulki, ale młodszy chętnie na nie zerka. Podsunęliśmy mu jedną z naszych współpracowniczek. Przekonała się, że facet nie stroni od przygód miłosnych oraz kolekcjonuje odpowiednie pisma i zdjęcia. W jego pokoju nie ma żadnych notatek i papierów. W rozmowie asystent stwierdza, że wszystkim zajmuje się wyłącznie stary profesor, który nie ma zaufania do swojego współpracownika i nie wtajemnicza go w żadne sekrety. Wygląda na to, że facet mówi prawdę, bo obaj odnoszą się do siebie z dużą rezerwą. Nie jest wykluczone, że ten młody to po prostu agent delegowany dla zapewnienia profesorowi i jego dokumentom odpowiedniego bezpieczeństwa, i to agent, któremu uczony nie bardzo dowierza. Wszystko wskazuje na to, że mam rację. Poza tym młody człowiek wyraźnie jest oczarowany stosunkami panującymi na Zachodzie, gdzie znalazł się po raz pierwszy w życiu. Możliwe, że tę okoliczność dałoby się w jakiś sposób później wykorzystać, chociaż w tej chwili nie mam jeszcze sprecyzowanego pomysłu. Ewentualnie proszę o instrukcje. Rzekomym asystentem przestaliśmy się na razie zajmować, ponieważ nie stanowi żadnej przeszkody w naszej pracy.

Z pozostałych gości „Minerva-Palace-Hotelu” bardzo podejrzany jest szwedzki dziennikarz. Ten stale asystuje

Polakom, przejawia niezdrową ciekawość w stosunku do wszystkich mieszkańców czwartego piętra. Na tej samej kondygnacji mieszka również jakiś Niemiec. Wprawdzie ma paszport Bundesrepublik, ale byłoby dobrze sprawdzić, czy nic jest to przypadkiem wysłannik Panków⁴. Podaję jego nazwisko, ale nie miałem dostępu do jego paszportu i nie mogę ustalić jego adresu. Proszę także o sprawdzenie czy dwaj rzekomi dyplomaci z państwa Izrael nie są pracownikami wywiadu. Gdyby zaistniały takie podejrzenia, proszę o instrukcję, jak z nimi postępować. Czy usunąć? To byłoby trudne, ale nie wykluczone.

Niestety, potwierdzają się informacje Herr Obersta o zupełnej niemożliwości dotarcia do wnętrza Svenska Atom. Tamtejsi pracownicy są specjalnie dobierani i nie ma mowy o pozyskaniu kogoś z nich do współpracy z nami, lub do uzyskania jakichkolwiek wiadomości dotyczących sprzedanej licencji.

Po przysłaniu mi wytrycha, o którym wspominam na początku, spróbuję umieścić w apartamencie profesora dwa mikrofony, gdyż lokal ten składa się z saloniku i sypialni. Obawiam się jednak, że to źródło informacji przyniesie nam niewiele korzyści, gdyż ani asystent profesora, ani żaden z zatrudnionych w Svenska Atom nie odwiedzili go ani razu. Według słów pokojówki, która sprząta pomieszczenia na czwartym piętrze, w numerze profesora znajduje się wiele różnych naukowych książek, a uczony albo czyta, albo robi notatki. Pokojówka stwierdza również, że teczka, którą profesor nosi do południa, w innych godzinach zawsze jest zamknięta i przymocowana w sypialni do dużego krzesła. Informacje, jakie uzyskałem od tej kobiety o innych mieszkańcach obsługiwanego przez nią piętra, nie wniosły niczego nowego. Natomiast nasza współpracowniczka, która kontaktowała się z młodszym z Polaków uzyskała od niego wiadomość, że Szwedzi na razie wtajemniczają profesora w

⁴ Panków — Dzielnica Berlina, gdzie znajdują się gmachy rządu NRD. Prasa zachodniemiecka używa często słowa „Panków” dla określenia rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

drugorzędne szczegóły produkcji, a o katalizatorze, jego zdaniem, nie było dotychczas mowy. Tak przynajmniej miał oświadczyć profesor swojemu rzekomemu asystentowi. Wydaje mi się, że nasza współpracowniczka powinna otrzymać za swoją ciężką i odpowiedzialną pracę pewną premię. Polecam to uwadze Herr Obersta. Jeszcze raz proszę o jak najszybsze przysłanie wytrycha elektromagnetycznego, gdyż w inny sposób nie da się otworzyć tych zamków.

Przyjrzałem się uważnie teczce profesora, gdyż postarałem się jechać z nim razem windą. Wygląda na to, że poza łańcuszkiem do zapinania na rękę i ewentualnie jakąś spodnią warstwą ochronną teka ta nie różni się niczym od tego rodzaju przedmiotów wytwarzanych seryjnie. W szczególności jej zamki to najzwyczajniejsze zatrzaski opatrzone zastawką działającą przy pokręceniu kluczykiem. Z tego rodzaju zapięciem nie powinno być trudności. Po umieszczeniu mikrofonów w numerze profesora, wypróbuję także i teczkę.”

Herr Oberst odłożył starannie przestudiowany raport. Twarz miał pogodną. Nie omylił się. Jeden z najzdolniejszych pracowników BND dał dowód, że można na nim polegać. Pułkownik teraz nie wątpił, że major upora się i z drugą częścią zadania — zdobędzie tak upragniony skład chemiczny i sposób produkcji katalizatora. To byłoby wspaniałe. Droga do taniej bomby atomowej stałaby przed Bundesrepubliką otworem, a na spodniach pułkownika pojawiłby się tak wymarzony lampas generalski, zaś konto w banku zaokrągliłaby pokaźna premia. Co do majora, to nie zapomnialoby się i o nim. Niewątpliwie zasłuży na nagrodę, chociaż głównym bohaterem całej sprawy jest jej inicjator. On wpadł na ten pomysł i on wysłał do Szwecji odpowiednich ludzi.

Pełen tych przyjemnych myśli, Herr Oberst wydał kilka poleceń. Jego człowiek w Sztokholmie mógł spać spokojnie. W krótkim terminie otrzyma upragniony wytrych. A także sprawdzi się informacje zawarte w raporcie.

W wielkim gmachu „Central Intelligence Agency”, w Langley, niski mężczyzna o czole przeciętym głęboką blizną również zajmował się doniesieniami swojego człowieka ze Sztokholmu. Ten raport tchnął nie mniejszym optymizmem.

Jack opisywał dokładnie wygląd obydwu uczonych i podawał numery ich pokoi. Sprawozdanie zawierało również historię teczki noszonej na zapinanym wokół ręki łańcuszku i zamykanej później na krześle w sypialnym pokoju. Najwidoczniej pokojówka czwartego piętra bawiła tym opowiadaniem wszystkich gości hotelowych z tej kondygnacji, co niewątpliwie gwarantowało jej odpowiednie zwiększenie napiwków.

„Najgorsza sprawa jest z dziewczyną, która niezależnie ode mnie miała nawiązać kontakt z Polakami. Codziennie w restauracji i barze hotelowym kręci się co najmniej pięć girls z Nefretete na szyi. Zwariować można. Co za kretyn wymyślił taki znak rozpoznawczy w epoce, kiedy naśladownictwo starożytności stało się tak modne?”

— Jack jest niepoprawny w swoich określeniach

— mruknął do siebie człowiek czytający raport. Był bowiem dumny, że tak chytrze wymyślił sposób rozpoznania sojuszniczki, a tu ośmielają się go krytykować. I to kto? Taki szczeniak!

„Może się myłę, ale za najbardziej prawdopodobne uważam, iż moja konkurentka kryje się pod postacią pewnej Angielki, która przyjechała do Sztokholmu w tym samym dniu co i ja, to jest w przeddzień przybycia Polaków i zamieszkała również na czwartym piętrze. Ta babka nie usiłowała nawiązać kontaktu z młodszym z uczonych. Zresztą wokół niego kręcą się całe roje dziewcząt. Angielka dyskretnie, ale stale kokietuje starszego profesora i powolutku posuwa się naprzód do celu. Proszę o natychmiastową instrukcję czy mam ją wypłoszyć?”

Jeżeli chcecie podsunąć jakąś girl temu młodszemu, nie będzie najmniejszej trudności. To urodzony babiarz. Siedzę go od pierwszego dnia. Wydał chyba ze sto koron na różne pisma i fotografie. Musiałem kupować razem z nim, żeby nie

zwrócić na siebie jego uwagi. Niektóre są nawet dość dowcipne i można z nich nauczyć się czegoś nowego. Ledwie facet skończył z zakupami „porno”, już powędrował do baru, z którego po paru godzinach przyholował do swojego pokoju nawet nieliczną dziewczynę, lecz bez naszyjnika z Nefretete. Sądzę też, że nie była z „konkurencji”, bo na drugi dzień puścił ją kantem i zajął się kim innym. Taka z naszej branży nie dałaby się tak łatwo spławić. A poza tym ta nie mieszka w „Minerva-Palace-Hotelu”.

Pierwszego dnia zdobyłem klucz do pokoju profesora. Nie było z tym żadnego kramu. Po prostu idąc na górę zażądałem w recepcji niby przez pomyłkę klucza do numeru czterysta dwadzieścia siedem, zamiast tego, który zajmuję w rzeczywistości, to jest czterysta siedemnastego. Klucz natychmiast odniosłem i wyjaśniłem nieporozumienie, ale tych kilka minut wystarczyło w zupełności do sporządzenia paru odcisków. Dorobiony na ich podstawie klucz mam już w kieszeni i tylko czekam na okazję wejścia do pokoju profesora. Wiem, że na razie niczego tam jeszcze nie znajdę, ale przed premierą nie zaszkodzi zrobić próbę generalną. Przy okazji podrzucę profesorowi nadajnik radiowy. Może coś się podsłucha?

Przesyłam komplet fotografii teczki jaką nosi profesor. Proszę, żeby na podstawie tych zdjęć, jeśli to tylko będzie możliwe, nasi fachowcy zbadali czy tego rodzaju teka nie kryje jakichś niespodzianek. Zwłaszcza chodzi mi o zamki. Wyglądają na zbyt łatwe i proste w konstrukcji. Ewentualnie proszę o przysłanie jakichś aparatów specjalnych dla zbadania tego cacka bądź fachowca, aby je obejrzał. Wydaje mi się, że tam znajduje się jakiś figiel. Proszę też o przysłanie mi kompletu narzędzi do ewentualnego otworzenia profesorskiego sezamu.

Cholernie mi przeszkadza — pisał dalej Jack — jeden szwedzki pismak. Jak na Szweda mały i chuderlawy. Gdybym go tak zaprawił sierpowym, to przeleciałby przez całą Sveavägen i jeszcze przez pół Sztokholmu. Facet nazywa się Sven Breman. Wścibia nos we wszystkie sprawy. Już kilka

razy próbowałem zatrzymać się przed pokojem profesora. Nie zdążyłem nawet wsadzić klucza w dziurkę, a Szwed wyrastał przede mną jak spod ziemi. Przysiągłbym przy tym, że mnie sfotografował. Czy nie mielibyście na niego jakiegoś sposobu? Podobno Szwecja ma bardzo dobre szpitale, a w Sztokholmie jest największy i najnowocześniejszy. Może by facet go zwiedził?”

CIA działa błyskawicznie. Już na trzeci dzień po wysłaniu raportu Jack nie tylko otrzymał komplet pięknych narzędzi, którym nie oparłyby się nawet sejfy Riksbanku⁵, ale także analizę stwierdzającą, że teczka profesora Jabłoniowskiego zawiera różne metale i posiada własne pole magnetyczne. Materiałów rozzszczepialnych nie stwierdzono. Zamki wbrew ich wyglądowi są bardzo skomplikowane. Należy liczyć się z trudnościami otwarcia teczki i z różnymi niespodziankami, jakie mogą się przy tym zdarzyć. Instrukcja zawierała szczegółowe przepisy, jak należy postępować przy próbach otwarcia. Co najmniej tak ostrożnie, jak przy rozbijaniu nowego typu nieznanej miny.

Jack nie otrzymał natomiast odpowiedzi na swoje pytanie dotyczące kretyna, który wymyślił znak rozpoznawczy. Nie wyjaśniono mu również, czy Angielka, kokietująca profesora, jest współpracowniczką CIA, chociaż i nie polecono przepłoszenia jej. Co do szwedzkiego reportera, centrala obiecała zwrócić na niego uwagę.

*

W Malmö redakcja „Kvällsposten” nie otrzymała jeszcze żadnych wiadomości od „króla reporterów”. Naczelnny redaktor zaczynał się denerwować. Wreszcie nadeszła krótka nota. Dziennikarz pisał:

„Będziemy mieli szlagier jakiego Szwecja jeszcze nie widziała. Obiecuję wam, jakem Sven Breman. Trochę cierpliwości”.

5 Riksbanken — bank emisyjny Szwecji, położony na małej wysepce pomiędzy centrum Sztokholmu a jego starym miastem. W podziemiach Riksbanku przechowywana jest rezerwa dewizowa waluty szwedzkiej wynosząca kilka miliardów dolarów w złocie i w obcych walutach.

ROZDZIAŁ V

Margareta

Kapitan Michał Wyganowicz, składając swój raport, pisał prawdę, ale ujawnił tylko jej część. Prawdą bowiem było, że udało mu się obejrzeć klucze wiszące na kółku pokojówki. Oficer kontrwywiadu dyskretnie przemilczał całą resztę dotyczącą tej miłej osóbk.

Zaraz po rozgoszczeniu się w swoim pokoju, rzekomy Diego de Periera ruszył na zwiady. Zbadał dokładnie całe piętro, słusznie rozumując, że rozkład tej kondygnacji, która go najbardziej interesuje, powinien być identyczny. Drzwi jednego z numerów stały otworem i oficer zauważył w nim śliczną, zgrabną dziewczynę, żywo krzątającą się przy doprowadzaniu pokoju do nieskalanego wyglądu.

Była wyjątkiem. Michał już przedtem zauważył, że pokojówki na poszczególnych piętrach są kobietami w wieku, jak to określają w Warszawie, zbliżonym raczej do „trolejbusowego” niż „tramwajowego”. Dziewczyna wyglądała uroczo w swoim białym fartuszkun nałożonym na granatowy mundurek. Oficer pod jakimś pozorem wszedł do pokoju. Tak nawiązały się pierwsze kontakty.

Kiedy na drugi dzień pokojówka znalazła się w jego numerze aby posprzątać, speszyła ją obecność gościa. Była przekonana, jak tłumaczyła się, że pokój jest już pusty. Wyganowicz skorzystał z okazji, aby zatrzymać ją dłużej, pokazywał klejnoty i próbował poczęstować kieliszkiem koniaku. Odmówiła. Na służbie nie wolno jej pić. Wtedy Michał poprosił o odwiedzenie go po skończonej pracy. Twierdziła, że tego też jej nie wolno robić. Ale widać było, że przystojny południowiec wyraźnie wpadł dziewczęciu w oko. Zanim jednak wyprosiła grzecznie Wyganowicza z pokoju, nie tylko dokładnie zdołał obejrzeć jej klucze, ale także uznał, że dobrze byłoby kontynuować tę znajomość. Naturalnie, jak to

usprawiedliwiał przed swoim „służbowym sumieniem”, jedynie dla dobra sprawy, aby pozyskać na miejscu cennego informatora.

Następnego dnia, rzekomy Diego de Periera zaparkował właśnie wynajęty samochód na uliczce, na którą wychodziły tyły „Minerva-Palace-Hotelu”, gdy tuż przy nim zatrzymało się sportowe volvo. Ku zdumieniu oficera, z wozu wysiadł nie kto inny, tylko przystojna pokojówka. Była tak elegancko ubrana, że w pierwszym momencie jej nie poznał. Serdecznie śmiała się na widok zdumionej miny młodego człowieka. Tym razem dała się namówić na jednego „drinka” w pobliskim barku na Kungsgatan.

— W Szwecji istnieje najwyższa stopa życiowa na świecie — zażartował oficer chcąc wyjaśnić zagadkę drogiego samochodu i najładniejszej na świecie pokojówki.

Okazało się, że rodzice dziewczyny prowadzą duży hotel w Göteborgu. Po ukończeniu szkoły rozpoczęła dwuletnią praktykę, właśnie w „Minerva-Palace-Hotelu” w Sztokholmie. Musi przejść wszystkie działy pracy. Jedynie dlatego pełni obowiązki oddziałowej na piątym piętrze, chociaż na to stanowisko jest za młoda. Potem wróci do Göteborga, żeby wyręczać w pracy nie pierwszej już młodości właścicieli hotelu. Jej młodsza siostra nie ma jeszcze takiego przygotowania.

— Pokojówki muszą być takie — dodała śmiejąc się

— żeby goście nie próbowali z nimi flirtować. Za samo pójście do baru pracowniczka traci natychmiast pracę.

— Przecież to hotel a nie klasztor!

— Gościom wszystko wolno. Personelowi nic. Takie są zasady polityki hotelowej. Po pracy każdy może robić co mu się podoba, z wyjątkiem utrzymywania znajomości z klientem zakładu. Zresztą w hotelu mojego ojca w Göteborgu jest tak samo.

Gawędzili krótko, gdyż dziewczyna śpieszyła się do roboty. Przeworny oficer kontrwywiadu ani słówkiem nie zahaczył o gości hotelowych. Kiedy opuszczali barek, Michał już wiedział, że przystojna córka hotelarza nosi imię Margareta, i

że w Szwecji, jak tłumaczyła „praktykantka-pokojówka”, obyczaje są znacznie surowsze, niż to się cudzoziemcowi wydaje na podstawie powierzchownych obserwacji, treści filmów i tygodników sprzedawanych w każdym kiosku. Nie dając za wygraną, Michał ponownie zaprosił Margaretę na kieliszek koniaku i ... ponownie dostał kosza.

Myślał o dziewczynie jeszcze później, nocą, kiedy długo nie mógł zasnąć. Sztokholm ma swoje słynne czerwcowe „białe noce”. Ciemności nie zapadają, jedynie między jedenastą wieczorem a drugą w nocy panuje półmrok. O drugiej w nocy można bez trudu czytać na dworze gazetę. Te białe noce męczyły go jak większość obcokrajowców, nie przyzwyczajonych do tego zjawiska.

Kiedy tak leżał z otwartymi oczami, nagle spostrzegł, że klamka drzwi wejściowych lekko się poruszyła. Oficer po cichutku odsunął szufladę nocnego stolika, sięgnął po rewolwer i bezszelestnie wsunął go pod poduszkę. Teraz nadśluuchiwał i wpatrywał się w drzwi.

Ktoś bardzo delikatnie włożył klucz w zamek i prawie bez szmeru przekręcił rygiel. Drzwi zaczęły się powoli uchylać. Michał przymknął oczy, udając że śpi, ale sprężone ciało gotowe było w każdej chwili do skoku. Ręka na kolbie pistoletu, palec na cynglu.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa dziewczyny. Przez moment obserwowała śpiącego i nadal zachowując tę samą ostrożność, Margareta wsunęła się do pokoju. Zamknęła drzwi i przekręciła kółko zatrzasku. Nosila jakiś barwny, krótki szlafroczek. Na palcach podeszła do tapczanu. Ręką dotknęła głowy Wyganowicza.

— Najpierw zaprasza mnie na koniak — wyszeptała

— a później udaje, że śpi. Czy to ładnie?...

— Gdyby mnie teraz ktoś zobaczył — dziewczyna zegnając się z kochankiem uważnie obserwowała pusty nad ranem korytarz hotelowy — miałabym się z pyszna.

— Kto by cię spostrzegł o tej porze? Wszyscy śpią. Możesz być spokojna o swoją reputację.

— Nie chodzi o reputację — roześmiała się Margareta — te

sprawy nie są problemem dla szwedzkich dziewcząt. Nasza moralność nie jest tak zakłamana, jak wasza, w reszcie Europy lub w Ameryce. Ale złamałam przepisy i postąpiłam nielojalnie wobec mojego pracodawcy. A na dobitkę nawet nic nie wiem o tobie. Ale nie żałuję, po prostu podobałeś mi się. T y, a nie twoje szmaragdy. Żebyś wiedział, gwizdź na nie. I na cały „Minerva-Palace-Hotel”!

I już jej nie było w pokoju.

Cały następny dzień upłynął oficerowi kontrwywiadu na zwykłych zajęciach. Rano odwiedziły u jubilerów, spotkanie z łącznikiem, później obiad, oczekiwanie na powrót do hotelu obydwu uczonych, a następnie dyskretne pilnowanie teczki z cenną zawartością. Margareta tylko raz mignęła mu na korytarzu.

— Przyjdiesz dzisiaj? — zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Mam dyżur w nocy.

— To zadzwonię na pokojówkę.

— Przyjdę i dam ci klapsa — zagroziła żartobliwie.

— Zgoda. Wolę dostać klapsa niż być sam.

— Idź do baru na jedną whisky i wybij sobie głupstwa z głowy.

Ponieważ profesor przebywał w swoim apartamencie, chcąc nie chcąc, Michał posłuchał tej rady. W barze, jak co dnia, „urzędował” młodszy z uczonych. Tym razem z jakimś rudym, bardzo wymalowanym kociakiem. Niedaleko tej pary Sven Breman samotnie ciągnął ze szklanki chyba już piąte z kolei piwo. Pseudo-Cyganie z brawurą fałszowali „Rapsodię Węgierską”.

Gości było niewielu i mieli znudzone miny. Jedyne Polak był rozbawiony i pełen werwy.

— Czy ja dobrze zrobiłem — zastanawiał się kapitan — podrywając tę dziewczynę?

Przed wszystkim postąpił wbrew przepisom. Oficer obarczony tego rodzaju misją nie ma prawa wdawania się w jakieś flirty. Wiedział doskonale, że pułkownik Mogajski zmyłby mu za to dobrze głowę, a kto wie czy nie odwołał

natychmiast do Warszawy. A jednocześnie Wyganowicz nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Szwedka wiedziała doskonale co robi i dlaczego zjawia się w nocy w pokoju cudzoziemca. Nie, tu chodziło o zupełnie coś innego. Dziewczyna podobała mu się inaczej niż te wszystkie, które były przed nią.

— Czyżbym się zakochał? A przynajmniej był na najlepszej drodze do tego? — Michał analizował swoje uczucia. — Ostatecznie za tydzień lub za dwa wrócę do kraju i cała historyjka skończy się bezpowrotnie.

Czuł jednak, że będzie mu żal. Powrotu czy dziewczyny?

Jakiś większy gwar przerwał te rozmyślenia oficera kontrwywiadu. Podniósł głowę. Do baru weszło dwóch atletycznie zbudowanych mężczyzn. Zachowywali się bardzo głośno i można (było poznać, że są już po paru głębszych.

— Dwie whisky — zakomenderował jeden, sadowiąc się na krzeselku barowym tuż obok Svena Bremana. Mówił po angielsku z typowym amerykańskim akcentem.

— Patrz, jaka pokraka — roześmiał się drugi. — Żłopie piwo! Te słowa wyraźnie dotyczyły „króla reporterów”.

— Jeżeli chcesz, to wezmę go za kołnierz i wyrzucę na ulicę — zaoferował się pierwszy z Amerykanów.

Sven Breman nadal spokojnie popijał swoje piwo, jak gdyby nie słyszał lub nie zrozumiał tych słów.

— Daj spokój — drugi z pijaków był nie mniej agresywny — sam się załatwię z piwojadem. Najpierw wyleję mu to świństwo na włosy, a później, trzymam zakład o dziesięć dolarów, że po jednym sierpowym łamaga przeleci przez cały hotel i wyląduje na ulicy.

— Panowie! Tylko spokojnie! — barman był przerażony zapowiadającą się awanturą.

Część obecnych w barze przezornie zajęła pozycje w pobliżu drzwi.

— Cholera! Nie mogę interweniować! — zaklął w duchu kapitan. Miał w kieszeni swój bezcenny aparat radiowy, a poza tym wmieszanie się do pospolitej bójkii barowej groziło wyproszeniem go z „Minerva-Palace Hotelu”. Oczywiście ze

wszystkimi honorami, które należą się gościowi akuratnie płacącemu rachunki.

Oficer kontrwywiadu miał ogromną ochotę poczęstować przynajmniej jednego z pijaków dobrze wymierzonym ciosem. Siedział jednak spokojnie, uważnie obserwując rozwój wypadków.

A Sven Breman siedział jak sparaliżowany na swoim barowym krzeselku. Nie widział albo udawał, że nie widzi znaków dawanych mu przez barmana, aby wycofał się póki jeszcze czas.

— Trzymam zakład, Bil, że nie zrobisz tego. Tylko w pysku jesteś mocny — pijacy nawzajem prowokowali się do wywołania bójki.

— Ja nie zrobię? — oburzył się towarzysz Bila. — Patrz!

To mówiąc wziął stojący przed Bremanem prawie pusty kufel i podniósłszy go, wylał resztki żółtego płynu na głowę dziennikarza.

Szwed i tym razem ani drgnął.

— A teraz uważaj jak leci — Amerykanin zamierzył się ręką ze zwiniętą dłonią w pięść, tak potężną jak dwukilowy bochen chleba.

Ale piekielny cios, który mógłby chyba wołu powalić, przeszył powietrze. Breman błyskawicznie się uchylił. Zeskoczył ze swojego stołka i zadał z dołu straszliwego haka, trafiając dokładnie w podbródek napastnika.

Głowa Amerykanina poleciała do tyłu. Jego wielkie ciało wylądowało bezwładnie jak wór piachu na podłodze baru.

— Ty, Świnio! — krzyknął drugi napastnik i nogą uzbrojoną w ciężki but usiłował kopnąć w brzuch „króla reporterów”.

Szwed zręcznie usunął się w bok. Noga napastnika poszła w górę. W tym samym momencie Sven schwycił ją prawą ręką i podniósł jeszcze wyżej. Amerykanin stracił równowagę. Nim jednak jego ciało dotknęło podłogi, Breman pozornie lekkim ruchem uderzył go wierzchem lewej dłoni w szyję. Taki cios w języku dzudoków nazywa się „karate”. Nie ma siłacza, który zdołałby się mu oprzeć. Drugi napastnik bez przytomności zwałił się koło swojego towarzysza.

Dziennikarz spokojnie wgramolił się na stołek barowy.

— Panie barman — zadysponował — dla mnie następne piwo i serwetkę, bo muszę wytrzeć włosy. A te dwa wieprze niech ktoś wywlecze do rynsztoka. Obudzą się za dwie godziny.

Tuż przed rozpoczęciem bójki barman nacisnął dzwonek alarmowy. Toteż nie upłynęły trzy minuty, kiedy do baru wpadło trzech policjantów.

— Kto to zrobił? — zapytał jeden z nich, widząc dwóch nieprzytomnych mężczyzn leżących pod bufetem.

— Ja — spokojnie odpowiedział dziennikarz.

— Kto?! — policjant roześmiał się jak z doskonałego żartu.

— Chce pan leżeć obok nich? — w głosie Bremana zabrzmiało ostrzeżenie. Wyczuwało się, że „król reporterów” nie zawaha się przed spełnieniem swojej groźby.

— Ci dwaj panowie napadli na pana Svena Bremana — szybko wtrącił barman — znanego dziennikarza z Malmö. Byli kompletnie pijani i chcieli wywołać awanturę. Pan Breman działał w obronie własnej.

— Breman z „Kvällsposten”? — zapytał drugi policjant.

— Do usług pana — dziennikarz skłonił się z ironią.

— Bardzo się cieszę, że miałem sposobność poznać pana i że nic mu się nie stało.

Policjanci pochylili się nad napastnikami.

— Nie są chyba pijani — mruknął któryś z przedstawicieli władzy. — Nie czuję alkoholu.

Drugi obszukał nieprzytomnych. Z kieszeni i spod pachy wyciągnął każdemu po pistolecie. Lustrował portfele.

— Wojskowi — wyjaśnił. — Amerykanie. Przyjechali do Szwecji na urlop z Niemieckiej Republiki Federalnej. No, cóż, trzeba ich stąd zabrać. Zadzwoń, Yngve, po karetkę pogotowia. Kiedy się obudzą, zwierzchnicy zadecydują co z nimi zrobić.

W tym momencie w progu baru stanął wysoki, przystojny blondyn. Z niedowierzaniem przyglądał się dwóm potężnym ciałom bezwładnie leżącym na podłodze. Był tak zaskoczony, że nie potrafił tego ukryć. Spodziewał się zupełnie innego

widoku.

— Ten Niemiec mieszka na czwartym piętrze — pomyślał Michał Wyganowicz — i jest za bardzo zdziwiony. Zaraz, zaraz... Przecież przed południem widziałem tych dwóch byczków, kiedy szli przez Kungsgatan, właśnie w jego towarzystwie. Muszę zwrócić baczniejszą uwagę na tego faceta. Ale dlaczego zawzięli się akurat na szwedzkiego dziennikarza? Trzeba to zbadać. Czyżby ci, którzy mnie zapewniali, że Sven Breman nie jest z nikim związany, byli w błędzie?

Pomimo późnej pory „król reporterów” nadał do Malmö swój pierwszy szlagier. Opisywał w nim luksusowy bar i dwóch napastników, usiłujących przeszkodzić dziennikarzowi w zbieraniu ważnych wiadomości—napastników niewątpliwie nasłanych przez kogoś potężnego, kto wolał pozostać w cieniu. Artykuł pełen był różnych niedopowiedzeń i aluzji. Nawiązywał też do dziejów ostatniej wojny, kiedy to w neutralnym wówczas Sztokholmie różne wywiady toczyły między sobą bezpardonową walkę.

Skutek artykułu, przedrukowanego, jak to zwykle bywało z artykułami Bremana, przez prawie całą prasę skandynawską, był natychmiastowy. Ambasada amerykańska wydała komunikat, wyjaśniający, że dwaj pijani żołnierze, którzy bez zezwolenia swoich władz przyjechali do Sztokholmu i tu wywołali gorszą awanturę, wydani zostali dowództwu wojsk amerykańskich w Niemieckiej Republice Federalnej i zostaną za swój wybryk surowo ukarani.

Ten komunikat gazeta Svena Bremana zamieściła w rubryce zatytułowanej „Kto chce niech wierzy”.

Do Warszawy, Langley i Pullach znowu poszły sążniste raporty. A w luksusowym gmachu „Minerva-Palace-Hotelu” z powrotem nastał spokój. Ale Sven Breman miał rację twierdząc, że jest to ten rodzaj spokoju, jaki zawsze panuje przed burzą.

Raporty te nie wywołały wielkiej radości w Pullach czy w Langley. W Warszawie zaś czoło pułkownika Mogajskiego, czytającego raport kapitana Wyganowicza, porysowało się

bruzdami. Doświadczony pracownik kontrwywiadu miał już pewność, że misja jego człowieka w stolicy Szwecji nie będzie ani łatwa, ani bezpieczna.

Pułkownik zwołał na naradę zaufane grono osób. Długo dyskutowano nad środkami, jakie należy dodatkowo przedsięwziąć, aby zarówno obu uczonym, jak i bezcennym dokumentom zapewnić absolutne bezpieczeństwo.

Do Sztokholmu, do kapitana Michała Wyganowicza, i nie tylko do niego, powędrowały nowe instrukcje.

Herr Oberst w Pullach zasępił się. On przecież także był przekonany, że osoba znanego dziennikarza Svena Bremana jest co najmniej niepożądana w „Minerva-Palace-Hotelu”. Zastanawiał się właśnie nad sposobami załatwienia sprawy, a tu taka nowina! Nie ulega wątpliwości, konkurencja zjawiała się, wyciąga ręce po tę samą zdobycz, a ponadto bardzo energicznie sobie poczyna.

W tej sytuacji pan z Bundesnachrichtendienst uznał, że jeden człowiek w Sztokholmie nie zdoła osiągnąć sukcesu. Tam potrzebnych jest więcej takich zdolnych i na wszystko zdecydowanych ludzi jak major. Nie wystarczy obstarwić „Minerva-Palace-Hotel”, odwody muszą znajdować się również na zewnątrz. Wydział Dokumentacji miał więc sporo i to bardzo pilnej roboty z przygotowaniem nowych paszportów. Znowu rezerwowano miejsca w samolotach lecących do Szwecji.

W Langley raport Jacka wywołał burzę wściekłości. Człowiekowi do specjalnych poruczeń, który przygotowywał akcję w barze hotelowym, dobrze dostało się po uszach. Wyszedł też bezwzględny zakaz zaczepiania pod jakimkolwiek pozorem dziennikarza. W ogóle, stwierdzono, należy działać bardziej rozważnie i lepiej się konspirować. W tym celu Jack otrzyma odpowiednie wsparcie. I niech przy pomocy otrzymanych posiłków nadal stara się dotrzeć do pokoju profesora, aby możliwie najdokładniej zbadać konstrukcję teczki.

Tu również wystawiono potrzebne dokumenty, ktoś zamawiał bilety na lot przez Atlantyk. Ktoś później nie

żałował napiwków, aby w „Minerva-Palace-Hotelu” otrzymać pokój właśnie na czwartym piętrze.

Jednocześnie w ogromnych archiwach wielkiego gmachu w Langley sprawdzano całą masę danych. Między innymi i o brazylijskim jubilerze, mieszkańcu Rio de Janeiro, który handluje szmaragdami i nazywa się Diego de Periera.

ROZDZIAŁ VI

Pierwsza próba

Tego wieczoru kapitan Michał Wyganowicz kładł się do łóżka zupełnie spokojny. Przed udaniem się na spoczynek oficer kontrwywiadu dokonał codziennej inspekcji. Młodszy z uczonych w nocnym barze, jak zwykle, podrywał jakąś dziewczynę lub też kontynuował znajomość zawartą poprzedniego dnia. Sven Breman samotnie ciągnął swoje piwo i nie odpowiadał na wyraźne awanse gości obydwu płci. Przystojny Niemiec emablował jakiegoś starszego pana o wybitnie angielskim typie. Dwaj izraelscy dyplomaci prowadzili w kącie sali bardzo ożywioną rozmowę z kimś, kto już na pierwszy rzut oka wyglądał na ich rodaka. Bar miał powodzenie. Większość gości komentowała wydarzenie sprzed dwóch dni i zdawała się wyczekiwać dalszego ciągu. Sam główny bohater tej historii, Sven Breman, niedwuznacznie przecież zapowiadał ten dalszy ciąg w swoich artykułach w „Kvällsposten”. Na razie jednak nic się nie działo i „król reporterów” z nieprzeniknionym wyrazem twarzy popijał „en pils”.⁶

Przed wstąpieniem do baru kapitan posłużył się swoim składanym, malutkim peryskopem. Profesor spod numeru czterysta dwudziestego siódmego pogrążony był po uszy w pracy.

Wieczór nie zapowiadał więc niczego nadzwyczajnego. Michał Wyganowicz uznał, że może spokojnie się położyć. Wprawdzie przez cały dzień nie udało mu się zamienić ani słowa z Margaretą, ale niepoprawny optymista, a młodzi ludzie są w miłości zawsze niepoprawnymi optymistami, liczył, że piękna Szwedka zdecyduje się powtórzyć swoją niedawną wizytę w jego pokoju.

Czekając na tę miłą chwilę, kapitan wypalił chyba ze trzy

6 en pils — jeden pilzner; w gwarze szwedzkiej — jedno piwo.

papierosy, potem usiłował czytać książkę, wreszcie po prostu usnął. Jeszcze raz sprawdziło się słynne powiedzenie, które biegli w swej sztuce rzemieślnicy epoki Odrodzenia ryli na frontonach orzechowych — bogato rzeźbionych łóż: „Ach, jakże często sen zwycięża miłość”.

Upływały godziny. Oficer smacznie spał, a Margareta nie zjawiała się w jego pokoju, gdy nagle stojące na nocnym stoliku radio odezwało się krótkim, przenikliwym dźwiękiem.

Pracownik służby wywiadowczej, poza wieloma różnymi zaletami, musi odznaczać się również czujnym snem, budzić się przytomnym i zdawać sobie sprawę, co spowodowało wyrwanie go z objęć Morfeusza. Wyganowicz miał te przymioty. Chociaż radioaparat już milczał, kapitan zerwał się z łóżka doskonale zorientowany, że alarm pochodzi z pokoju profesora. Ktoś usiłował dobrać się do wnętrza teczki.

Oficer kontrwywiadu szybko rozsunął swój peryskop i jego koniec, opatrzony małym lusterkiem pryzmatycznym, skierował w stronę niewielkiej szparki między firankami w oknie o piętro niżej.

Zdumiało go to, co tam ujrzał.

Oto na doskonale widocznym tapczanie leżał profesor z nogami dziwnie podkurczonymi i głową zadartą do tyłu. Wyganowiczowi wydało się, że profesor nie żyje. Temu pierwszemu wrażeniu zaprzeczył jednak widok odsłoniętych i miarowo poruszających się piersi. Profesor po prostu spał.

W pokoju, obok fotela z przypiętą doń teczką, stała jakaś kobieta. Ślicznie opalone ciało, prężne, dobrze rozwinięte piersi i długie nogi. Rudawe włosy bujną falą osłaniały szyję i twarz i kapitan, obserwujący tę postać przez swój aparat, nie mógł zidentyfikować osoby, mimo że wszelkie szczegóły budowy ciała były doskonale uwydatnione, bo za cały swój strój dziewczyna miała platynowy łańcuszek zakończony pod szyją jakąś złotą blaszką.

Kobieta ostrożnie odwróciła teczkę i delikatnym ruchem dotknęła zamka. Aparat na stoliku Wyganowicza odezwał się ostrym sygnałem alarmowym. Dziewczyna mocowała się z zamkiem, ale nie mogąc się z nim uporać, podeszła do

niedbale rzuconego na krzesło męskiego ubrania i zaczęła sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

— Co robić? — szybka jak błyskawica myśl przemknęła przez głowę oficera kontrwywiadu. — Czy biec na dół i wszcząć alarm?

Wyganowicz wpadł na inny pomysł. Przysunął sobie aparat telefoniczny i nakręcił numer: czterysta dwadzieścia siedem.

Na dźwięk dzwonka telefonicznego dziewczyna w popłochu przerwała swoją robotę i jednym skokiem zbliżyła się do tapczanu. Telefon zadzwonił po raz drugi. Ruda dama wśliznęła się pod koldrę. Ale nawet trzeci dzwonek nie obudził profesora. Przewrócił się on na drugi bok i, nie otwierając oczu, lewą ręką objął kibić kochanki.

Michał położył słuchawkę na widelki. Telefon przestał dzwonić.

— Nareszcie jakaś korzyść z tych białych nocy — stwierdził z zadowoleniem oficer. — Gdyby w pokoju było ciemniej, nie mógłbym posłużyć się swoim peryskopem. Trzeba by było zaopatrzyć go dodatkowo w noktowizor, a to bardzo utrudniłoby posługiwanie się tak skomplikowanym aparatem.

Kapitan nadal obserwował pokój profesora.

Dziewczyna leżała bez ruchu, ale nie spała. Oficer wywiadu mógł przyjrzeć się teraz jej twarzy. Tak, nie omylił się utożsamiając właścicielkę rudych włosów z przystojną Angielką, która mieszkała na czwartym piętrze w pobliżu pokoju profesora.

Wreszcie kobieta doszła do wniosku, że telefon zadzwonił przypadkowo. Zręcznym ruchem wysunęła się z objęć kochanka. Jeszcze sprawdziła czy mocno śpi i nadśłuchiwała uważnie, ale w całym hotelu panowała cisza. Nawet umilkły dźwięki muzyki cygańskiej, zazwyczaj aż tutaj dobiegające z nocnego baru.

Teraz agentka ostrożnie wstała z tapczanu i znowu dobrała się do marynarki profesora. Kiedy zagłębiła rękę w jednej z kieszeni, telefon odezwał się ponownie. Dziewczyna szybko wróciła na tapczan. Ale i tym razem nic nie zdołało obudzić uczonego.

— Czyżby dostał jakiś środek nasenny? — dziwił się kapitan, kładąc słuchawkę na widełki. Nie zwinął jednak peryskopu.

Znowu płynęły minuty. Po pewnym czasie piękna dziewczyna po raz trzeci podjęła swoją próbę. Wyganowicz po raz trzeci nakręcił numer czterysta dwadzieścia siedem.

Tym razem kobieta zachowała się inaczej. Już się zorientowała, że jest obserwowana. Wprawdzie przerwała grzebanie w kieszeniach ubrania profesora, ale nie położyła się, a stojąc koło tapczanu i zupełnie nie krępując się swoim dość skromnym przyodziewkiem, ujęła w rękę wiszący na szyi klejnot i obróciła się wokoło. Najwyraźniej w tym celu, aby niewidoczny obserwator mógł spostrzec trzymany przez nią przedmiot.

Oficer kontrwywiadu doskonale przyjrzał się złotemu cacku. Na żółtej blaszce wryta była piękna główka nieszczęśliwej królowej Egiptu, Nefretete. Rzeźba, jakich tysiące ozdabia szyje polskich dziewcząt.

Zadowolona ze swojego pomysłu, dziewczyna śmiało podeszła do leżącej na krześle marynarki i zagłębiła rękę w tę kieszeń, gdzie zazwyczaj mężczyźni noszą klucze.

Telefon odezwał się po raz czwarty.

Ruda piękność pogroziła niewidzialnemu wrogowi pięścią, a potem machnąwszy ręką wróciła na tapczan.

Położyła się obok kochanka i delikatnymi pieściami usiłowała go obudzić...

Kapitan doszedł do wniosku, że oglądana przez niego scena ma już charakter wybitnie intymny, przerwał więc swoje obserwacje.

Oficer kontrwywiadu czuwał aż do rana. Ale jego aparat radiowy nie odezwał się więcej. Wznawiane od czasu do czasu obserwacje peryskopowe potwierdzały, że teczce nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Chyba raczej profesorowi... Ale zadaniem kapitana nie było przecież chronienie uczonego przed zbyt wielkim temperamentem młodych Angielek. Wszystko zresztą wskazywało, że wbrew pozorom profesor i z tej próby wychodzi zwycięsko.

Kiedy czcigodny jubiler Diego de Periera opuścił swój

pokój, zjadł w restauracji hotelowej obfite, ale również bardzo drogie śniadanie, zapytał szefa recepcji o mrs. Thomsson, usłyszał w odpowiedzi:

— Niestety, szanowny pan nieco się spóźnił. Mrs Thomsson musiała nagle przerwać swój pobyt i w Sztokholmie i porannym samolotem poleciała do Londynu. Wiem o tym dobrze, bo sam dzwoniłem na lotnisko, aby upewnić się czy jest jeszcze jedno miejsce w maszynie odlatującej o godzinie siódmej dwadzieścia dwie.

— Szkoda — westchnął Diego de Periera. — Może mógłbym zrobić z nią jakiś interes. To piękna kobieta — dorzucił.

— Bardzo piękna — potwierdził szef recepcji — i w przeciwieństwie do niektórych Angielek często odwiedzających nasz hotel wielka dama. W ogóle nie zwracała uwagi na umizgi mężczyzn. Choćby młodych i zbudowanych jak Apollo.

— Może — dorzucił Brazylijczyk — wołała siwowłosego Hefajstosa z Kuźni Urana? Łatwiej jest pisać palcem na wodzie, niż poznać gusta kobiety.

— Szanowny pan ma rację — grzecznie przytaknął szef recepcji. — Mrs Thomsson była niepokieszona, że musi tak nagle opuścić Sztokholm.

— Wcale jej się nie dziwię — kapitan potwierdził z całym przekonaniem. — Szkoda.

Po załatwieniu swoich codziennych, jubilerskich spraw, Michał Wyganowicz pośpieszył na umówione spotkanie z człowiekiem ze Sydsvenska Dagbladet w rękę w małym lokaliku, położonym przy Odengatan, tuż obok Sveavägen, naprzeciwko wielkiego domu towarowego „Domus”. Obaj mężczyźni długo komentowali wydarzenia ubiegłej nocy w pokoju profesora.

— Miał pan piękny widok — śmiał się łącznik — zupełnie jak w pewnych ekskluzywnych kinach. Najbardziej mnie ciekawi, dlaczego ta babeczka pokazywała swój naszyjnik. To przecież nie był odruch przestraszonej czy zawstydzonej kobiety.

— Nie — zgodził się kapitan — to był znak dla mnie. Żebym nie przeszkadzał. Najwyraźniej wywiad, który usiłuje zdobyć tajemnice umowy licencyjnej między Polską i Szwecją, używa

jako znaku rozpoznawczego podobizny Nefretete.

— Płacić — zawołał nagle rozmówca kapitana. Rzucił na stół dziesięć koron i, nawet nie sprawdzając reszty, wstał ze swojego miejsca.

— Dziękuję panu za tę propozycję — powiedział może trochę głośniejszym głosem niż zazwyczaj — niestety, pańska oferta jest zbyt wygórowana. Ostatnio szmaragdy mocno staniały. W razie jakiejś rozsądnej obniżki ceny, moglibyśmy dojść do porozumienia. Wtedy wziąłbym tę partię, o której mówiliśmy.

— Ależ to naprawdę wyjątkowo piękna kolekcja — oficer kontrwywiadu od razu wpadł w temat, jak gdyby przed tym rozmowa dotyczyła drogich kamieni — zresztą sam nie mogę zdecydować. Muszę się porozumieć z moim wspólnikiem w Rio de Janeiro. Mam już kilka innych ofert i rozpoczętych rozmów.

— Dobrze. W razie czego pan wie jak mnie znaleźć. Do widzenia — łącznik szybko wyszedł z lokalu.

Michał powoli dopijał swój mrożony sok z pomarańczy. Pozornie nie zwracał uwagi na nikogo. Wyjął nawet długopis i kreślił na serwetce jakieś cyfry. Jak gdyby obliczał zyski przyszłej transakcji. Jednocześnie dokładnie lustrował wszystko i wszystkich znajdujących się w lokalu. Niedługo szukał. Dwa stoliki dalej siedział wysoki dryblas o długich zaondulowanych starannie włosach. Ubrany był we flanelową koszulę, w żółto-czarny wzorek. Ta koszula na pewno od dawna nie zetknęła się ani z wodą, ani z mydłem. To samo chyba można by powiedzieć o rozwichrzonej brodzie i wąsiskach blondasa. Za ciasne dzinsy były upstrzone różnokolorowymi plamami z olejnej farby. Z przykrótkich spodni wystawały gołe i bez butów nogi, również nie pierwszej czystości.

Na szeroko odsłoniętej piersi, bo koszula nie miała ani jednego guzika, młody „hippis” nosił zwykły, konopny sznurek, na końcu którego dyndała wielka, miedziana blacha. Odcisnięto na niej charakterystyczną główkę żony egipskiego faraona.

„Szarpany w ondulację” — jakby go nazwał Wiech

— toczył wokoło dumnym spojrzeniem. Był pewien, że jest

ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Ale nawet gdyby rozebrał się do naga i na głowę włożył nocnik, nikt w całym Sztokholmie nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. Każdemu tutaj wolno się wygłupiać. Nikogo to nie obchodzi, dopóki w ślad za ekstrawagancją nie następuje kolizja z prawem. Wtedy natychmiast zjawiłby się czarny samochód z białym pasem i napisem „polis”.

Kapitan odczekał jeszcze kilka minut, potem wstał, niedbałym krokiem skierował się do wyjścia i podszedł do zaparkowanego w pobliżu samochodu. Usadowił się za kierownicą, pilnie obserwując w lusterku czy nie jest śledzony. Później, co najmniej przez pół godziny, jeździł zygzakiem, po różnych ulicach miasta, starając się, aby jego wóz przejeżdżał przez skrzyżowania jako ostatni, tuż przed zapaleniem się czerwonego światła. W ten sposób sprawdzał czy nikt za nim nie podąża. Po zatoczeniu dużego koła zostawił wóz na Eriks Plan i zjechał ruchomymi schodami do metra. Jeszcze kilka przesiadek. Nie, stanowczo nikt nie deptał mu po piętach. Kapitan spokojnie opuścił metro i udał się alejkami Humlegarden. Tutaj, w pobliżu gmachu Kungl Biblioteket — Królewskiej Biblioteki, czekał na niego jego łącznik.

Panowie wybrali zacisznie położoną ławeczkę i podjęli rozmowę tak nagle przerwana na Odengatan.

— Przyznaję, to bardzo sprytne z tą Nefretete. Agenci mogą nie znać się nawzajem — mówił łącznik — a. dzięki temu znakowi jeden nie wchodzi drugiemu w drogę. Pańska Angielka...

— Nie moja — szybko sprostował oficer — tylko profesora.

Obydwaj mężczyźni roześmieli się.

— Angielka — ciągnął łącznik — widząc, że jej przeszkadzają, sądziła, że robi to jakiś nieznany jej kolega z tego samego wywiadu. Dlatego uważała za stosowne przedstawić się.

— Tak — zgodził się Michał — rzeczywiście pokazała dość dużo. A przede wszystkim swój medalion z Nefretete. Dzięki temu mamy pierwszą wskazówkę: należy zwrócić baczną

uwagę na ten znak.

— Właśnie — potwierdził łącznik. — Każda kobieta i każdy mężczyzna, niestety takie czasy, że i przedstawiciele naszej płci obwieszają się błyskotkami, noszący na piersi Nefretete mogą być członkami wrogiej nam bandy. Dlatego na widok tego dziwaka wolałem opuścić kawiarnię, chociaż jestem prawie pewny, że facet nie miał nic wspólnego z naszymi przeciwnikami.

— Dzięki Angielce dowiedzieliśmy się jeszcze jednej rzeczy — zauważył kapitan.

— Jakiej?

— Że podejrzenia, które miał pułkownik, podejrzenia dotyczące ewentualnej próby zawładnięcia tajemnicą dokumentów licencyjnych, były w pełni uzasadnione. Wróg postanowił wykorzystać okazję, jaką jest fakt, że sekret katalizatora musi wyjść z niedostępnych dla nikogo podziemi gmachu Svenska Atom i przewędrować do Polski. Pierwsza próba nie udała się naszym przyjaciołom. Ale niewątpliwie nie zrezygnują ze swojego celu i ponowią wysiłki. Tylko teraz wiedząc, że i my czuwamy, będą znacznie ostrożniejsi.

— A kto wie czy i nie bardziej bezwzględni — dorzucił łącznik.

— Na to byłem przygotowany od samego początku. Ale dopiero dzisiaj w nocy zrozumiałem powód zamachu na szwedzkiego dziennikarza.

— Pan sądzi, że był z kimś w zмовie? To wykluczone!

— Zgoda. Ale ten facet coś wywahał. Po prostu za dużo wie, albo zbyt wiele się domyśla. Poza tym on nieustannie śledzi mieszkańców „Minerva-Palace-Hotelu”. Gdziekolwiek się ruszę, na jakiegokolwiek piętro pojadę, do jakiegokolwiek lokalu wejdem, nie upłynie kwadrans, żeby Szwed nie wetknął tam swojego nosa.

— A to ciekawe.

— Mnie on nie przeszkadza, bo ja pilnuję, żeby nic się nie działo. Jego wścibstwo jest mi nawet na rękę. Ale tym, którzy marzą o dostaniu się do wnętrza teczki profesora, szpetnie się naraża.

— Wywiadowi amerykańskiemu. Oslawionej CIA.

— Na nią wskazywałyby fakt, że napastnikami byli dwaj żołnierze amerykańscy z garnizonu Niemieckiej Republiki Federalnej, ale to też trzeba przyjmować z pewnym zastrzeżeniem.

— Dlaczego?

— Mogli być po prostu wynajęci do spełnienia tej brudnej roboty. Wśród żołnierzy amerykańskich odbywających służbę w NRF bywają różne typy, nie mówiąc o ludziach powiązanych z gangsterami bądź zwykłych „rewolwerowcach”. Za kilkaset lub kilka tysięcy dolarów znajdzie się tam bez większych trudności ochotników do znacznie bardziej ryzykownego zadania niż wykończenie takiego cherlaka, jakim z pozoru jest szwedzki dziennikarz.

— Tylko cudzoziemiec mógł się na to złapać. Sven Breman w młodości był najlepszym szwedzkim „kogutem”, wielokrotnym mistrzem kraju i olimpijczykiem. Później, kiedy nowy sport, dżudo, dotarł do Europy, Breman był jego gorliwym propagatorem w Szwecji. Do niedawna jeszcze startował. Zdobył nawet jakieś japońskie stopnie tego sportu. Niewielu Szwedów poszłoby na awanturę z „królem reporterów”.

— Całe szczęście dla Svena, że pracodawca tych dwóch drabów nie znał szczegółów opowiadanych przez pana.

— Tak pan sądzi?

— Dżudok może się obronić nawet przed kilkoma łobuzami, ale najlepszy sportowiec nie potrafi uniknąć kuli. Szwed stał komuś na przeszkodzie. Chciano go unieszkodliwić pod pozorem bójki w knajpie. Gdyby obliczono trudności tego przedsięwzięcia, użyto by na pewno pistoletu. Stanąć w drzwiach knajpy i oddać strzał przez kieszeń to niewielka sztuka.

— Ale jeszcze trzeba uciec. W Szwecji nie ma wprawdzie kary śmierci, jednak i tych dziesięć lat więzienia nie stanowi wielkiej przyjemności.

— Jeden by strzelał — drugi by go asekurował a trzeci czekałby w samochodzie przed hotelem. Sto przeciwko

jednemu, że udałoby się im uciec.

— Chętnie przyjąłbym ten zakład. Na pewno bym go wygrał. Pan nie zna i nie docenia naszej szwedzkiej policji. Choć jej za często nie widać, zawsze w porę zjawia się tam, gdzie potrzeba. Ile minut upłynęło od początku awantury do przybycia samochodu z patrolem?

— Nie więcej niż pięć. Ale pięć minut wystarczy do oddalenia się o pięć kilometrów od „Minerva-Palace-Hotelu”. — Michał Wyganowicz nie dawał się przekonać swojemu rozmówcy.

— A jednak byliby złapali — stwierdził kategorycznie łącznik. — Wracajmy jednak do naszych spraw. Zaraz sporządzę dokładny raport dla pułkownika Monajskiego. Poprosimy o dalsze instrukcje. Zastanawiam się, czy nie byłoby słuszne wzmocnić naszą dwuosobową ekipę jeszcze paroma ludźmi, tym bardziej że ja, ze zrozumiałych względów, muszę pozostawać w cieniu i nie pokazywać się w „Minerva-Palace-Hotelu”. Dobrze byłoby też zmienić tego babiarza na jakąś bardziej stateczną osobę. Profesor już teraz nie ma z niego żadnego pożytku, a cóż dopiero wówczas, kiedy zbliży się prawdziwe niebezpieczeństwo.

— To racja, ale obawiam się, że za późno na wszelkie zmiany. Ten szczeniak musi być przez nas tolerowany. Całe szczęście, że nie jest w nic wtajemniczany i że przynajmniej nie przysparza nam dodatkowych kłopotów. A co do pomocy? Mam wrażenie, że jej nie uzyskamy. Przygotowanie człowieka do tego rodzaju akcji wymaga pewnego czasu, a tego mamy bardzo mało.

— Tak — przyznał łącznik — praca profesora w Svenska Atom jak się orientuję, wchodzi w decydujące stadium. Rozpoczęto już doświadczenia z katalizatorem.

— Byłoby dobrze — dodał kapitan — aby pan zasugerował pułkownikowi Mogajskiemu, iż należy ostrzec profesora. Musi się on mieć na baczności. Nawet i ten flirt z dziewczyną mógł się dla niego smutnie skończyć. Gdyby nie zabezpieczenie teczki w sygnał alarmowy, Angielka, być może, zapoznałaby się z dokumentami. Myślę zresztą, że

ubiegłej nocy nie miała zamiaru dobrania się do zawartości tej przenośnej kasy pancерnej, bo przecież orientowała się, że najważniejszej rzeczy jeszcze w niej nie znajdzie. Po prostu chciała poznać technikę otwierania tej teczki. Usidliwszy już uczonego, w odpowiednim czasie ukradłaby, a raczej sfotografowała formuły katalizatora. Ja jestem w trudnej sytuacji. Profesor nic o mnie nie wie. Nie mogę się do niego zwrócić bezpośrednio lub za pośrednictwem naszej ambasady. Pozostaje droga przez Warszawę, przez pułkownika. Byłoby też bardzo pożądane, aby ktoś właściwy dobrze zmył głowę temu młokosowi i przywołał go do porządku. Ostatecznie nie wysłano go na wycieczkę krajoznawczą ani dla podrywania kociaków hotelowych.

— Słusznie. Na te sprawy położę szczególny nacisk

— zapewnił łącznik. — Sądzę, że powinien pan zrobić spis wszystkich mieszkańek hotelu, które nosiły względnie noszą medalion z Nefretete.

— To doskonały pomysł — przyznał kapitan. — Jutro dostarczę panu pełną listę.

Pracownicy kontrwywiadu pożegnali się i rozeszli w różne strony. Kapitan podążył do najbliższej stacji metra, aby dojechać do swojego samochodu, zaparkowanego na Eriks Plan. Nagle w metrze przypomniał sobie pewien szczegół i aż zbladł z wrażenia.

Oto Margareta w jego pokoju. Położyła mu rękę na głowie i mówi: „Najpierw zaprasza mnie na koniak, a później udaje, że śpi. Czy to ładnie?” On, Michał wyciąga do dziewczyny rękę, chcąc ją objąć. Margo uchyla się, zsuwa z ramion szlafroczek, pod nim nic nie ma. Jeszcze tylko sięga do szyi i zdejmuje łańcuszek. Wślizguje się pod kołdrę. Tak, kapitan doskonale to pamięta. Na tym łańcuszku znajdował się medalion... z Nefretete.

A on głupi, uwierzył w miłość od pierwszego wejrzenia.

— Jakim jednak cudem — zastanawiał się oficer — mogli mnie tak szybko zdekonspirować? To chyba niemożliwe. Przecież nie zrobiłem najmniejszego błędu i aż do poprzedniej nocy nie brałem udziału w grze. Już prędzej

banda uważa za podejrzanych wszystkich cudzoziemców, którzy przybyli do „Minerva-Palace-Hotelu” w tym czasie co polscy uczeni, i każdego z nich usiłują rozpracować. To zadanie w stosunku do mojej skromnej osoby powierzono właśnie Margarecie. Dobrze!

— postanowił kapitan — niech zajmuje się mną tak dalej. Już ja jej w końcu za wszystko zapłacę.

Po powrocie do swojego pokoju, Michał znalazł na stoliku małej świstek papieru.

„Kochany, może mi się uda przyjść do ciebie. Ale chyba bardzo późno w nocy. Nie zamykaj drzwi na klucz. Całuję”.

— Ciekawe — zastanawiał się Wyganowicz — czy przyjdzie sama, czy też przyśle mi jakichś niespodziewanych gości. W tym samym rodzaju jak ci dwaj z baru?

Postanowił nie zamykać drzwi, ale być przygotowanym na najgorsze.

Dokonując codziennej, wieczornej lustracji „stanowisk bojowych”, kapitan zajrzał i do baru. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, na jego widok Sven Breman grzecznie wskazał mu miejsce koło siebie przy bufecie, a u barmana zadysponował:

— Proszę dwa Martele. Dla mnie i dla pana Diego de Periera.

Kiedy barman postawił na kontuarze dwa kieliszki, „król reporterów” podnosząc swój do góry wznosił toast:

— Piję za zdrowie człowieka, który wynalazł telefon. To był prawdziwy geniusz!

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy oficera.

Z uśmiechem wypił aż do ostatniej kropelki i dodał:

— Ma pan rację, redaktorze. Cóż ja bym zrobił bez telefonu. Ten genialny wynalazek pozwolił mi dzisiaj połączyć się z Rio de Janeiro i rozmawiać ze współnikiem. Dzięki temu zrobię prawdopodobnie dobry interes i sprzedam w Sztokholmie dużą partię szmaragdów.

— Powinniście też — dorzucił Sven Breman — zająć się handlem medalionami. Taka na przykład Nefretete. Przecież to idzie jak woda. Nawet jedna pokojówka nosi tego rodzaju

talizman. A jeszcze piękniejszy miała ta śliczna Angielka, która tak nagle dzisiaj wyjechała. Szkoda, wielka szkoda.

— Czyżby się pan, redaktorze, zakochał?

— Ja nie i wszystkich mężczyzn przed tym głupstwem ostrzegam.

— Słusznie, redaktorze. Panie barman, jeszcze dwa Martele, ale na mój rachunek. Wypijemy za: precz z miłością!

Obaj panowie z całą powagą spełnili do dna ten dziwny toast.

ROZDZIAŁ VII

Pierwszy wysiada z gry

Wieczorem, po powrocie do swojego pokoju, kapitan i zachowywał się jak człowiek, który szykuje się do snu. Ale kiedy szczelnie zasunął portiery w oknie, dokładnie zbadał cały pokój, czy nie ukryto w nim jakiejś kamery lub choćby mikrofonu, a dopiero potem położył się. Drzwi wejściowych nie zamknął na klucz.

Gdzieś około godziny jedenastej jak zwykle, zgasił światło. Natychmiast po tym zsunął się z tapczanu na dywan i starając się nie robić najmniejszego hałasu, dotarł do fotela, który niby przypadkiem postawił tak, że otwierane do wewnątrz drzwi całkowicie go zasłaniały. Na tapczanie, pod kołdrą, umieścił manekin sporządzony z piżamy wypchanej dwoma kocami. Pistolet schował w fałdzie fotela. Poza tym Michał zaopatrzył się w krótki, ciężki metalowy pręt. Straszna broń w walce wręcz.

Mijały godziny. Zegar na „Nordiska” już dawno przekroczył północ. Przeszła i pierwsza w nocy. Nic się nie działo i cisza panowała w całym hotelu. Ale chociaż oficer nasłuchiwał i nerwy miał napięte jak postronki, nie usłyszał lekkich kroków na korytarzu. Dopiero drgnięcie klamki i cichutkie uchylene drzwi były sygnałem, że ktoś usiłuje wejść do środka.

Kapitan czekał. Był zdecydowany uderzyć, jeśli tylko zobaczy męską głowę. Ale to tylko Margareta wśliznęła się do pokoju. Równie cicho zamknęła drzwi na klucz i zbliżyła się do tapczanu.

— Śpisz?—zapytała szeptem.—Nie mogłam przyjść wcześniej.

Michał podszedł z tyłu i objął ją obu rękoma. Przestraszona dziewczyna wydała okrzyk trwogi i usiłowała się wyrwać.

— Zrobiłem ci małą niespodziankę — roześmiał się oficer.

Kiedy dziewczyna zmęczona usnęła przy jego boku, kapitan czuł aż do rana. Bał się choć na moment zmrużyć oczy

przy kobiecie, której pieśszoty były tak słodkie i tak gorące, która wprawdzie dzisiaj przysłała bez medalionu z Nefretete, ale nosiła ten naszyjnik jeszcze do wczoraj.

Przez całą noc Margareta nie zadała kochankowi ani jednego podchwytliwego pytania, zmierzającego do rozszyfrowania roli, jaką rzekomy jubiler miał do spełnienia w „Minerva-Palace-Hotelu”. Wyganowicz także o nic nie pytał, usiłował grać rolę mężczyzny zakochanego bez pamięci, nie zdołał jednak zwieść dziewczyny. Kiedy rano całowała go na do widzenia, cicho szepnęła:

– Już mnie nie kochasz. Już nigdy nie przyjdę do ciebie. Żegnaj.

Nie czekając odpowiedzi, szybko zamknęła za sobą drzwi.

Od tej nocy dziewczyna wyraźnie unikała Wyganowicza. Jeżeli nawet przypadkowo spotkała go na korytarzu, mijała Michała jak przystało na dobrze wyszkoloną pokojówkę, uprzejmie kłaniając się ze słowami: „Dzień dobry, szanownemu panu”. Oficer również nie usiłował nawiązać zerwanej tak nagle znajomości, ale i nie próbował oszukiwać samego siebie. Pomimo podejrzenia, że Margareta jest agentką wrogiego wywiadu, dziewczyna podobała mu się nadal. A nawet więcej niż podobała.

Parę dni upłynęło znowu w zupełnym spokoju.

Tego piątkowego popołudnia profesor pracował w swoim pokoju, a teczka przypięta była do fotela. Kapitan sprawdził to osobiście dzięki swojemu małemu peryskopowi. Uczony otrzymał widocznie odpowiednie ostrzeżenie z Warszawy, bo prowadził jeszcze bardziej regularny tryb życia. Wracał ze Svenska Atom, zjadał obiad, pracował do wieczora, udawał się do restauracji hotelowej na kolację, po czym ze dwie godziny czytał przed udaniem się na spoczynek. Całkowicie zrezygnował z wychodzenia na miasto po południu.

Oficer kontrwywiadu nie wiedział czy asystentowi profesora również zwrócono uwagę. Jeżeli tak było, ewentualne ostrzeżenie czy nawet nagana nie odniosły pożądanego skutku. W dalszym ciągu młody człowiek nie opuszczał przed północą nocnego baru i nigdy też nie

opuszczał go samotnie. Zdarzyło się, że goście hotelowi interweniowali u szefa recepcji, iż pan z numeru sześćset czterdziestego dziewiątego, wbrew przepisom o ciszy nocnej, zachowywał się nieco za głośno w swoim pokoju.

Kapitan był całkowicie przekonany, że profesor będzie pracował jak zwykle aż do kolacji. Pomimo to oficer kontrwywiadu siedział w swoim pokoju. Radio nastawione na Luksemburg cichutko grało i ani razu nie odezwało się sygnałem alarmowym.

Wszystko więc było w zupełnym porządku.

Tymczasem w pokoju profesora zadzwonił telefon. Uczony podniósł słuchawkę, zamienił ze swoim rozmówcą kilka słów, po czym zjechał windą na dół, do kawiarni hotelowej. Kapitan kilka razy podchodził do okna, nad słuchując odgłosów z pokoju profesora, ale nie słysząc żadnego, sądził, że uczony nadal pracuje. Zbyt częste używanie peryskopu w godzinach wielkiego ruchu zarówno na ulicy, jak i w hotelu było niebezpieczne. Oficer wolał nie ryzykować bez istotnej potrzeby. Nie widział ani wyjścia profesora, ani nie wiedział tego, że ledwie zamknęły się za nim drzwi, na korytarzu ukazał się wysoki, przystojny blondyn. Ten sam, który zameldował się tutaj jako przybysz z Niemieckiej Republiki Federalnej. Przechodząc koło apartamentu polskiego uczonego młody człowiek rozejrzał się uważnie, a nie dostrzegając nikogo na korytarzu, szybko włożył klucz w zamek, jeszcze szybciej otworzył drzwi i znalazł się w środku.

Teraz pierwszą jego czynnością było dokładne zamknięcie drzwi. Potem Jack wyjął spod marynarki cienką, ale mocną nylonową linkę. Wprawnym ruchem zawiązał ją na balustradzie balkonu. Użył do tego tak zwanego „złodziejskiego węzła”, polegającego na tym, że po zjechaniu w dół, można jednym szarpnięciem ściągnąć za sobą linkę. Już mógł spokojnie zabrać się do roboty. Odwrót miał zabezpieczony.

Wysłannik CIA długo i dokładnie oglądał teczkę, ale jej nie dotykał. Specjalne jego zainteresowanie budził przede wszystkim łańcuszek, którym teka była przymocowana do

fotela.

— Okey — stwierdził — solidna robota. Tego się nie ugryzie bez hałasu i przed upływem co najmniej pół godziny. W razie czego trzeba raczej ciąć fotel. Sprytnie.

Młody człowiek wyjął z kieszeni malutki przedmiot na gumowej przyssawce, rozejrzał się i po namyśle umocował go pod ramą tego samego fotela, do którego przypinana była teczka. Widocznie w myśl zasady, że pod lampą jest zawsze najciemniej. Drugi mikrofonik równie sprytnie zainstalował pod blatem stylowego biureczka stojącego w saloniku.

Teraz agent wywiadu zajął się rzeczami profesora. Szybko, ale dokładnie zrewidował wiszące w szafie ubrania. Sprawdził czy nic się nie kryje pod bielizną. Nie zapomniał o tapczanie. Przekartkował leżące na stole książki, skrupulatnie szukając w nich jakichś notatek. Rozłożoną na stole, porzuconą w pół słowa, pracę profesora, Jack początkowo usiłował odczytać. Ale widząc, że pisana jest w nieznanym mu języku, agent wyjął z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny i dokonał kilku zdjęć. Ani myślał utrwać na kliszach całości pracy. Wystarczyło przecież mieć odbitki kilku stron, a fachowcy w Langley dojdą już na tej podstawie, czy jest to opracowanie dotyczące sposobów wzbogacania rud uranu, czy też jakiś inny referat naukowy, przygotowywany przez profesora w czasie wolnym od zajęć w Svenska Atom. Jack był pewien, że raczej to drugie, ale wiedział, że CIA ma tak wszechstronne zainteresowania, iż najbardziej niewinny świstek papieru może mieć dla niej znaczenie. Jeżeli tak, wróci tutaj i dokończy swojej „fotografiki”.

Rewizja była skończona. Pozostawało jedynie wydostać się z tego pokoju tak dyskretnie, aby nikt tego nie zauważył. A licząc na najgorsze, nie mieć przy sobie niczego kompromitującego. Agent wyjął z kieszeni pudełeczko — przyłożył je do ust i powiedział:

— Jestem już gotów, a co tamci?

— Wszystko w porządku — odezwał się głos z radioaparatu, kiedy Jack przesunął guzik na „odbiór”.

— Nie wygląda na to, żeby mieli się stąd szybko ruszyć, bo dopiero co miałem wiadomość, że piją kawę i rozmawiają. Załatwiłeś?

— Tak jest. Łącznie z serią ciekawych zdjęć.

— Dobra. Rzuć mi to wszystko, a potem będę cię asekurował na korytarzu.

Agent wyjął ze swoich przepastnych kieszeni mały pojemnik plastikowy. Włożył do niego radioaparat oraz aparat fotograficzny. Wyszedł na balkon. Trzy numery dalej, na takim samym balkonie, stał jego współpracownik. Jack rzucił mu swoją paczkę. Tamten zręcznie złapał cenny ładunek i momentalnie zniknął w głębi swojego pokoju.

Jack zamierzał wycofać się z balkonu, kiedy zobaczył, że otwierają się drzwi wejściowe do numeru profesora. Nie było ani sekundy do stracenia, ani żadnych możliwości ukrycia się. Pozostawała jedyna droga odwrotu — zjazd po linie asekuracyjnej.

Zjechać po sznurze z czwartego piętra w biały dzień, o piątej po południu było ryzykowne pod każdym względem. Jack liczył na to, że siły go nie zawiodą, a także że jego sportowy wyczyn ujdzie uwadze, ponieważ okna apartamentu profesora wychodziły na małą, boczną uliczkę, zastawioną parkującymi samochodami; z drugiej jej strony rozciągał się park miejski. Jack szybko przełożył linę przez nogę, tak jak to robią alpiniści przy zjeździe ze skały, by za moment zawisnąć w powietrzu.

Tymczasem do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Kiedy spostrzegł znikającego za balkonem człowieka, podbiegł do balustrady. Wychylił się i zrozumiał sytuację. Agent CIA znajdował się dopiero na wysokości trzeciego piętra; niełatwo jest nadać większe tempo takiemu zjazdowi.

Człowiek na balkonie nie wahał się. Zdecydowanym ruchem wyjął z kieszeni sprężynowy nóż. Sekundę chyba trwało wysunięcie zeń stalowego ostrza i przecięcie nylonowej linki. Opuszczający się po niej człowiek nawet nie zdążył krzyknąć, kiedy runął z wysokości co najmniej piętnastu metrów na płyty chodnika. Daremnie usiłował

wstać. Uniósł głowę i część tułowia, ale natychmiast bezwładnie przywarł do trotuaru.

Morderca nie tracił czasu. Jak błyskawicznie i niepostrzeżenie wśliznął się do pokoju uczonego, tak samo szybko i bezszelestnie z niego zniknął, zabierając ze sobą resztki uciętej linki.

Zbrodniarz nie mógł nawet usłyszeć cichego trzasku, jaki wydaje migawka aparatu fotograficznego. Fotograf znajdował się w innym pokoju, chociaż na tym samym piętrze. Ktoś, kto od kilku godzin czatował za na wpół zasłoniętym firanką oknem. Może nie spodziewał się, że będzie świadkiem zbrodni. Był jednak pewien, że jego pasja fotograficzna zostanie uwieczniona powodzeniem, a cierpliwość nagrodzona. Utrwalił na błonie jedyny w swoim rodzaju widok.

Fotograf schował starannie aparat do walizki i bez pośpiechu opuścił swój pokój. Ani mu do głowy nie przyszło, aby wszcząć alarm. Wiedział dobrze, że człowiekowi leżącemu na chodniku nie pomoże żaden lekarz. A spłoszenie lub ujęcie zbrodniarza będzie miało jedynie ten skutek, że znany i rozszyfrowany przez niego agent zastąpiony zostanie następnym, o nieznanym mu twarzy.

Gdyby mężczyzna z aparatem fotograficznym pośpieszył się i natychmiast wyszedł na korytarz hotelowy, mógłby tam dokonać kilku następnych ciekawych zdjęć mordercy, gdy ten szybko biegł, aby zniknąć w drzwiach jednego z pokoiów. Fotograf, który doskonale wiedział jakie nazwisko nosi człowiek ze sprężynowym nożem i w jakim numerze na czwartym piętrze mieszka, dowiedziałby się dodatkowo, że zbrodniarz schronił się nie u siebie, lecz dość daleko od apartamentu profesora Jabłoniowskiego.

Amator oryginalnych zdjęć spostrzegłby także, że jedne z licznych drzwi pokoi hotelowych nie były zamknięte, lecz tylko uchylone. Ktoś z wnętrza pomieszczenia pilnie obserwował korytarz. Ten ktoś widział postać wymykającą się z pokoju polskiego uczonego. Był niemile zaskoczony, że sylwetka wychodzącego stamtąd człowieka jest mu nie znana

i nie podobna do tej, którą spodziewał się zobaczyć. Zdziwienie obserwatora wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zorientował się, że mężczyzna opuszczający apartament Jabłoniowskiego ucieka w popłochu. Obserwator, zupełnie zdezorientowany, opuścił wreszcie swój punkt przy drzwiach, by tropić uciekającego. Niestety, nie zdołał zauważyć jego twarzy, ale ustalił w jakim pokoju zniknął.

Dopiero po powrocie do swojego numeru, obserwatora, a był nim mężczyzna, który tak zręcznie złapał paczkę rzuconą mu przez Jacka, zwabiły na balkon hałasy i krzyki dochodzące z dołu. Kiedy wyjrzał na ulicę zobaczył na chodniku w kałuży krwi człowieka przepasanego nylonową linką.

Mężczyzna na balkonie, chociaż wstrząśnięty tym widokiem, nie stracił jednak zimnej krwi. Widocznie fotografia także była jego hobby, bo i on wykonał całą serię zdjęć tragedii.

Również kapitana, który spokojnie czytał książkę, postawiły na nogi hałasy na ulicy. Tam, na płycie chodnika leżał mężczyzna, a szeroka plama krwi rozlewała się dokoła ciała. Leżącego otaczała grupka ludzi. Policjanci, którzy właśnie wyskoczyli z czarnego samochodu, zaczęli rozpraszać gromadzący się tłumek.

Oficer, jak z „jaskółki” w teatrze, widział całą rozgrywającą się poniżej scenę. Zauważył, że przy zabitym leży skręcona w różne pętle nylonowa linka. Czyżby pękła? Gdzie pozostał drugi kawałek z tego urwanego sznura? Michał Wyganowicz nie miał wątpliwości, że przede wszystkim należy szukać go na balkonie czwartego piętra, czyli w apartamencie numer czterysta dwadzieścia siedem, zajmowanym przez profesora Romana Jabłoniowskiego. Ale tam nie było końcówki linki. Na próżno też oficer kontrwywiadu penetrował wzrokiem wszystkie balustrady, aż do ostatniego, dwunastego piętra hotelowego gmachu.

Pozostawały więc tylko dwie możliwości: leżący na dole, pechowy włamywacz mógł tak źle umocować linę, że ta pod jego ciężarem rozwiązała się i zsunęła sama z balustrady

któregoś z balkonów. To było jednak mało prawdopodobne. Człowiek, który opanował trudną sztukę zjazdu w dół na tak cienkim sznurze, na pewno dobrze znał się na rzeczy i wiedział jakiego użyć węzła, aby nie zwiększać i tak już dużego ryzyka.

Pozostawała zatem druga ewentualność. Lina nie pękła, została przecięta. Ten, kto to zrobił, postarał się o usunięcie końcówki. Ale kto?

Kapitan jeszcze raz przyjrzał się zabitemu. Właśnie policjanci odwrócili trupa na wznak i dokładnie go ob-szukiwali. Głowa była mocno uszkodzona, nie tak jednak, aby nie rozpoznać rysów twarzy. Leżącym na chodniku był przystojny, wysoki Niemiec, którego Michał Wyganowicz widział w towarzystwie żołnierzy amerykańskich, późniejszych autorów napadu na szwedzkiego dziennikarza, Svena Bremana.

Ale dlaczego młody Niemiec teraz sam stał się ofiarą?

Oficer kontrwywiadu mógłby przysiąc, że dramat rozegrał się w apartamencie profesora. Ale co się stało z Jabłoniowskim? Michał wsunął pistolet do kieszeni i wybiegł ze swojego numeru, nawet nie zamykając go na klucz. Zbiegł schodami piętro niżej i energicznie zapukał do drzwi oznaczonych numerem czterysta dwadzieścia siedem. To był ze strony oficera poważny błąd, a nawet lekkomyślność. Przecież rzekomy Diegode Periera w ogóle nie znał polskiego uczonego. Dobijanie się do jego drzwi powiedziałoby wtajemniczonym więcej, niż było to konieczne dla rozkonspirowania prawdziwej roli handlarza szmaragdami.

Drzwi były zamknięte i nikt ich nie otwierał. Oficer zdecydowany był nawet na użycie swojego klucza, kiedy na korytarzu ukazał się nagle Sven Breman. Widok jubilera wywołał uśmiech na jego twarzy, ale bez komentarza grzecznie wyjaśnił:

— Zdaje się, że ten polski uczoney jest na dole. Przed chwilą widziałem go w hotelowej kawiarni zatopionego w rozmowie z jakimś panem.

Michał odetchnął i ...oprzytomniał. Dopiero teraz

zrozumiał, jakie głupstwo chciał popełnić. A kto wie, może już je zrobił? Ten Szwed uśmiechał się tak, jak gdyby zdołał rozszyfrować Diego de Periera.

Oficer opuścił czwarte piętro, zjeżdżając windą na parter. Tutaj aż wrzało. Chyba wszyscy goście hotelowi zbiegli na dół. Kręcili się również ci, którzy w czasie wypadku znajdowali się w restauracji bądź w kawiarni. Wśród nich kapitan zauważył kręłą sylwetkę o siwych włosach. Profesor Jabłoniowski, podobnie jak reszta zgromadzonych, omawiał zajście. Jego rozmówcą był mężczyzna, w którym Michał bez trudu rozpoznał attache kulturalnego ambasady polskiej w Sztokholmie.

— Psiakrew! — zaklął w duchu kapitan — mógłby ten profesor nie być takim fajtlapą i taką gapą. Zamiast biec na górę i sprawdzić czy jego teka z całą zawartością znajduje się na swoim miejscu, zachowuje się tak, jak gdyby to wszystko nic go nie obchodziło, a smutna sensacja była o wiele ważniejsza.

— Ciekawy jestem — powiedział głośno Diego de Periera, zwracając się do szefa recepcji — czy kogoś nie okradziono w hotelu? Wszystko wskazuje, że zabity to szczur hotelowy, który usiłował się włamać do któregoś z pokoi. Jak to dobrze, że zawsze deponuję swoje klejnoty w skarbcu hotelowym.

— Szanowny pan ma rację — szef recepcji nie stracił swojego codziennego spokoju i grzecznie odpowiedział — skarbiec „Minerva-Palace-Hotelu” jest równie pewny jak Riksbanken.

Z prawdziwym zadowoleniem Wyganowicz zauważył, że po jego słowach profesor Jabłoniowski zbladł z emocji i, nie czekając na windę, galopem pobiegł na górę. Za kilka minut powrócił, a jego twarz promieniała zadowoleniem. Oficer kontrwywiadu uspokoił się. Wszystko świadczyło, że teczka pozostała nie naruszona.

Na małej uliczce policjanci dokonali szybko i sprawnie pierwszych czynności śledztwa. Sporządzono serię zdjęć zabitego i miejsca wypadku. Obszukano kieszenie ubrania nieszczęśnika, zabierając znalezione przedmioty. Potem

załadowano zwłoki do karetki, która ruszyła w kierunku prosektorium.

Teraz do hotelu wszedł oficer policji. Przepraszając zgromadzonych tu ludzi, dotarł do kontuaru recepcji.

— Czy ktoś z państwa widział ten wypadek? — zapytał najpierw po szwedzku, a potem powtórzył to po angielsku.

Odpowiedziało mu milczenie. Milczał również i ten, który w swojej walizce miał schowany aparat fotograficzny wraz z kliszami rejestrującymi cały przebieg zbrodni.

— Czy nikt z państwa nie zauważył wypadku, ani z którego okna lub balkonu wypadł ten człowiek? — policjant powtórzył swoje pytanie.

Tym razem także nie doczekał się odpowiedzi.

Wtedy oficer policji zwrócił się do portiera:

— Zna pan nazwisko: Hans Meyer? Obywatel Federalnej Republiki Niemieckiej?

Na twarzy szefa recepcji odmalowało się niekłamane zdumienie. Hans Meyer? To przecież ten gość, który po przybyciu do „Minerva-Palace-Hotelu” domagał się pokoju na czwartym piętrze i za tę przyjacielską usługę nie pożalował dwudziestu marek NRF. A później miał to przykre zdarzenie z Miną, kiedy pomyliła się i wydała mu klucz do innego pokoju.

— To jest nasz gość — wyjaśnił policjantowi — to znaczy był naszym gościem.

— Gdzie mieszkał?

— Pod numerem czterysta siedemnaście — szybko wyjaśniła Mina. Zapamiętała pokój tego Niemca. Biedaczek przysłał jej różę i dziesięć koron, a teraz już nie żyje.

— Proszę wziąć klucz do tego pokoju i pójść ze mną

— polecił szefowi recepcji. Ten bez sprzeciwu wyszedł z kontuaru i podążył za policjantem do windy.

Żądni sensacji zaczęli się rozchodzić. Goście hotelowi powoli wracali do swoich pokoi. Uczestnicy tego przypadkowego zgromadzenia wychodzili na ulicę albo powracali do kawiarni i restauracji hotelowej.

Wyganowicz spostrzegł, że „król reporterów” znajduje się

obok niego.

— Będzie pan miał szlagier dla swojej gazety — zauważył — to prawdziwe szczęście dla dziennikarza znaleźć się na miejscu wypadku.

— Tak — potwierdził dziennikarz — mam szczęście i będę miał szlagier. I to niejeden. Całą masę szlagierów. Kto przeżyje, to o tym przeczyta w „Kvällsposten”. Bardzo niedługo.

Jak nazajutrz doniosła prasa poranna, policja pomimo szczegółowej rewizji nie znalazła niczego podejrzanego w pokoju zabitego Hansa Meyera. Przy bliższym badaniu okazało się jednak, że jest to fałszywe nazwisko. Ten osobnik posługiwał się fałszywym paszportem. Był to najprawdopodobniej międzynarodowy złodziej, któremu udało się zamieszkać w luksusowym hotelu, aby okradać bawiących tu, najczęściej bardzo bogatych, cudzoziemców. Jednakże już pierwsza wyprawa zakończyła się dla przestępcy tragicznie. Lina, na której przypuszczalnie usiłował dostać się na balkon apartamentu na drugim piętrze gmachu „Minerva-Palace-Hotelu”, zajmowanego przez znaną amerykańską milionerkę, pękła, a niefortunny złodziej runął na bruk i poniósł śmierć na miejscu.

Gazety podały fotografie zarówno przestępcy, jak też i amerykańskiej bogaczki. Żona „króla konserw rybnych” oświadczyła nagabującym ją dziennikarzom, że zabrała ze sobą do Europy klejnoty wartości jedynie „głupich kilkuset tysięcy dolarów” i gdyby je skradziono, to niewiele by się przejęła tą stratą. Są przecież ubezpieczone.

Ani gazety, ani policja nie usiłowały wyjaśnić, jakim cudem przestępca mógł zjechać ze swojego czwartego piętra na drugą kondygnację w ten sposób, żeby wylądować o dziesięć pokoi dalej. Dlaczego nie spadł pionowo w dół, pod swoim oknem? Albo choćby pod balkonem apartamentu zajmowanego przez milionerkę, skoro ją miał okraść? W żadnym z pism nie znalazła się najmniejsza wzmianka, że linia pionowa, wykreślona od miejsca upadku do czwartego piętra, wskazuje na balkon apartamentu zamieszkałego przez

znanego polskiego atomistę, profesora Romana Jabłoniowskiego.

A kapitan Wyganowicz nie mógł rozwiązać dręczącej go zagadki, kto był tym opiekunem profesora Jabłoniowskiego lub raczej jego bezcennej teczki? I to opiekunem tak bezwzględny, że nie zawahał się uśmiercić agenta wywiadu amerykańskiego, bo oficer nie wątpił w powiązania rzekomego Niemca z CIA. Chyba nie szwedzka policja polityczna? W tym kraju nie używa się takich metod. Czy był to opiekun, czy po prostu konkurent do zbadania tajnych dokumentów postanowił raz na zawsze usunąć rywala z innego wywiadu? Co w apartamencie profesora mógł robić fałszywy obywatel Niemieckiej Republiki Federalnej, jeżeli w ogóle nie dotykał teczki? Gdyby bowiem tak było, sygnał alarmowy musiałby się odezwać.

Kapitan doszedł do wniosku, że powinien dostać się do mieszkania profesora i wszystko dokładnie zbadać. Wykluczał w tym pośrednictwo Warszawy. Polecenie profesorowi dokonania dokładnej rewizji zarówno swoich rzeczy jak i całego pomieszczenia uznał za niepotrzebną stratę czasu. Uczony był typowym uczonym, czyli z punktu widzenia ludzi z tajnych służb zwykłym niedołęgą.

Spenetrowanie apartamentu profesora łączyło się jednak z wielkim ryzykiem. Wyganowicz mógł przy tym zostać zdekonspirowany lub po prostu złapany na gorącym uczynku. Mógł z powodzeniem podzielić los „Niemca”, mogli go też wziąć za złodzieja i oddać w ręce policji, i mógł się narazić na wyrzucenie z hotelu, co także równało się klęsce.

Ale skończyły się już żarty. Zaczęła się prawdziwa gra. W takiej grze wygrywa ten, kto w odpowiednim momencie umie i może ryzykować. Taki moment, uznał kapitan, właśnie nadszedł. W walce o tajne dokumenty rozpoczęto najważniejszą rundę.

Trzeba natomiast wyjaśnić przez Warszawę, jak to się stało, że profesor nagle zszedł na dół. Ten kto zakradł się w tym czasie do pokoju uczonego wiedział, że Jabłoniowski nieprędko wróci na górę. Toteż Wyganowicz natychmiast

skontaktował się ze swoim łącznikiem, aby za jego pośrednictwem przesłać do centrali szczegółowy raport o wypadkach w gmachu „Minerva-Palace-Hotelu”, podzielić się swoimi podejrzeniami i prosić o wyjaśnienie postępowania atomisty.

Warszawa szybko nadesłała odpowiedź. Sprawa była prosta. Profesor wyjaśnił, że tego dnia zadzwonił do niego, do hotelu, attaché kulturalny ambasady i zaproponował spotkanie w kawiarni hotelowej o godzinie piątej. Attaché potwierdził. Spotkanie zostało umówione, z tą tylko różnicą, że inicjatywa miała wyjść od Jabłoniowskiego. Wszystko stało się jasne. Ten, komu zależało na wywabieniu uczonego z pokoju, zadzwonił najpierw do niego, a później do attache. Każdy z nich był przeświadczony, że został przez drugiego zaproszony na filiżankę kawy. Lokal był wolny i agent mógł spokojnie w nim operować, za co zapłacił śmiercią z nieznanej ręki.

W całym hotelu długo komentowano tragiczne zajście. Kiedy kapitan wstąpił wieczorem do baru, „król reporterów” po raz pierwszy nie pił swojego piwa, lecz wychylał szklaneczkę po szklaneczce whisky. Miał już dobrze w czubie, kiedy odezwał się na całą salę:

— Panowie! Wypijmy za pierwszego, który wysiadł z gry. Pierwszego, ale nie ostatniego. Kto następny?

Odpowiedziało mu głucho milczenie.

ROZDZIAŁ VIII

Sprzymierzeniec czy wróg?

Kapitan Michał Wyganowicz postanowił nie zwlekać i jak najszybciej dostać się do apartamentu zajmowanego przez profesora Romana Jabłoniowskiego. Trzeba było szczegółowo obejrzeć pokoje i łazienkę. Udany manewr wywabienia uczonego z pokoju, wkroczenie tam agenta wywiadu — oficer nie wątpił, że zabitym był ktoś z CIA, inaczej nie legitymowałby się papierami Niemieckiej Republiki Federalnej — i fakt, że jednocześnie nie dotknięto teczek z dokumentami, świadczą, że był to zwiad lub, że chodziło o podrzucenie czegoś Polakowi.

Ale czego? Bomby zegarowej lub uruchamianej na specjalny sygnał radiowy? To chyba niemożliwe! Cóż- by panowie z Langley zyskali na śmierci Jabłoniowskiego albo na zniszczeniu papierów zawierających formułę katalizatora? Najwyżej trochę czasu. Przecież umowa polsko-szwedzka o współpracy atomowej nie przestałaby istnieć. Po prostu przysłano by z Warszawy innych specjalistów, których Szwedzi zapoznaliby z tajemnicą swojej produkcji.

Pozostawała zatem tylko hipoteza, że w apartamencie starszego pana próbowano dokonać montażu jakichś urządzeń. Podśluch radiowy, kamera telewizyjna? Może przeciwnik liczył na to, że uczony będzie otwierał teczkę i jeżeli nie uda się odczytać treści znajdujących się wewnątrz dokumentów, to przynajmniej podpatrzeć sposób odpinania teczek z nogi fotela i jej otwierania?

Ta teoria oficerowi kontrwywiadu wydawała się bardzo prawdopodobna. Być może, że dwaj agenci różnych wywiadów, dążąc do tego samego celu, przypadkowo spotkali się w numerze profesora. A może jeden świadomie postanowił przeszkodzić drugiemu?

Tak czy inaczej, należało jak najszybciej zbadać, co się za

tym wszystkim kryje.

Dlatego też nazajutrz Michał Wyganowicz siedział w holu „Minerva-Palace-Hotelu” i pilnie przeglądał prasę. Było charakterystyczne, że dzienniki szwedzkie, tak lubujące się w opisach sensacji, jak gdyby na czyjąś komendę, nagle nabrały wody w usta. O śmierci niefortunnego złodziejaszka nie było w nich już najmniejszej wzmianki, chociaż bardziej błahe zdarzenia komentowano często i przez tydzień. Kapitan oczywiście nie silił się na dokładne czytanie całej prasy, bo nie znał szwedzkiego, a zadowolił się przejrzeniem ilustracji i starał się zrozumieć wielkie tytuły wiadomości. Przy znajomości języka angielskiego i niemieckiego nie jest to specjalnie trudne.

Około godziny ósmej profesor Jabłoniowski zszedł na dół i udał się na śniadanie. Wystarczyło wprawdzie zadzwonić, żeby kelner przyniósł na górę wszystko, czego tylko gość zażąda, ale starszy pan nigdy z tych ułatwień nie korzystał. Także i jego asystent schodził do restauracji i tutaj spotykał się z profesorem. Po śniadaniu młody człowiek czekał w holu, a jego przełożony powracał do swojego numeru po teczkę. Zazwyczaj obydwaj szli spacerem do Svenska Atom. Nie było to zbyt daleko, bo Kungsgatan, przy którym stał „Minerva-Palace-Hotel”, krzyżowała się ze Sveavägen.

Obyczaje uczonych oficer kontrwywiadu znał już na pamięć. Sprawdził też, że pokojówka nigdy nie sprząta apartamentu oznaczonego numerem czterysta dwadzieścia siedem wcześniej niż przed dwunastą. Będzie więc można spokojnie się po nim rozejrzeć i zbadać przyczynę tak niezdrowej ciekawości konkurujących ze sobą wywiadów.

Kiedy Polacy zniknęli w drzwiach wyjściowych, kapitan złożył gazetę i wolnym krokiem człowieka, któremu nigdzie się nie śpieszy, pojechał windą na górę. Wsiadł na piątym piętrze. Korytarzami dotarł do schodów służbowych i zszedł nimi piętro niżej. Jak to słusznie przewidywał, zarówno na piątej, jak i na czwartej kondygnacji było teraz zupełnie pusto. Ci ludzie, którzy przyjechali do Sztokholmu za interesami, udali się do miasta. Reszta, turyści oraz

przyjeżdżający do stolicy Szwecji, aby się zabawić i przyjemnie spędzić czas, pozostawali jeszcze w swoich pokojach. Albo odsypiali zarwaną noc, albo dopiero wstawali.

Dochodząc do drzwi apartamentu profesora, Wyganowicz jeszcze bardziej zwolnił kroku. Gruby chodnik leżący na podłodze korytarza tłumił wszelkie hałasy. Przed drzwiami oficer rozejrzał się uważnie. Nikogo nie było. Szybko przyłożył do drzwi małej aparacik podsłuchowy, a miniaturową słuchawkę do ucha. Był pewien, że Jabłoniowskiego nie ma w numerze, bo uczony przed chwilą opuścił gmach hotelu, ale po wszystkich „cudach”, jakie działy się w „Minerva-Palace-Hotelu”, kapitan wolał nie ryzykować.

Słusznie zrobił. W słuchawce rozległy się wyraźne trzaski. Ktoś chodził po pokoju. Kapitan usłyszał, że ten ktoś powiedział jakieś zdanie. Używał języka szwedzkiego. Stąd dwa wnioski. W pokoju był Szwed i to nie sam. Musiało ich tam być przynajmniej dwóch.

Oficer zdjął z drzwi aparat podsłuchowy i energicznie zapukał. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał powtórnie. Nie było żadnego odzewu. Nacisnął klamkę. Drzwi nie poddały się.

Co robić?

Czy pod pozorem, że widział złodziei zakradających się do apartamentu profesora, wszczać alarm? Sam pomysł niezły, ale i jego by zapytano, co robił na czwartym piętrze i dlaczego interesował się akurat pomieszczeniami zajmowanymi przez Jabłoniowskiego. Tego kapitan pragnął uniknąć. Instrukcje wyraźnie przestrzegały przed nawiązywaniem kontaktu z profesorem, jak i nie dopuszczenie do zdekonspirowania Wyganowicza.

Na pewno władze szwedzkie, a zwłaszcza policja polityczna, otaczają obu uczonych dyskretną opieką. Cele tej policji są takie same, jak i zadania misji Wyganowicza: nie dopuścić, żeby ktoś trzeci zawładnął formułą katalizatora. Jest jednak jasne, że żadne państwo nie będzie tolerowało na swoim

terenie działalności agenta obcego wywiadu, chociażby ten, jak w przypadku kapitana, nie działał na szkodę, ale ku pożytkowi akcji.

Gdyby władze szwedzkie powzięły choć najmniejsze podejrzenie o prawdziwej roli rzekomego jubilera brazylijskiego, Diego de Periera, nic by mu nie zrobiono. Oświadczone by mu jedynie, i to w eleganckiej formie, że jego dalszy pobyt w Królestwie Trzech Koron jest niepożądany.

Tak więc wszczęcie alarmu byłoby zbyt ryzykowne. Michał Wyganowicz spróbował rozszyfrować zagadkę w inny sposób. Na czwartym piętrze rządziła pokojówka, mile wyglądająca starsza kobieta. Kiedyś Margo opowiadała o niej, że to jedna z najdłużej pracujących niewiast w „Minerva-Palace-Hotelu”. Można zatem było przypuszczać, że nie jest ona na usługach żadnego wywiadu. Nie ryzykowałaby utraty renty, od której dzieliło ją tylko kilka lat. A rentę by niewątpliwie straciła, gdyby ją oskarżono i skazano, choćby na najniższą karę, za współpracę z obcymi agenturami.

Kapitan odszukał pokojówkę. Właśnie sprzątała jeden z pokoi przy bocznym korytarzu. Włączyła odkurzacz i jeździła nim po dywanie.

– Przepraszam fru⁷ – powiedział stając w progu

– pukałem do profesora Jabłoniowskiego, tego co mieszka pod numerem czterysta dwadzieścia siedem. Nikt jednak nie odpowiada. Czyżby profesor zachorował? Taki krępy, siwy. Chodzi zawsze z teczką w ręku.

– Wiem, wiem. Profesor wyszedł już do miasta. Schodził na dół z godzinę temu. Sama widziałam.

– To dziwne. Umówił się ze mną. Miał na mnie czekać.

– Niestety, wyszedł.

– Kiedy pukałem do drzwi, zdawało mi się, że ktoś jest w pokoju.

Pokojówka zmieszała się.

– Zapomniałam panu powiedzieć, że na naszym piętrze źle działa instalacja elektryczna. Przyszli elektromonterzy i

7 Fru – po szwedzku „pani”

szukają zwarcia.

— Aha, dziękuję pani — kapitan uznał, że nie należy przedłużać rozmowy. Pokojówka mogłaby powziąć jakieś podejrzenia, tym bardziej że jej wyjaśnienia nie były przekonujące. Gdyby mówiła prawdę, elektrycy nie zamykaliby się w pokoju, lecz na pukanie otworzyliby drzwi i wyjaśnili swoją rolę.

Nie. Oficer kontrwywiadu nabrał absolutnej pewności, że ludzie znajdujący się w apartamencie profesora nie mają nic wspólnego z naprawą światła. Ale co robią w tym pomieszczeniu i z czyjego polecenia działają? Wprowadzenie cennej teczki z dokumentami w tym czasie nie ma w sypialni uczonego, bo zabrał ją do Svenska Atom, ale pomimo to sprawa przedstawiała się nie tylko dziwnie, lecz wręcz groźnie.

Michał Wyganowicz szybko wrócił na górę, do swojego pokoju. Wyszedł na balkon, aby rozkoszować się widokiem na piękny, stary park z gmachami Biblioteki Królewskiej, otoczonymi wieńcem zieleni wysokich drzew. Ten pejzaż tak zajął oficera, że aż wychylił się niebezpiecznie na zewnątrz.

W ten sposób mógł jednak zarówno podziwiać piękno Sztokholmu, jak i rzucić okiem w dół. Bezpośrednio pod nim znajdował się przecież balkon apartamentu profesora i oszklone drzwi prowadzące z balkonu do sypialni. Ponieważ dzień był słoneczny, Szwecja cieszyła się „latem stulecia”, drzwi balkonowe, zgodnie z przewidywaniami kapitana, były szeroko otwarte. Za nimi można było dostrzec niewielki wycinek pokoju, najwyżej jedną czwartą sypialni profesora, ale i to wystarczyło Wyganowiczowi do stwierdzenia, że meble odsunięto od ścian. Tuż przy drzwiach balkonowych leżał wielki fotel. Stylowy, chyba „Ludwik XIV”. Na nim profesor Jabłoniowski zawsze trzymał swoją teczkę. Teraz cenny antyk, bez żadnego szacunku dla zabytku, poniewierał się przewrócony nogami do góry.

Aparacik podsłuchowy oficera kontrwywiadu, chociaż niewiele większy od naparstka, działał bezbłędnie. Rzeczywiście, w pokoju było dwóch mężczyzn. Jeden z nich siedział nie opodal balkonu i rozkręcał dużą lampę

elektryczną, która normalnie stała na nocnym stoliku przy tapczanie uczonego. Drugi trzymał w ręku jakiś aparat i jego końcem jeździł po ścianie.

Kapitan szybko wycofał się z punktu obserwacyjnego. To co zobaczył, wystarczyło mu w zorientowaniu się, że ktoś, b?rdzo fachowo i przy użyciu odpowiedniej aparatury, poszukuje ukrytych mikrofonów albo kamer telewizyjnych. Ci ludzie robią po prostu to, co zamierzał właśnie wykonać Michał Wyganowicz.

Oficer coraz bardziej utwierdzał się w swoich przypuszczeniach. Tragiczna śmierć agenta CIA była wynikiem walk dwóch wywiadów. Teraz wtrąciła się w tę grę jeszcze trzecia siła. Szwedzka policja polityczna. Tylko oni mogli tak spokojnie operować w zamkniętym pomieszczeniu, nie obawiając się, że ktoś przeszkodzi im w pracy. Żeby to jeszcze sprawdzić, Wyganowicz szybko nakręcił numer telefonu Jabłoniowskiego. Pokrywał on się z numerem apartamentu. W słuchawce usłyszał „Halo”. Zapytał, naturalnie po angielsku:

— Pan profesor Jabłoniowski?

— Nie — usłyszał w odpowiedzi płynną angielszczyznę — pana profesora nie ma. Wyszedł do miasta. Czy mam coś powtórzyć?

— Nie, dziękuję, zadzwonię później.

— Proszę bardzo — rozmówca na czwartym piętrze odłożył słuchawkę.

Teraz już nie ulegało żadnej wątpliwości. Agent wywiadu nie pozwoliłby sobie na taką bezczelność i nie czułby się tak pewny siebie. Nawet gdyby przekupił pokojówkę i ta wpuściła go do pokoju profesora. To po prostu policja.

Kapitan wyjął z walizki aparat fotograficzny. Na pozór nie różnił się on niczym od podobnych aparatów. Miał jednak małą tajemnicę. Można nim było dokonywać zdjęć nie w tym kierunku gdzie wycelowano obiektyw. Ten aparat miał obiektywy ukryte i umieszczone w sposób umożliwiający fotografowanie przedmiotu, znajdującego się z boku lub poniżej przyrządu.

Wyganowicz przymocował aparat do balustrady balkonu. Duży z daleka już wpadający w oczy fałszywy obiektyw, nacelował na widoczne gmachy Biblioteki Królewskiej. Ktoś obserwujący go z innego balkonu byłby przekonany, że ciemnowłosego Brazylijczyk robi pamiątkowe zdjęcie rozległej panoramy Sztokholmu. Tymczasem prawdziwy obiektyw zwrócony był skosem w dół.

Kapitan spokojnie czekał. Spoglądał w lustrzaną. Kiedy jeden z dwóch ludzi operujących w pokoju na czwartej kondygnacji zbliżał się do balkonu, Wyganowicz naciskał migawkę. W ciągu pół godziny udało mu się zrobić serię zdjęć. Na niektórych z nich powinny być się utrwalić nie tylko sylwetki, ale i twarze mężczyzn prowadzących rewizję.

Niestety, to było wszystko, co dało się ustalić. Czy poszukiwania w apartamencie profesora Jabłoniowskiego zostały uwiecznione powodzeniem, tego oficer nie wiedział. Faktem jest, że rewizja trwała do godziny drugiej po południu i nie ograniczyła się do sypialni uczonego, ale objęła również sąsiadującą z nim łazienkę oraz salonik.

Dopiero po godzinie drugiej w apartamencie zjawily się dwie pokojówki, które w pośpiechu, aby zdążyć przed powrotem profesora, doprowadzały pokoje do normalnego wyglądu. Jedną z tych pokojówek była korytarzowa czwartego piętra, drugą z trzeciego, również od lat zatrudniona w „Minerva-Palace-Hotelu” i na pewno ciesząca się zaufaniem dyrekcji. Rzeczą charakterystyczną, nie zaangażowano do tej roboty młodej i silnej pracownicy z piątego piętra, Margarety Estberg. Widocznie — doszedł do konkluzji Wyganowicz — także policja polityczna miała zastrzeżenia do dziewczyny, która nosiła na piersi medalion z Nefretete.

Zdjęcia zrobione przez oficera kontrwywiadu tego samego dnia zostały wywołane. Powiększono też twarze osób przeprowadzających rewizję. Wyganowicz stwierdził, że żadnego z tych mężczyzn nigdy przedtem nie widział w hotelu. Ani jako gości, ani jako służby.

Kapitan złożył swoim władzom raport o wypadkach.

Łącznik, z którym przedyskutował przebieg zdarzeń; podzielał zdanie Wyganowicza, że za wiedzą i zgodą dyrekcji hotelu policja przeprowadziła badania apartamentu Jabłoniowskiego.

— W Szwecji — tłumaczył oficerowi stały mieszkaniec Sztokholmu — władze starają się wiedzieć i widzieć wszystko, ale interweniują jedynie wówczas, kiedy nie sposób tego uniknąć. Rewizja w pokoju profesora jest bardzo charakterystycznym dowodem. Szukano mikrofonów i kamer telewizyjnych. Jestem pewien, że przy okazji przetrząśnięto dyskretnie wszystkie rzeczy Jabłoniowskiego i sfotografowano jego notatki, jeżeli uczony zostawił je w hotelu.

— To im chyba niepotrzebne?

— To im odpowie na bardzo ważne pytanie, czy można mieć pełne zaufanie do wysłannika Warszawy, że dostatecznie pilnie strzeże powierzonej mu tajemnicy.

— Ciekawy jestem czy znaleźli coś, co nas interesuje.

— To pozostanie na zawsze tajemnicą policji.

— Dlaczego? Jeżeli ukryto tam mikrofony połączone z radionadajnikiem lub małe kamery telewizyjne, to można odszukać stacje odbiorcze i dzięki nim zdemaskować szpiegów. Przy dzisiejszych urządzeniach technicznych, a policja szwedzka na pewno je posiada, można wykryć nie tylko stację nadawczą, ale znając długość fal i siłę nadajnika, ustalić i umiejscowić odbiorcę. To nie jest trudne.

— Możliwe, że to zrobiono. Ale i wówczas policja nie będzie interweniowała, a przynajmniej nie od razu, lecz rozpocznie dyskretną obserwację agentów i jeżeli nie posuną się oni zbyt daleko w łamaniu przepisów obowiązujących w Szwecji, grozi im najwyżej szybki powrót do domu.

— Takie postępowanie stwarza w tym kraju raj dla wszystkiego rodzaju wywiadów.

— Tylko pozornie. Władze szwedzkie nie patrzą na taką działalność przez palce. Wprost przeciwnie. Szwecja jest tradycyjnie krajem neutralnym i żąda, aby szanowano jej neutralność. A że szpiegów zamyka w więzieniu jedynie

wówczas, kiedy obce agentury interesują się sprawami wewnętrznymi Królestwa Trzech Koron, to inna sprawa. Szwedzi nie chcą się narazić żadnemu z wielkich mocarstw. Najwyżej więc demaskują centrale szpiegowskie i wyrzucają agentów z granic państwa.

— Ale w tym wypadku ci agenci działają przeciwko interesom Szwecji.

— Nie bezpośrednio. Szwedzi udzielili licencji przemysłowi polskiemu i przekazali mu tajemnice produkcji. Jeżeli Polacy nie potrafią upilnować tej tajemnicy i dadzą sobie wyrwać sekret z rąk, to wina Polaków.

— Z tego co pan mówi, widzę, że nie można uważać policji szwedzkiej za naszego sprzymierzeńca. Raczej za nieprzyjaciela.

— Znowu źle pan sądzi. Policja polityczna tego państwa, jeżeli już mamy posługiwać się terminami wojskowymi lub politycznymi, jest w tej chwili naszym sprzymierzeńcem, ale nie towarzyszem broni. Natomiast wystąpi jawnie i będzie chroniła profesora Jabłoniowskiego oraz jego cenną teczkę dopiero wówczas, kiedy prawo zostanie naruszone w formie nie do przyjęcia.

— Umieszczenie mikrofonów w czyimś pokoju nie jest tym jawnym naruszeniem prawa?

— Nie. Jeszcze nie doszło do zamachu na czyjąś wolność osobistą lub czyjs majątek. Te mikrofony są ewentualnymi przygotowaniem do tego rodzaju akcji. Dlatego też sprzymierzeniec nie zamienił się w towarzysza broni, ale jako sojusznik usunął te urządzenia.

— A my?

— My musimy nadal prowadzić naszą grę z obcymi wywiadami.

ROZDZIAŁ IX

Tajemnica rury wodociągowej

Kapitan Michał Wyganowicz zawsze podejmował środki ostrożności przed opuszczeniem pokoju hotelowego. Chciał wiedzieć, czy w czasie jego nieobecności ktoś niepowołany nie składał mu wizyty. Najczęściej stosował chwyt z... włosem. Umieszczony na walizce lub umocowany na drzwiach wejściowych włos był prawie niewidoczny. Jeden ruch człowieka nie wiedzącego o tej małej pułapce i włos spadał. Najlepszy dowód, że grzebano w rzeczach oficera.

Tym bardziej trzeba było mieć się na ostrożności, że pokojówka na tym piętrze, Margareta Estberg, zde-maskowała się jako agentka CIA. Nosiła, podobnie jak ruda Angielka, którą kapitan przyłapał na próbie otworzenia teczki profesora Jabłoniowskiego, złotą podobiznę główki Nefretete. Pokojówka miała klucz do numeru, bo do niej należało sprzątanie. Czy jednak przy okazji robienia porządków nie próbowała przeprowadzać dokładnej rewizji?

Tego dnia Wyganowicz wrócił do pokoju o godzinie pierwszej w południe i od razu przystąpił do sprawdzenia swoich „czujników”. Pokój był już doprowadzony do porządku przez pokojówkę, ale „pułapka” nie naruszona. Cieniutki włos, umocowany na drzwiach szafy, znajdował się na miejscu.

Wychodząc na obiad, kapitan także ubezpieczył się. „Opieczętował” zarówno drzwi szafy, jak i te prowadzące do łazienki. Odrobina pyłu, zebrana z balkonu, znalazła się na wewnętrznej klamce drzwi wejściowych.

Kapitan nie zrobił tego bez kozery. Oto poprzedniego dnia poznał w barze hotelowym jednego ze współmieszkańców „Minerva-Palace-Hotelu”. Ten człowiek, bardzo zresztą miły i wesoły Szwajcar z Zurychu, Ziegfried Lachman, przybył do Szwecji przed paru dniami. Był przedstawicielem jednej ze

światowych firm zegarmistrzowskich na całą Skandynawię.

Lachman zapalał nagłą sympatią do rzekomego brazylijskiego jubilera, Diego de Periera. Nie tylko wtajemniczył go w arkana handlu zegarkami, ale ponadto zaofiarował się skontaktować właściciela cennej kolekcji szmaragdów z bogatym Norwegiem, z którym Szwajcar miał umówione spotkanie w Sztokholmie.

Swoją uprzejmość pan Lachman posunął tak daleko, że zaprosił Diego de Periera na obiad, na którym miał być również i Norweg. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że spotkanie wyznaczono w pewnej restauracji na jednej z wysepek sztokholmskiego fiordu. Wprawdzie lokal na Lovön słynął z doskonałej kuchni, był jednym z najelegantszych i najbardziej ekskluzywnych w całym mieście, ale od „Minerva-Palace-Hotelu” dzieliło go przynajmniej trzydzieści kilometrów. Sam przejazd w obie strony musiał zabrać więcej niż godzinę.

Może więc nie była to zwykła uprzejmość sympatycznego Szwajcara, ale próba wywabienia oficera kontrwywiadu jak najdalej i na długo z gmachu hotelu? A może przygotowano na Wyganowicza taki zamach, jakiego próbowano dokonać na szwedzkiego dziennikarza Svena Bremana? Lub jeszcze groźniejszy, jakiego dokonano na osobę niefortunnego agenta CIA, rzekomego Hansa Meyera?

Niestety, zaproszenie miało taką formę, że bez wzbudzenia podejrzeń Wyganowicz nie mógł się zeń wykręcić. Dlatego też kapitan postanowił uczestniczyć w obiedzie, ale przedtem odpowiednio się zabezpieczyć. O zamierzonej wyprawie uprzedził swojego łącznika, który obiecał mu, że w czasie nieobecności oficera w gmachu hotelowym profesor i jego teczka będą się znajdowali pod dobrą opieką. W jaki sposób? W to Wyganowicz już nie wnikał.

Obiad przeszedł w miłym nastroju. Szwajcar był doskonałym erudytą. Umiał ciekawie i wesoło opowiadać o najrozmaitszych przygodach, jakie trafiały mu się w czasie jego rozlicznych podróży handlowych. Norweg, jak każdy przedstawiciel Skandynawii, początkowo był bardzo

rzeczowy i nieufny wobec przybysza z dalekiej Brazylii. Znał się jednak nie tylko dobrze na handlu zegarkami, co przecież było jego specjalnością, ale również orientował się we wszystkich tajnikach obrotu szlachetnymi kamieniami.

W końcu i Norweg pozbył się swojej rezerwy. Tak zachwalana przez Lachmana kuchnia lokalu w Lovön, okazała się godna swojej marki. Jedzenie było znakomite, a obsługa bez zarzutu. Szwajcar nie pozwolił, żeby jego goście płacili. Uregulował rachunek tak dyskretnie, że ani Brazylijczyk, ani Norweg nie spostrzegli tego w porę. Później zaś Lachman nawet nie chciał słyszeć o jakichkolwiek rozliczeniach.

W interesującym towarzystwie czas szybko biegnie, toteż upłynęły przeszło cztery godziny, zanim Wyganowicz mógł wrócić do „Minerva-Palace-Hotelu”.

Z zachowaniem wszelkiej ostrożności kapitan delikatnie otworzył drzwi do swojego pokoju. I oto pierwsza niespodzianka! Na wewnętrznej klamce drzwi wejściowych nie było ani odrobiny pyłku. Ktoś musiał kłaść rękę na klamce. Gdyby to było od strony korytarza, można by przypuszczać, że jakiś gość hotelowy przeszedł blisko ściany i otarł się rękawem o klamkę lub zahaczył o nią połą płaszcza. Albo omylił się i nacisnął klamkę nie swojego pokoju. Ale od wewnątrz? Sprawa była jasna. W czasie nieobecności Diega de Periera, ktoś wszedł do jego numeru. Sympatyczny Szwajcar nie był więc tak bezinteresowny, jakby się to mogło wydawać.

Wyganowicz podszedł do szafy. Ciekawe! Włos tkwił na właściwym miejscu. A zatem ten, kto wszedł do pokoju kapitana, nie zdradzał ochoty zapoznania się z zawartością szafy. Czego chciał?

Kapitan postanowił nieco później przeprowadzić szczegółową rewizję. Teraz sprawdzał jeszcze czy jego nieznany „opiekun” zaglądał do łazienki.

Wyganowicz tego najmniej się spodziewał. Włosa nie było. Człowiek, którego nie obchodziła zawartość szafy i waliz, zdradzał zainteresowanie łazienką, gdzie poza Przyborami do

golenia, ręcznikami, mydłem i kilku innymi drobiazgami jak pasta i szczoteczka do zębów, nie było nic godnego uwagi.

Bardzo zaintrygowany, Michał Wyganowicz, cał po cał badał powierzchnię łazienki. Opukiwał nawet zielone kafelki, którymi wyłożone były jej ściany. Na czworakach pełzał po podłodze. Zachowywał przy tym jak najdalej posuniętą ostrożność. Nie dotknął nawet palcem żadnego ze znajdujących się tutaj przedmiotów, kierując się przede wszystkim wzrokiem.

Było to zrobione naprawdę bardzo sprytnie. Maleńki przedmiocik przymocowany został od strony wewnętrznej wylotu niklowej rury, którą woda spływała do wanny. Gdyby ktoś, na przykład pokojowa, ujął rurę w rękę, wyczułby zaledwie małe zgrubienie metalu.

Kapitan nie ruszył znalezionej przedmiotu. Nie znał wprawdzie szczegółowo tej konstrukcji, ale od razu domyślił się do czego służy. To był maleńki mikrofonik. Na pewno połączony z radionadajnikiem. Miniaturyzacja tych urządzeń mogła budzić podziw!

Gdyby Wyganowicz znalazł go w pokoju, sprawa byłaby prosta. Bardzo interesowano się tematem rozmów prowadzonych w numerze bogatego jubilera, handlującego szmaragdami. Ale w łazience? Czyżby podejrzewano Diego de Periera, że kąpie się z „rybką” i chciano podsłuchać te rozmowy? Takie przypuszczenie byłoby nonsensem!

Kapitan na próżno łamał sobie głowę nad tym zagadnieniem. Postanowił jeszcze raz przetrząsnąć całą łazienkę. Przeszło dwie godziny upłynęły mu na tych poszukiwaniach, w końcu uwieńczonych sukcesem.

Krany przy wannie miały, jak to zwykle bywa, główki z czerwonym i niebieskim kółkiem. Czerwonym dla wody gorącej, niebieskim dla zimnej. Te kolorowe główki są po prostu wkręcane we wgłębienie, jakie znajduje się w każdym metalowym kranie. Zakrywają one zresztą śruby, które łączą główki kranów z ich trzpieniami. Oficer oglądając jeden z kranów spostrzegł, że niebieskie kółeczko nie jest z plastyku jak sąsiednie czerwone, ale ze szkła. I to szkła znakomicie

wytoczonego.

Najtrudniej znaleźć początek. Kiedy już się go uchwyci, dalszy ciąg nie przedstawia na ogół trudności. Toteż kapitan natychmiast się zorientował, jaką tajemnicę kryje niebieskie oczko. To był mały aparat fotograficzny. Jak działa? Można by go wykręcić i zbadać, ale czy w ten sposób nie ostrzeże się tego, kto te dwa cacka tu zamocował?

Kapitan długo głowił się nad rozwiązaniem zagadki. Dlaczego ktoś umieszcza mikrofon i aparat fotograficzny w łazience? Przecież nie dlatego, że spodziewa się zdobyć serię pikantnych zdjęć. Ten ktoś na pewno od dłuższego czasu obserwował mieszkańca piątego piętra i jeżeli nawet nieobca mu była krótka przygoda jubilera z pokojówką, to musiał dobrze wiedzieć, że dawno się skończyły te damskie odwiedziny. Zresztą na co komuś takie zdjęcia? W każdym kiosku lub sklepiku można kupić bez najmniejszego trudu całe serie bardzo wyuzdanych „porno”.

Aparat tak był umieszczony, że jego obiektyw celował właśnie na wannę. Fotografował człowieka siedzącego w wannie. Człowieka zupełnie nagiego, bo który w swojej łazience ubiera się w kostium kąpielowy? Komu zależało na podobiznie Diego de Periera w stroju praojca Adama i to bez przysłowiowego listka figowego?

Kapitan nie dotknął ani małego mikrofonu, ani fotoaparatu wmontowanego w kran. Nie odkręcał wody i nie umył rąk. W sytuacji, w jakiej się znalazł, należało zachować jak największą ostrożność. Teraz oficer przeniósł się ze swoimi badaniami do pokoju. Za przykładem dwóch „elektromonterów”, którzy tak sumiennie przeszukiwali wnętrze apartamentu profesora Jabłoniowskiego, Wyganowicz poodsuwał meble od ścian, a co się tylko dało, postawił do góry nogami. Porozkręcał wszystkie lampy i kontakty. Cał po calu zbadał cztery ściany, sufit i podłogę pokoju. Jednakże nie znalazł nic podejrzanego. Pokój, jak to się nazywa w języku fachowców, był zupełnie „czysty”.

Zrewidowanie pokoju zajęło Wyganowiczowi następne dwie godziny. Kiedy ubrudzony i zmęczony zastanawiał się

czy i w jaki sposób powinien skorzystać z łazienki, żeby umyć się po tej ciężkiej pracy, rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam?! — kapitan nie kwapił się do otwierania. W pokoju panował niezły bałagan. Ani jeden mebel nie stał na swoim miejscu.

— Ja z dołu, z recepcji. Telegram do pana — oficer poznał głos hotelowego pikolaka.

— Już otwieram — Wyganowicz uchylił nieco drzwi i stanął w nich tak, aby chłopiec nie mógł zajrzeć w głąb numeru. Pokwitował odbiór depeszy oraz wynagrodził posłańca półkoronówką. Kiedy został sam, rozerwał telegram i przeczytał jego treść:

„bardzo niespokojna stop czy leciałeś samolotem do madrytu stop czy jesteś zdrow stop czekam na odpowiedź stop bela”

Kapitan znał to imię „Bela”, skrót od Izabela. Tak się nazywa żona Diego de Periera. Jej fotografia w srebrnej ramce stała na nocnym stoliku przy tapczanie kapitana. Kiedy Margo po raz pierwszy przysła do niego w nocy, oficer uśmiechnął się na, to wspomnienie, schowała zdjęcie do szufladki, „żeby ta pani na nas nie patrzyła”.

Ale co znaczyła ta depesza? Dlaczego nagle pani Izabela de Periera zdecydowała się na wysłanie z Rio de Janeiro takiego dziwnego telegramu? Co ma znaczyć pytanie o samolot do Madrytu? A ten niepokój o zdrowie męża? Co kilka dni przychodziły na adres „Minerva-Palace-Hotel” listy z Brazylii. Pisała je żona jubilera albo jego współnik. Te listy kapitan natychmiast przekazywał swojemu łącznikowi i już na drugi dzień prawdziwy Diego de Periera otrzymywał je w Polsce. Taką samą drogą szły i odpowiedzi. Listy przekazywane mu z Warszawy, Wyganowicz osobiście nadawał w agencji pocztowej, mieszczącej się w gmachu hotelu. Zawsze wyklócał się z sympatyczną „panienką z okienka” o sprzedawanie mu najładniejszych znaczków, bo „żona bardzo lubi ładne obrazki”. Przy tej okazji dwukrotnie zostawił dziewczynie pudełko czekoladek. Jeżeli oficera kontrwywiadu obserwowała policja polityczna, a

Wyganowicz był głęboko przekonany, że tak było, tego rodzaju postępowanie rzekomego jubilera musiało usypiać czujność tych panów.

Kapitan postanowił zaraz spotkać się z łącznikiem i opowiedzieć mu całą historię, nie pomijając i tej nie zrozumiałej dla niego depeszy.

„Opiekuna” oficera nie mniej zdziwiły „prezenty”, jakie kapitan znalazł w swojej łazience, natomiast sprawę pytania o lot do Madrytu wytłumaczył logicznie:

— Pan nie zna języka szwedzkiego i nie czytuje naszych gazet — powiedział. — Przed trzema dniami samolot lecący z Kopenhagi do Madrytu w czasie gęstej mgły zszedł z trasy i rozbił się w Pirenejach. Jest kilkunastu zabitych. Reszta ciężko ranni.

— Rzeczywiście — przypomniał sobie oficer — widziałem tytuły w dziennikach sztokholmskich, ale to zupełnie wyleciało mi z pamięci. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego żona Diego de Periera miałaby sądzić, że jej mąż leciał tym samolotem do Madrytu? Taka podróż, wiem dobrze, wcale nie była zaplanowana. Po zakończeniu mojej misji, jubiler miał wrócić do Paryża, a stamtąd pojechać na kilka dni do Włoch, odwiedzić Rzym, a potem w Neapolu wsiąść na włoski transatlantyk, na który ma z góry wykupiony bilet. Hiszpania nie była w ogóle w programie.

— Jednak pani Izabela musiała mieć jakieś podstawy do niepokojów i do nadania tej depeszy.

— Jestem pewien, że ten telegram musi mieć jakiś związek z dzisiejszą wizytą w mojej łazience. Czy pamięta pan jaki przebieg miała katastrofa samolotu?

— O ile sobie przypominam, według opisów prasy wyglądało to tak: w czasie gęstej mgły pilot stracił orientację i leciał zbyt nisko nad Pirenejami. Samolot uderzył o zbocze góry porośnięte gęstym lasem. Na dużej przestrzeni skrzydła samolotu dosłownie ścięły las, a samolot rozleciał się w kawałki. Jego szczątki znaleziono później rozrzucone w promieniu prawie trzech kilometrów. Na szczęście w maszynie nie wybuchł pożar. Dzięki temu pasażerowie

siedzący blisko ogona i kabiny pilota ocaleli lub wyszli z katastrofy żywi, chociaż poważnie poranieni. Natomiast ci, którzy zajmowali miejsca w środkowej części samolotu, zostali dosłownie zmiążdżeni uderzeniami o drzewa. Prasa podawała, że trudno było nawet zidentyfikować zwłoki. Jak na ironię losu, pomieszczenia bagażowe samolotu doznały nieznaczących uszkodzeń, tak że poczta i bagaż ocalały.

— To rzeczywiście ironia losu — kapitan zamyślił się głęboko.

— Może prasa podawała, że wśród pasażerów byli i obywatele brazylijscy? I to tak wytrąciło z równowagi panią de Periera, że na wszelki wypadek nadała depeszę, aby upewnić się, że wszystko w porządku?

— Nie, nie, na pewno nie o to chodziło. Taka przyczyna nie miałyby żadnego związku z umieszczeniem w moim numerze aparatu fotograficznego.

— Sądzę jednak, że to tylko zbieg okoliczności. A mikrofon i aparat fotograficzny zamontowano tam dlatego, ponieważ podejrzewano, że jakieś bardziej poufne rozmowy odbywa pan właśnie w łazience, aby nie wychwylił ich ewentualny podsłuch w pokoju.

— Gdyby tak było, to człowiek, który tak sprytnie ukrył mikrofon za rurą wodociągową, nie robiłby drobnych oszczędności i umieścił jeszcze ze dwa takie aparaciki także w pokoju.

— Może więc podejrzewają, że pan się charakteryzuje i chciano go zobaczyć bez retuszu?

— Chciano mnie zobaczyć nago! — kapitan miał minę człowieka, który zaczyna wszystko rozumieć.

— Nie sądzą, aby nasi „przyjaciele” posądzali pana o to, że pod postacią czarnowłosego mężczyzny kryje się piękna blondynka.

— Prawie pan zgadł — uśmiechnął się kapitan. — Ja także myślę, że nie podejrzewają we mnie kobiety, ale chcieliby się dowiedzieć czy i jakie znaki szczególne posiadam.

— Znaki szczególne?

— Tak. Zapomnieliśmy o tym. Zarówno my dwaj w Paryżu,

jak i przedtem pułkownik Mogajski. Teraz widzę, że nie omyliłem się twierdząc, iż wizyta w moim pokoju ma ścisły związek z katastrofą samolotu.

— Mówi pan zagadkami, kapitanie.

— A w jaki sposób identyfikuje się zwłoki, jeżeli w czasie katastrofy twarze ofiar zostały uszkodzone lub zmiażdżone? Właśnie po znakach szczególnych.

— Ale co wspólnego ma z tym Diego de Periera?

— On nic, ale któryś z wywiadów lub szwedzka policja polityczna jest mocno zaintrygowana moją skromną osobą. Korzystając z katastrofy samolotowej, jakiś agent, udając funkcjonariusza policji brazylijskiej lub przedstawiciela linii lotniczej, odwiedził panią Izabelę de Periera i oświadczył jej, że wśród ofiar katastrofy może znajdować się również i jej mąż, lecz nie potrafią zidentyfikować ciała.

— To potworne!

— W tej grze wszystkie chwytły są dozwolone — sarkastycznie zauważył oficer kontrwywiadu. — Ci panowie nie przejmują się normami moralności czy religii, choć tak często stroją się w piórka anielskie obrońców wiary i cywilizacji.

— Ale dlaczego mieliby tak okrutnie bawić się z tą biedną kobietą?

— To nie zabawa. Po prostu jedyny sposób uzyskania informacji od żony czy jej mąż ma jakiś znak szczególny na ciele.

— Aha! — domyślił się łącznik. — Najwidoczniej Diego de Periera ma takie znaki. Dlatego potrzebna jest im fotografia nagiego człowieka, który pod tym nazwiskiem zajmuje pokój w „Minerva-Palace-Hotelu”.

— Tak jest. Mimo maskowania się, wpadłem tym panom w oko i wydałem się podejrzanym. Sprawdzili, że istotnie istnieje taki brazylijski jubiler, podróżujący po Europie w celach handlowych. Jednakże ci panowie są nie tylko podejrzliwi, ale i piekielnie sprytni. Nie dali się zwieść moją kolekcją szmaragdów. Przyszło im do głowy, że człowiek w Sztokholmie jedynie gra rolę jubilera. Na szczęście nie mieli

pewności. Dlatego postanowili ją zdobyć. Od pani Izabeli wiedzą już, że Diego de Periera ma na ciele jakiś znak szczególny. Teraz pozostało im tylko sfotografować w stroju Adama faceta mieszkającego na piątym piętrze „Minerva-Palace- Hotelu”. Wtedy zdobędą dowód: prawdziwy de Periera czy fałszywy?

— Ale do czego potrzebny im mikrofon?

— Do uchwycenia momentu, kiedy wanna napełniona zostaje wodą. Do niczego innego.

— Nie rozumiem.

— Przecież oni nie mogą przewidzieć kiedy przyjdzie mi ochota na kąpiel. Muszą mieć sygnał dla uruchomienia aparatu fotograficznego. Słyszac szum wody, będą wiedzieli, że za chwilę znajdzie się w wannie obiekt, który trzeba sfotografować. Aparat zamontowany w kranie na pewno uruchamia się na sygnał radiowy, nadany gdzieś z sąsiedniego pokoju. Proste?

— Powiedziałbym raczej, dobrze przemyślane. Ale teraz, kiedy znamy już podstęp wroga, mamy na niego sposób. Albo zrezygnuje pan z kąpeli w swojej łazience, albo przedtem zakryje obiekt aparatu.

— Tego nie zrobię. Gdybym nagle zaczął unikać swojej łazienki, tamci panowie wysnuli by prosty i od razu narzucający się wniosek, że rozszyfrowałem zagadkę rury wodociągowej i boję się „egzaminu z fotografii”, a zatem nie jestem jubilerem Diego de Periera, lecz człowiekiem z jakiegoś wywiadu. A z jakiego, łatwo już im się domyśleć. Niech pan weźmie pod uwagę, że zwykły gość hotelowy nie przeprowadza rewizji w swoim numerze i nie ma zbyt wielkiego pojęcia o istnieniu takich maleńkich cudeńków technicznych jak te, którymi zainteresowani moją osobą uprzejmi byli mnie obdarzyć. Nie, nie mogę postąpić jak pan radzi. Trzeba znaleźć inne wyjście, usypiające czujność naszych przyjaciół.

— Co pan proponuje?

— Musi pan zaraz nawiązać kontakt z Warszawą. Wprawdzie jest późna pora, ale to nie szkodzi. Pułkownik

Mogajski odnajdzie prawdziwego Diego de Periera i dowie się jaki on ma znak szczególny. Przypuszczam, że dla pewności nawet go obejrzy i natychmiast przekabluje tę wiadomość panu, a ja pozwolę się sfotografować. Żeby zrobić im przyjemność, będę się kąpał dwa razy dziennie. Mam nadzieję, że wszelkie pomoce, niezbędne dla spreparowania znaku szczególnego, otrzymam od pana?

— Z tym nie będzie żadnej trudności. Jestem zaopatrzony we wszystko, włącznie z elektrycznym aparatem do tatuażu.

— Mam jednak nadzieję, że uniknę tej przyjemności. Wolałbym coś innego. Na przykład jakąś małą „myszkę” lub podobne znamię.

Obydwaj mężczyźni doszli do przekonania, że kapitan aż do chwili rozszyfrowania zagadki nie powinien wracać do hotelu. Wyganowicz poszedł więc do kina, a jego łącznik wziął się do pracy. Za dwie godziny nadeszła z Polski odpowiedź. Diego de Periera rzeczywiście ma znak szczególny. Długą i stosunkowo świeżą bliznę po operacji woreczka żółciowego, którą przebył przed dwoma laty. Pominięcie tego szczegółu było istotnie bardzo poważnym błędem. Takie niedopatrzenie przy przygotowywaniu agenta do przerzutu mogło zakończyć się nie tylko nieudaną akcją, ale kosztować życie człowieka.

Michał Wyganowicz po powrocie do „Minerva-Palace-Hotelu” jedynie na chwilę zajrzał do barku hotelowego, pełnego zwykłych bywalców. Sven Breman wysuszał którąś tam z rzędu butelkę piwa. Szwedzki przemysłowiec, który gdzieś pod kołem biegunowym miał jakieś kopalnie i z którym rzekomy jubiler przed paru dniami rozmawiał w sprawie ewentualnej sprzedaży swoich szmaragdów, teraz omawiał jakąś transakcję z Austriakiem z czwartego piętra. Niemordowany asystent Jabłoniowskiego emablował nowego kociaka. Sympatyczny Szwajcar, Ziegfried Lachman, na widok Diego de Periera przyjacielskim ruchem zapraszał go do swojego stolika. Ale jubiler wymówił się od tego zaproszenia. Zajrzał tutaj — tłumaczył się — dla wypicia szklanki soku pomarańczowego. Jest zmęczony, wraca do

swojego pokoju, bierze kąpiel i idzie spać.

Wkrótce po wyjściu kapitana, również Lachman opuścił lokal.

ROZDZIAŁ X

Samobójstwo

W ciągu następnych dwóch dni rzekomy Diego de Periera dużo czasu spędzał w swojej łazience. Kapał się dwa razy dziennie. Nauczył się rozróżniać cichutki trzask zwalnianej migawki. Bez trudu obliczył, że sfotografowano go przynajmniej dziesięć razy.

Trzeciego dnia sympatyczny Szwajcar znowu zaprosił jubilera na obiad. Tym razem na Strömsborg, maleńką wysepkę, znajdującą się przy moście Vasabron, łączącym centrum Sztokholmu z wyspą Starego Miasta. Na tej wysepce wybudowano tylko jeden dom – wytworną restaurację „Ile de France”. Jak sama nazwa wskazuje, lokal ten specjalizuje się w kuchni francuskiej i bynajmniej nie należy do najtańszych. Od Sture Plan, gdzie wznosi się gmach „Minerva-Palace-Hotelu” do „Ile de France” jest najwyżej kilometr. Kapitan przebył spacerkiem tę drogę. Nie było sensu brania samochodu, bo zaparkowanie przed restauracją mogło okazać się niewykonalne, a na moście Vasabron nie można było nawet się zatrzymać.

Ziegfried Lachman już oczekiwał swojego gościa. Wybrał wygodny stolik koło okna z widokiem na panoramę Sztokholmu. Szwajcarski zegarmistrz był wprost niepokieszony. Jego kontrahent, ów Norweg, który zdradzał również ogromne zainteresowanie kupnem szmaragdów, musiał nagle powrócić do Oslo. Jego syn uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu. Szwajcarowi było niesłychanie przykro, że naraził pana Diego de Periera na taką stratę czasu, już nie mówiąc o zawiedzionych nadziejach. Niestety Norweg depeszował, że stan zdrowia syna jest ciężki i wobec tego powrót do Sztokholmu jest nieaktualny.

Lachman okazał się wytrawnym znawcą kuchni francuskiej. Menu i napoje dobrane były z niesłychaną sta-

rannością. Kelner obsługujący gości, rodowity Francuz, jak zresztą cała obsługa w „Ile de France”, nie krył swojego uznania dla dwóch cudzoziemców, Szwedzi — zdaniem francuskiego kelnera — pod względem gastronomicznym nie wyszli jeszcze z epoki barbarzyństwa. Jak można jeść śledzia na słodko i pić portwein do ryby?

Diego de Periera uspokajał Szwajcara: doskonale rozumie sytuację norweskiego kupca. Nic się nie stało. Zarówno poprzednie spotkanie, jak i dzisiejszy obiad są dla Brazylijczyka znakomitą biesiadą, tak duchową, jak i dla podniebienia.

Ta prawdziwa uczta Lukullusa trwała prawie dwie godziny. I tym razem miły Szwajcar nie pozwolił, aby jego gość sięgnął do portfela. Sam uregulował wysoki rachunek. Trzeba przyznać, że kapitan Wyganowicz niezbyt gorąco protestował przeciwko tej hojności mieszkańca Zurychu. Domyślał się, że szeroki gest Szwajcara nie obciąża zbytnio jego prywatnej kieszeni.

Po doskonałym obiedzie obaj panowie w błogim nastroju odbyli ulicami Sztokholmu spacer do hotelu, gdzie w holu serdecznie się pożegnali.

Nazajutrz kapitan dość późno opuścił swój pokój, aby udać się na umówione z łącznikiem spotkanie. Chciał go zawiadomić, że po powrocie z obiadu nie znalazł w łazience ani aparatu, ani mikrofonu. Wszystko zniknęło bez śladu. Ale kiedy oficer chciał skorzystać z windy, okazało się, że utknęła ona na dłużej piętro niżej. Wyganowicz postanowił więc zejść jedną kondygnację. Na czwartym piętrze akurat dwóch ludzi w białych kitlach transportowało nosze przykryte prześcieradłem. Kiedy sanitariusze wchodzili do windy, róg prześcieradła zahaczył o drzwi i białe płótno nieco się zsunęło. W człowieku leżącym na noszach kapitan poznał swojego wczorajszego Amfitriona. Kredowo biała twarz Szwajcara wskazywała na to, że ten człowiek nie żył już od wielu godzin.

W holu, szef recepcji nie krył swojego oburzenia. Tylko Szwajcar potrafi robić komuś takie świństwo. Jakby nie

można było, jak przystało na porządnego człowieka, spokojnie powiesić się we własnym domu, zamiast wybierać w tym celu doskonały hotel, o tak znakomitej reputacji. To nawet nie nietakt, tylko po prostu zwykła łobuzerka.

— To pan Lachman powiesił się? — oficer kontrwywiadu nie mógł uwierzyć, w tę wiadomość.

— Tak — szef recepcji nie miał ochoty na rozmowę, ale trudno zbyć niczym takiego gościa, jak Brazylijczyk, który nigdy nie zapominał o wynagrodzeniu każdej przysługi przynajmniej pięciokoronówką. — Dzisiaj rano, kiedy pokojówka weszła do numeru Szwajcara, biedna kobieta omal sama nie padła trupem z przerażenia. Na środku pokoju, na haku od żyrandola, wisiał Ziegfried Lachman. Powiesił się na kawałku nylonowej linki. Przerażona fru narobiła hałasu na cały hotel, zamiast spokojnie wyjść z numeru i zamknąć drzwi na klucz. Wtedy może udałoby się bez rozgłosu sprowadzić policję z zaprzyjaźnionego komisariatu i po cichutku usunąć ciało. Nikt by się o niczym nie dowiedział. A teraz wszystko przepadło. Wielu gości zaalarmowanych tym krzykiem wybiegło na korytarz i zająrzało do pokoju, bo ta głupia pokojówka nawet nie próbowała go zamknąć. Od razu wiadomość rozniosła się jak piorun po całym gmachu. — A to drań, tak nas urządź! — oburzał się portier.

— Rzeczywiście — przytaknął Wyganowicz. — To skandal. Tak się nie robi.

— Pan, człowiek światowy, pan to dobrze rozumie

— szef recepcji miał minę, jak gdyby przyjmował kondolencje. — No, niech pan sam powie. Pracuję w „Minerva-Palace-Hotelu” już przeszło dziesięć lat. Nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. A tu w ciągu jednego tygodnia dwa trupy. Jakiś niemiecki złodziej i szwajcarski przybłąda. Oszaleć można.

— Policja już była?

— Siedzą od samego rana. Przyjechało ich całe mrowie. Trzy samochody wypełnione do ostatniego miejsca. Szarogęsą się na całym czwartym piętrze. Zamiast zabrać

trupa i wynieść się, składają naszym gościom wizyty i wdają się z nimi w rozmowy. Jeżeli ktoś nie wiedział, to policjanci uważają za swój obowiązek poinformować go, że w „Minerva-Palace-Hotelu” popełnia się samobójstwa. Za to policja powinna zapłacić odszkodowanie. Cóż gościa obchodzi, co dzieje się w sąsiednim numerze?

— Postępują tak, jak gdyby działali na waszą szkodę.

— Właśnie, właśnie. Szanowny pan świetnie to ujął. Wcale bym się nie dziwił, gdyby tego Szwajcara napuściła na nas konkurencja. Pewnie wiedzieli, że facet ma powody, aby skończyć ze sobą, i namówili go, aby zrobił to u nas.

— A czy chociaż zapłacił rachunek?

— Ale skądże! Najelementarniejszy obowiązek, jaki gość ma wobec hotelu, a on nic. Tydzień tu siedział, jeszcze jadł i pił w restauracji i wszystko kazał zapisywać na swoje konto. A następnie wziął kawał sznurka i zadowolony. Dużo czasu by mu zajęło wypisać przy tym czek?

— Obawiam się, że w takim wypadku bank by nie zrealizował czeku.

— Może szanowny pan ma rację? Ale porządny człowiek powinien pomyśleć o swoich zobowiązaniach, zanim zdecyduje się na takie kroki. Od początku mi się nie podobał. Pokój zarezerwował sobie telegramem. Koniecznie na czwartym piętrze. Wszyscy poszaleli na punkcie tego czwartego piętra. Dałem mu jeden z najładniejszych numerów, ale nie powiedział mi nawet „dziękuję”.

Dla kapitana nie ulegało wątpliwości, że pod słowem „dziękuję” szef recepcji miał na myśli to, co prawie przed trzema tysiącami lat wynaleźli Fenicjanie.

— Rzeczywiście, facet brzydko postąpił, ani słowa.

— Jeszcze nam szkody narobił.

— Jakiej?

— Niech szanowny pan sobie wyobrazi, że powiesił się na środku pokoju, na haku, na którym wisiał kryształowy żyrandol. Zamiast delikatnie zdjąć lampę i położyć tak, aby nic się nie potłukło, po prostu wyrwał cały drut, a żyrandol rzucił na podłogę. Kryształy są do wyrzucenia, nie mówiąc o

żarówkach. Miał też w pokoju piękny stół mahoniowy. Teraz jest cały porysowany butami, jak gdyby tak trudno było zdjąć buty przed powieszeniem się. Tacy są teraz ludzie.

— A co na to policja?

— Ech tam, policja — szef recepcji z rezygnacją machnął ręką. — Powinni załatwić wszystko po cichu, a oni węszą skąd Szwajcar wziął ten sznurek. Z pół godziny maglowali pokojówkę, czy przedtem nie widziała kawałka linki w pokoju tego Szwajcara lub w innym. Jakby to było takie ważne. Wiadomo, kto się chce powiesić, sznur zawsze znajdzie.

— Bardzo panu współczuję — kapitan starał się złagodzić rozpacz szefa recepcji kawałkiem na czworo złożonego papieru ze znakami wodnymi.

— Bardzo dziękuję szanownemu panu. Mam nadzieję, że szanowny pan nie wziął sobie do serca tego wypadku i nadal będzie się zaliczał do grona naszych miłych gości.

— Na pewno.

— Policja nie miała też nic lepszego do roboty, jak natychmiast poinformować o zdarzeniu tego pismaka z Malmö. Chociaż to nasz gość, ale nie mogę inaczej go nazywać. Czy pan wie, co ten człowiek zrobił?

— Nie mogę sobie wyobrazić.

— Zaraz zamówił błyskawiczną rozmowę z Malmö, ze swoją redakcją. Kiedy skończył nadawać, jeszcze się cieszył, że zdąży to wszystko wydrukować w dzisiejszym dzienniku. Nie powtarzałbym byle czego, ale sam słyszałem. Wpuść takiego do porządnego hotelu, to ci się tak odpłaci. Jak można kłaść własne gniazdo? Przecież mieszka w „Minerva-Palace-Hotelu” już prawie dwa tygodnie. Na dobitkę powiedział do policjantów, że to wprawdzie drugi trup, ale nie ostatni.

Biedny szef recepcji długo by ciągnął swoje żale, gdyby nie to, że rzekomy Diego de Periera spieszył się na umówione spotkanie i przerwał te zwierzenia.

Wiadomość o śmierci Ziegfrieda Lachmana nie wywołała wielkiego zdziwienia człowieka, będącego jedynym pośrednikiem między oficerem kontrwywiadu a jego

warszawskimi władzami. Zauważył:

— Przyznaję, spodziewałem się, że nie skończy się na tym młodym chłopaku, któremu tak zręcznie przecięto linkę, kiedy usiłował uciec z pokoju profesora Jabłoniowskiego. Nie ulega wątpliwości, że ten pierwszy pracował dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jego śmierć to nadeptanie CIA na bolący odcisk. Choćby dla zachowania swojego prestiżu, nie mogli tego puścić płazem. Na cios musieli odpowiedzieć ciosem. Dopiero teraz, kiedy jest 1 :1 robi się „na górze” odpowiedni szum i zaczną się rozmowy, aby położyć kres krwawej wojnie. Zapewne tak jedna, jak i druga strona będzie się zasłaniała nieporozumieniem, a w najgorszym razie zwali winę na... tych co nie żyją.

— Jeśli o mnie chodzi mogliby walczyć nadal — powiedział Wyganowicz. — Im bardziej się gryzą i przeszkadzają sobie nawzajem, tym moja robota jest łatwiejsza, ateczka bezpieczniejsza.

— Co prawda mogłoby istnieć jeszcze jedno wytłumaczenie śmierci Szwajcara.

— Jakie?

— Związane z pańską osobą. Ten człowiek mógł być jedynie mało znaczącym pionkiem w wielkiej grze. Dostał polecenie wywabienia pana z hotelu, a przypadkowo dowiedział się lub domyślił za wiele. Jego przełożeni obawiali się, że facet wygada się przypadkowo albo, co gorsza, spróbuje sprzedać swoje wiadomości konkurencji. Dlatego uznali, że należy uspokoić go na wieki.

— A linka?

— Jaka linka?

— Zapomniałem dodać — uzupełnił kapitan — że Lachman powiesił się, względnie został powieszony, na nylonowej lince, identycznej lub tej samej, na jakiej zjeżdżał w dół niefortunny agent CIA.

— To zmienia postać rzeczy — zgodził się łącznik.

— Linka ma zasadnicze znaczenie, bo albo jest ostrzeżeniem, że CIA umie się mścić za swoich ludzi, albo zręczną próbą przerwania odpowiedzialności za ten mord właśnie

na „poszukiwaczy prawdy”, jeśli oni nie maczali w tym palców.

— Kawałek odciętej linki był w posiadaniu mordercy. Tego, który nożem przeciął sznur, rzekomego Meyera. To by znaczyło, że pańska druga teoria jest najbliższa prawdy.

— Niekoniecznie. CIA mogła szukać tego kawałka linki w różnych pokojach czwartego piętra, aby ustalić nazwisko mordercy ich człowieka. Znalazła sznur u Lachmana i natychmiast z nim się rozprawiła. Nigdy nie dowiemy się prawdy. Gdyby policja szwedzka nawet do niej doszła, to na pewno nic nie zostanie ujawnione. Gotów jestem trzymać największy zakład.

Ale Michał Wyganowicz nie chciał się zakładać. Po południowe gazety przyniosły malutkie wzmianki o samobójstwie obywatela szwajcarskiego, Ziegfrieda Lachmana. Powodem samobójstwa, jak podawano, był poważny rozstrój nerwowy. Szwajcar rzekomo stale zażywał rozmaite narkotyki i środki nasenne. Jedynie „Kvällsposten” wychodzący w Malmö poświęcił temu wypadkowi znacznie więcej uwagi. Ale, dziwna rzecz, aluzji Svena Bremana, nawiązującej do poprzedniej sprawy, śmierci niefortunnego włamywacza w „Minerva-Palace-Hotelu”, inne dzienniki nie podjęły. Tym razem „król reporterów” nie doczekał się ani jednego przedruku. Wprawdzie konstytucja szwedzka gwarantuje wolność prasy, a cenzura jest instytucją nieznaną, lecz wielcy wydawcy nie lubią zadzierać z policją. Sven Breman — to co innego. Przyzwyczajono się do tego, że reporter jest prawdziwym „enfant terrible” i wolno mu więcej niż komukolwiek. Jak człowiekowi „na wariackich papierach”.

Bez odpowiedzi pozostało też pytanie czy zrecznie namalowana teatralną szminką, o przyjemnej nazwie „wiśniówka”, długa blizna przecinająca chyba ze dwie trzecie brzucha kapitana, zwiódła tych, którzy zrobili tyle wysiłku, aby zdobyć fotografie Diego de Periera siedzącego w wannie. Z tym rysunkiem Wyganowicz miał zresztą sporo kłopotów. Pomimo pokrywania malowidła warstewką „collodium”,

zasychającego na szmince przeźroczystą błonką, blizna nie była odporna na wodę, zwłaszcza ciepłą. Dlatego Wyganowicz udając, że bierze kąpiel, napuszczał do wanny tyle wody, aby nie pokrywała ona „artystycznego pejzażu”, jakim zdobił sobie brzuch. Dla zmylenia przeciwnika, w czasie kąpieli kapitan trzymał stopy w pobliżu obiektywu, co powinno dawać skrót, w którym poziom wody nie był widoczny.

Czy te wszystkie zabiegi zdołały uśpić podejrzenia przeciwnika? Takiej pewności oficer kontrwywiadu nie miał. Dlatego też zawsze był przygotowany na rozmaite niespodzianki. Ale mijały dni, nic się nie działo, kapitana pozostawiono w całkowitym spokoju. Z łazienki zniknęły tajemnicze aparaty, zaś pośrednika w tej aferze, Ziegfrieda Lachmana wykreślono z grona żyjących.

Wieczorem, po „samobójstwie” Szwajcara, w barze hotelowym było tłoczno. Stali bywalcy zeszli się tu niemal w komplecie. Komentowano śmierć człowieka, który do wczoraj odwiedzał ten lokal i spędzał w nim wiele godzin. Miał wyjątkową łatwość nawiązywania znajomości i szeroki gest. A nawet najbogatsi lubią, aby ktoś za nich płacił. Może zresztą dlatego są właśnie najbogatszymi?

„Król reporterów”, Sven Breman, siedział na wysokim stołku przy barze. Był ponury jak noc. Zdradził swój ulubiony „en pils” i przerzucił się na mocniejsze alkohole. Pił na zmianę: kieliszek ginu, szklaneczkę whisky i następnie solidną porcję „czystej wyborowej”. Ten system mieszania trunków innego Szweda już dawno zmusiłby do wylądowania pod stołem. Skandynawowie bowiem na ogół nie odznaczają się wielką odpornością na działanie alkoholu, chociaż pod względem skłonności do tego rodzaju płynów mogą uchodzić za rodzonych braciszków pewnego narodu żyjącego nad Wisłą.

Ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, a kapitan nie chciał się przysiąść, mimo że znajomych tutaj nie brakowało, usadowił się przy barze na wysokim krzeselku, nie opodal dziennikarza. Ten natychmiast wyciągnął z kieszeni pomietą

gazetę:

— Pan widział, jak mnie tu okroili? — zapytał zupełnie zgnębiony.

Wyganowicz rzucił okiem na dziennik. Był to „Kväll-posten”, a właściwie tylko jego pierwsza strona. Wielki czteroszpaltowy tytuł głosił o tajemniczym samobójstwie Szwajcara w „Minerva-Palace-Hotelu”.

— Niestety — odpowiedział oficer — nie umiem po szwedzku i bardzo tego żałuję, bo mógłbym podziwiać pańskie artykuły.

— To nie jest mój artykuł — rozżłościł się reporter.

— Przecież są pod nim pańskie literki.

— Z całego artykułu pozostały jedynie te literki. Ja im pokażę, niech tylko wrócę do Malmö. Nawet tytuł mi zmienili. Wyraz „samobójstwo” miał być w cudzysłowie. A co oni zrobili?

— O ile się orientuję — rzekł ostrożnie Wyganowicz

— Lachman popełnił samobójstwo. Powiesił się w swoim pokoju. Stwierdziła to policja.

— Policja! Banda tchórzy, a nie policja — Sven Breman jednym haustem wychylił stojący przed nim kieliszek. — Zawsze w strachu, żeby nikomu się nie narazić. Słuchaj pan, ta linka... A zresztą co ja będę panu tłumaczył. I tak nic z tego nie zrozumiesz. A może sam wszystko wiesz lepiej ode mnie — rozżalony dziennikarz przeszedł nagle na „ty”.

— Jaka linka? Ta, na której Szwajcar się powiesił?

— Kapitan pragnął pociągnąć pijanego za język, aby upewnić się w swoich podejrzeniach co do tego dziwnego samobójstwa.

Ale dziennikarz, chociaż wiele wypił, nie dał się złapać. Zamiast podjąć temat, zażądał:

— Barman, znowu widzę puste kieliszki. Temu panu to samo co mnie.

— A panu redaktorowi?

— To samo co temu panu. To jest mój przyjaciel i handluje szmaragdami.

— Proszę dwa soki pomarańczowe — szybko zamówił Diego

de Periera.

Sven Breman albo nie dosłyszał, albo był tak pijany, że nie zwrócił uwagi na to, co przed nim postawiono. Nie czekając na swojego towarzysza, wychylił szklaneczkę aż do dna. Jak by go piorun strzelił, z wrażenia nie mógł nawet zamknąć ust. Wzdrygnął się, jak diabeł po święconej wodzie, i wrzasnął:

— Barman! Co za świństwo pan mi tu nalął?

— Sok pomarańczowy. Panowie zamówili.

— Sven Breman pije sok pomarańczowy! I to za zdrowie samobójcy! Świat się kończy. Gdyby mnie tak kto przy tym sfotografował, byłoby zabawy na całą Szwecję. To tyś zamówił to draństwo? — zadziorny ton, jakim zwrócił się do swojego sąsiada, nie wróżył niczego dobrego.

— Ja się pomyliłem — barman wziął na siebie całą winę. Obawiał się, że podchmielony „król reporterów” wywoła jakąś awanturę.

Ale dziennikarz, jak nagle się zapalił, tak i od razu uspokoił.

— To bardzo dobrze, że pan się pomylił, barman. Mój przyjaciel musi pić dużo soku pomarańczowego. A wiesz dlaczego?

— Nie wiem — barmana nie dziwił monolog pijaka. W takim lokalu, jak „Minerva-Palace-Hotel”, barman w ogóle niczemu się nie dziwi.

— Bo on jest chory. Ciężko chory. Prawda, przyjacielu?

— Skąd pan wie? — kapitan postanowił brać słowa podchmielonego dziennikarza za dobrą monetę. — Rzeczywiście, niewskazane jest, abym nadużywał mocnych płynów, bo niedawno chorowałem. Przeszedłem operację woreczka żółciowego.

— To wspaniale, przyjacielu! — Sven Breman z całej siły klepnął oficera w ramię. — Operacja woreczka żółciowego! Taka długa, czerwona blizna! Cudownie! Znakomicie!

— Nie rozumiem z czego się cieszysz? — Wyganowicz również przeszedł na „ty”.

— Bo widzisz... Diego de Periera — dziennikarz wymówił to

nazwisko jakimś szczególnym tonem — bardzo cię lubię. Naprawdę! A gdybyś nie miał blizny, to mógłbyś... mógłbyś na przykład się powiesić. Tak jak ten głupi Szwajcar, co to nie tylko się powiesił, ale przed tym, dla pewności, rozbił sobie ten swój durny łeb. Panie barman, dwa razy to samo.

Tym razem pracownik „Minerva-Palace-Hotelu” wolał nie ryzykować nowej awantury i zamiast soku pomarańczowego przezornie postawił przed obu panami dwa kieliszki wódki.

— No to zdrowie... samobójcy.

— Niech mu służy. Na tamtym świecie — kapitan uśmiechnął się lekko — biedny pan Lachman.

— Zdrowie samobójcy — powtórzył z pijackim uporem Sven Breman. — Ale nie Lachmana. Ja piję — dziennikarz podniósł głos tak, aby było go słychać w całej salce — zdrowie tego samobójcy, który powinien wisieć zamiast Szwajcara. Czy to nie zabawne

— reporter zaniósł się głośnym śmiechem — tak się omylić i powiesić siebie zamiast kogoś innego? Panowie pojmują? Niesłychanie zabawne.

Na sali nikt nie odwzajemnił się śmiechem. Widocznie jedni nie zrozumieli o czym mowa, drudzy nie znajdowali w słowach dziennikarza nic wesołego.

A on sam powtarzał z maniackim uporem:

— Zdrowie samobójcy, chociaż wątpię, żeby długo pożył. I on i inni. Może jeszcze z tydzień... Ha, ha, ha... Jakie to wszystko zabawne!

Sven Breman wychylił swój kieliszek do dna, a potem cisnął nim o podłogę.

Ale i teraz nikt z obecnych nie zareagował.

ROZDZIAŁ XI

Jeszcze tylko kilka dni

Obliczany początkowo na dwa tygodnie pobyt polskich uczonych w Svenska Atom w Sztokholmie, nieco się przedłużył. Michała Wyganowicza nie poinformowano o zmianie programu, a jedynie domyślał się, że stary profesor nie zdążył opanować wszystkich tajemnic produkcji, a na tak niefortunnie dobranej pomocnika nie mógł wiele liczyć.

Niemniej sprawę finalizowano. Kapitan otrzymał z Warszawy wiadomość, że za kilka dni obaj Polacy wrócą do ojczyzny, co automatycznie będzie końcem trosk i kłopotów oficera kontrwywiadu. Nie bez ważnych powodów „Warszawa” zalecała wzmożenie czujności. Formuła składu chemicznego katalizatora była niewątpliwie znana już profesorowi Jabłoniowskiemu, a jej zapis musiał się znajdować w jego bezcennej teczce. Jeśli o tym wiedział Michał Wyganowicz, to tę samą wiadomość zdobyły i te obce agentury, które, dosłownie idąc po trupach, walczyły o zdobycie tajemnicy.

Kapitan prawie nie opuszczał swojego pokoju w godzinach popołudniowych. Tylko wieczorem, uspokojony, że na czwartym piętrze wszystko jest w porządku, schodził do barku hotelowego, nie tyle dla pokrzepienia się jakimś płynem, ile dla sprawdzenia, co dzieje się z drugim Polakiem. Wyganowicz nadal żył w obawie, że młody asystent palnie jakieś głupstwo. Całe szczęście, że nie wtajemniczono go w sekrety Svenska Atom. Wystarczyło przecież podstawić mu ładną babkę, aby zdobyć wszystko to, co mogło być do zdobycia. Jeżeli o mało co nie udał się podstęp ze starszym panem, cóż trudnego omotać rozbrykanego i bardzo w sobie zadufanego, początkującego pracownika naukowego? Wyganowicz był przekonany, że szczeniak miał dobre plecy, skoro wkręcił się do dwuosobowej ekipy wysłanej do

Sztokholmu. To jednak bardzo smutne — stwierdzał — że u nas zasadniczą rolę odgrywają protekcja i znajomości a nie rzetelna wiedza. Iluż to zdolnych, uczciwych i pracowitych młodych naukowców bardziej by się przydało profesorowi Jabłoniowskiemu, i wiele by skorzystało w zetknięciu się z tak znakomitym zespołem uczonych, jaki Szwedzi zgromadzili w Svenska Atom. Zamiast poważnego naukowca, pojechał młody człowiek, którego jedyną ambicją było brylowanie w hotelowych knajpach i spędzanie nocy w podejrzanym towarzystwie.

Pomimo to kapitan musiał troszczyć się zarówno o zacnego, starego profesora, jak i o młodego hulakę.

Jabłoniowskiemu nakazano zachowywanie jak największej ostrożności. Po powrocie z pracy do hotelu, uczony miał nie reagować na pukania i nie wpuszczać nikogo do swojego apartamentu. Wbrew bowiem pozorom, największe niebezpieczeństwo stanowiło sterroryzowanie naukowca, a nie próba kradzieży teczki. Tę, przymocowaną do masywnego fotela, trudno byłoby niepostrzeżenie wynieść z numeru. Poza tym umiała się ona „bronić”, nadając alarmowy sygnał radiowy. Natomiast napad na profesora mógł mieć szanse powodzenia. A taki napad był możliwy jedynie w pokoju na czwartym piętrze. Stąd dodatkowe instrukcje dla uczonego.

Miał on również zostawiać drzwi balkonowe stale otwarte i nawet w czasie rozmów telefonicznych mówić głośniejszym niż zazwyczaj to czynił. Jabłoniowskiemu nakazano również, aby w razie niebezpieczeństwa wzywał pomocy. To wołanie usłyszą właściwi ludzie.

W informacjach przekazanych profesorowi pominięto jedną: że piętro wyżej, tuż nad jego sypialnią, mieszka ktoś, kogo wyłącznym zadaniem jest czuwanie nad bezpieczeństwem uczonego i jego cennej teczki.

Pozornie w „Minerva-Palace Hotel” nic się nie zmieniło, ale wszyscy odczuwali rosnące napięcie. Nawet w nocnym barze nie było tak gwarno i rojno jak dawniej. Goście niepewnie spoglądali po sobie, jak gdyby chcieli się przejrzeć na wylot.

Pamiętające jeszcze epokę starożytnego Rzymu, powiedzenie — „człowiek człowiekowi wilkiem” — potwierdziło się tu, w tym hotelu na dalekiej północy Europy. Oficer kontrwywiadu nosił teraz broń w kieszeni. Obserwując wielu z hotelowych gości, bez trudu zauważył, że pod tym względem bynajmniej nie był wyjątkiem.

W holu hotelowym kręcili się jacyś ludzie, nie należący do grona mieszkańców „Minerva-Palace-Hotel”. Niektórzy z nich godzinami, bez ruchu, wysiadali miękkie fotele, jak gdyby pełnili wartę. Inni zjawiali się, aby szeptem zamienić parę słów z niektórymi gośćmi lub ze służbą i natychmiast znikali, żeby powrócić za jakiś czas.

Przystojna pokojówka z piątego piętra, Margareta Estberg, otrzymała widocznie polecenie swoich władz, aby śledzić kapitana. Ilekroć Michał Wyganowicz pokazał się na korytarzu, zawsze napotykał na swojej 'drodze piękną dziewczynę. Oficer niezmiennie stosował tę samą metodę. Kłaniał się, uśmiechał i szybko wymijał. Kilkakrotnie odniósł wrażenie, że Margareta chce nawiązać z nim rozmowę, ale zrezygnował z tego. Skoro wiedział, dla kogo pokojówka pracuje, wszelkie kontakty osobiste uważał nie tylko za zbyteczne, ale za wręcz niebezpieczne. Cień rzekomego Szwajcara, Ziegfrieda Lachmana, był dla oficera dostatecznym ostrzeżeniem. Żeby być zdolnym do chronienia cudzego bezpieczeństwa, trzeba przede wszystkim samemu unikać różnych zasadzek, mogących w tym gmachu czyhać na oficera kontrwywiadu. A czyż dla mężczyzny może być większe niebezpieczeństwo, niż młoda i piękna kobieta, w której, wbrew własnym chęciom, nadal jest się zakochanym?

Jednakże jeden człowiek zdawał się nie odczuwać tego dziwnego nastroju, niby trująca mgła coraz gęściejszym tumanem ogarniającego wszystkich i wszystko w „Minerva-Palace-Hotelu”. Tym człowiekiem był Sven Breman. Ten, w niepokojącej atmosferze, jaka zapanowała w hotelu, czuł się jak przysłowiowa ryba w wodzie. Humor dopisywał mu coraz bardziej. Był to jednak dość specyficzny rodzaj humoru.

Wiele osób nie reagowało na różne aluzyjne odezwania się

„króla reporterów”. Niektórzy opuszczali pomieszczenia, w których pojawiał się dziennikarz. On udawał lub nie dostrzegał wrażeń, jakie robią na otoczeniu jego niewczesne uwagi.

Ale Michał Wyganowicz stwierdził zasadniczą zmianę w zachowaniu się dziennikarza. Dotychczas Breman, jak to się mówi, nigdy za kołnierz nie wylewał. Czasami, zwłaszcza bezpośrednio po dwóch śmiertelnych wypadkach w hotelu, wypijał nawet ponad zwykłą miarę. Teraz zaś popijał oględnie. Wprawdzie zawsze przed „królem reporterów” stała szklanka pełna piwa albo duży kieliszek z jakimś mocniejszym napojem, lecz kapitan szybko rozszyfrował tajemnicę Svena Bremana. Przez cały wieczór barman najwyżej dwa razy uzupełniał zawartość szkła. Reporter udawał podchmielonego. On też czegoś się spodziewał, na coś niewiadomego czekał i miał się na baczności.

Pewnego wieczoru Michał Wyganowicz czuwał w swoim pokoju, w pobliżu balkonu. Wyraźnie widział smugę światła z numeru na czwartym piętrze. Dochodziła godzina dziewiąta. O tej porze profesor Jabłoniowski zwykł się udawać na kolację. Tak też się stało. Światło na czwartym piętrze zgasło i oficer usłyszał trzask zamykanych drzwi. Profesor powinien powrócić za godzinę lub półtorej.

Wyganowicz wyszedł na balkon. O tej porze w Sztokholmie, w pierwszej połowie lipca, jest jeszcze zupełnie widno. Pora „białych nocy” zbliża się wprawdzie ku końcowi, jednakże nocy, w naszym polskim znaczeniu, właściwie nie było. Michał wyniósł na balkon wygodny fotel i paląc papierosa spoglądał na prawdziwą orgię barw. Kolorowe neony na Kungsgatan to zapalały się, to gasły.

Kapitan rozkoszował się piękną panoramą szwedzkiej metropolii, a jednocześnie czuwał. Nie uszedł więc jego uwagi szmer otwieranych na dole drzwi. Ktoś wszedł do apartamentu profesora Jabłoniowskiego. Oficer postanowił ująć tego kogoś na gorącym uczynku. W tym hotelu wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo. Lepiej znać wroga i lepiej rozprawić się z nim, niż spokojnie czekać na przygotowany

przez niego cios.

Wyganowicz opuścił swój pokój, dobiegł do schodów służbowych i tą drogą dostał się na czwarte piętro. Korytarz hotelowy był pusty. Stąpając po puszystym dywanie był tuż przy wejściu do apartamentu zajmowanego przez profesora Jabłoniowskiego, kiedy drzwi uchyliły się i z numeru wyszła... Margareta Estberg.

Dziewczyna zmieszała się na widok kapitana.

— Fru Bergsten — powiedziała — pokojowa na czwartym piętrze, musiała dzisiaj wcześniej wyjść i prosiła mnie, abym ją zastąpiła. Sprawdzalam czy w pokojach zostały zmienione butelki z wodą sodową.

— To świetnie — rzekł kapitan — ale widzę — dodał — że pani nie nosi już swojego naszyjnika z Nefretete.

Z tymi słowami Wyganowicz wyminął stojącą przy drzwiach dziewczynę i skierował się w stronę głównej klatki schodowej.

— Diego!...

Kapitan nawet się nie odwrócił. Był jednak pewien, że Margareta dobrze zrozumiała jego słowa i że to ostrzeżenie pomoże. Wprawdzie dekonspirowało ono oficera kontrwywiadu w oczach amerykańskich chlebobawców dziewczyny, ale już i sama obecność Wyganowicza na czwartym piętrze, i to właśnie w momencie kiedy agentka myszkowała w pokoju profesora Jabłoniowskiego, była jednoznaczna. Zresztą role jedynie się odwróciły. W ostatnich dniach korytarzowa z piątego piętra wyraźnie śledziła rzekomego Diego de Periera, teraz on jej się zrewanżował.

Aż do powrotu uczonego nikt więcej nie próbował dostać się do jego pokoju. Radio na stoliku kapitana cicho grało jakąś muzyczkę. Ale sygnał alarmowy milczał, a tylko to mogło uprzedzić o niebezpieczeństwie. Stropy w „Minerva-Palace Hotelu” były bardzo solidne. Nie przepuszczały żadnego dźwięku i mały aparacik podsłuchowy oficera na nic się tu nie przydawał.

Była to jednak przysłowiowa cisza przed burzą.

Nazajutrz bowiem wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie.

Kapitan doskonale znał .obyczaje profesora Jabłoniowskiego. Wiedział, że uczony zawsze wraca ze Svenska Atom nieco przed piątą po południu. O tej porze Wyganowicz siedział w swoim pokoju, czekając na powrót do hotelu obydwu Polaków. Przychodzili z pracy razem, rozchodzili się do swoich pokoi, aby za jakieś dziesięć, piętnaście minut spotkać się znowu w restauracji na dole. Wspólne jadenie posiłków było uświęconym zwyczajem, którego Jabłoniowski pilnie przestrzegał, a któremu jego asystent musiał się podporządkować.

Nadsluchujący na balkonie oficer usłyszał, że w pomieszczeniu o piętro niżej ktoś energicznym ruchem przekręca klucz w zamku, a później głośno zamyka drzwi. Profesor stosował się do otrzymanych wskazówek, polecających mu głośne zachowywanie się w swoim apartamencie.

— Teraz podejdzie do fotela, posunie go, żeby narobić trochę hałasu, potem uwolni się od swojej teki i przypnie ją do nogi tego mebla — przewidywał kapitan. — Z kolei wejdzie do łazienki, żeby się umyć i zmienić po pracy garnitur. Zdejmie krawat i włoży mięką, wykładaną koszulę.

Ale tym razem ten niewidoczny dla kapitana film, którego przebiegu mógł się domyślać z dźwięków dochodzących na górę, miał nietypowy przebieg.

Kiedy trzasnęły zamykane drzwi, oficer usłyszał głośno wypowiedziany jeden wyraz: „Panowie!” i potem zaległa cisza. Widocznie dalsza rozmowa toczyła się szeptem. Ponieważ coś działo się nie w sypialni, ale w pierwszym pokoju, saloniku, bardziej oddalonym od miejsca, w którym Wyganowicz pełnił wartę, do jego uszu nie doszedł już żaden dźwięk.

Oficer automatycznym ruchem wyciągnął pistolet z kieszeni i nawet nie zatrzasnąwszy drzwi, z bronią w ręku, wybiegł na korytarz hotelowy.

ROZDZIAŁ XII

Taksówka nr 4853

Tego popołudnia Margareta zeszła na czwarte piętro, aby umówić się z korytarzową tej kondygnacji na wspólne sprzątnięcie kilku pokoi, które wymagały generalnego odświeżenia. Robota na cztery ręce była i lepsza, i dużo szybsza. Obydwie pokojówki spotkawszy się w służbówce, niedaleko windy i schodów, nie mogły sobie odmówić kilku chwil odpoczynku i... ploteczek. Przez otwarte drzwi widziały przechodzących gości. Właśnie starszy, krępy mężczyzna, z nieodłączną brązową teczką przypiętą łańcuszkiem do lewej ręki, przyjechał windą na czwarte piętro i poszedł korytarzem w stronę swojego pokoju. Polski uczoney stał się więc teraz kolejnym tematem rozmowy kobiet.

— Zawsze z tą teczką — roześmiała się pokojówka z czwartego piętra. — Muszą się w niej znajdować prawdziwe skarby, skoro tak jej strzeże. Teraz przywiąże teczkę do dużego fotela w sypialni i zaraz zjedzie na obiad. Spokojny gość i systematyczny. Kiedy go widzę po południu, to wiem która godzina. Wraca zawsze za kwadrans piąta.

Margareta spojrzała na zegarek i parsknęła śmiechem. Była za czternaście minut piąta. A jej koleżanka dalej plotkowała o dziwnym gościu.

— Po obiedzie wróci na górę około szóstej. Przez dwie godziny będzie pisał. Potem zejdzie na dół, zrobi półgodzinny spacer po parku i wstąpi do restauracji na kolację. Do numeru powróci między dziewiątą a wpół do dziesiątej. Jeszcze nie zauważyłam, żeby kogoś sobie przyprowadził, a przecież z tymi siwymi włosami jest bardzo interesujący. I nie taki znowu stary.

— Może wierny żonie?

— Oni wszyscy są wierni — starsza kobieta machnęła ręką. Wyjdiesz za mąż, to sama się przekonasz. Dwadzieścia lat

jestem mężatką. Mój Kjell to naprawdę dobry chłop. Nawet nie pije, oszczędny, w domu wszystko robi, a nie przysięgłabym na jego wierność. Na ładną spódniczkę każdy poleci.

Pokojówka jeszcze długo wygłaszałyby te niesłuszne i jakże krzywdzące nas, mężczyzn, opinie, gdyby nie niecodzienny obrazek, jaki obydwie kobiety nagle ujrzały.

Oto znowu szedł korytarzem siwy profesor. Tym razem nie zatrzymał się przy windzie, lecz skierował w stronę schodów. Teczkę miał w lewym ręku. Obok niego, lekko podtrzymując go pod ramię, szedł jakiś wysoki mężczyzna. O półtora kroku z tyłu kroczył mieszkający na tym samym piętrze Austriak. Pokojówkę zdumiało już to, że profesor nie zostawił teczki w swoim apartamencie. A do tego jeszcze te oczy! Starszy pan miał usta zacięte, twarz bledszą niż zazwyczaj, a w oczach najwyraźniej malował się strach.

Kiedy mała grupka doszła do klatki schodowej, idący z tyłu Austriak rzucił twardo jedno słowo, jak gdyby wydawał rozkaz. Margareta знаła niemiecki. W hotelu jej rodziców, w Göteborgu, zawsze mieszkało wielu Niemców, więc ojciec kazał się jej uczyć tego języka. Austriak powiedział: „schodami”.

Trzej mężczyźni zaczęli schodzić, chociaż w tej samej chwili winda zjeżdżała z górnych pięter na parter i wystarczył jeden ruch ręki, aby ją zatrzymać.

— On był taki jakiś dziwny... — zaczęła starsza pokojówka, lecz nie dokończyła zdania, bo posłyszała czyjeś szybkie kroki.

To z piątego piętra zbiegał brazylijski jubiler, Diego de Periera. On też miał dziwnie ściągniętą twarz. W rękę trzymał pistolet. Dopiero na widok kobiet schował broń do kieszeni.

— Zjechali? Dawno?!

— Schodzą schodami — szybko odpowiedziała Margareta.

— Profesor i dwóch...

Brazylijczyk nie słuchał dalszego ciągu. Przeskakując po trzy stopnie, gonił śladem profesora.

Margareta wybiegła ze służbówki. Miała szczęście, bo właśnie na czwartym piętrze zatrzymała się winda i ktoś z niej wysiadał. Dziewczyna wskoczyła do środka i poleciła windziarzowi:

— Natychmiast na dół!

W tonie głosu dziewczyny i w jej twarzy było coś nakazującego, że ani windziarz, ani reszta pasażerów nie zaprotestowali. Dźwig zjechał na parter w chwili, kiedy grupka składająca się z profesora i dwóch jego towarzyszy zniknęła w drzwiach wyjściowych. W kilka sekund potem wpadł do holu jubiler.

— Wyszli już z hotelu — dziewczyna wskazała ręką drzwi na Kungsgatan. Do holu „Minerva-Palace-Hotelu” można było bowiem wejść zarówno od Sture Plan, jak i od Kungsgatan. — Wsiadają do samochodu — dorzuciła, dostrzegając przez okno, jak cała trójka zajmowała miejsca w popielatym opłu.

Brazylijczyk wybiegł na ulicę, kiedy popielaty samochód ostro wystartował. Na szczęście przed hotelem stała wolna taksówka. Jubiler wskoczył do niej. Margareta również wybiegła przed gmach „Minerva-Palace-Hotelu”. Zdążyła więc usłyszeć, jak mężczyzna zamykając drzwi taksówki polecił kierowcy:

— Za tym popielatym oplem. Płacę sto koron, jeżeli nam nie ucieknie.

Dziewczyna zdziwiona i przerażona wróciła do holu. Nie zwracała najmniejszej uwagi na gniewne spojrzenia szefa recepcji. Pokojówki spacerujące jak wielkie damy po pięknym, lśniącym od marmurów i kryształów pomieszczeniu? Świat się kończy!

Przez szeroko otwarte drzwi małego barku, przytykającego do holu, Margareta dostrzegła Svena Brema- na. W swoim pomiętym i dobrze już wysłużonym garniturze, „król reporterów” spokojnie popijał piwko i z całą powagą dowodził barmanowi, iż wszystkie nieszczęścia jakie spotkały ludzkość na przestrzeni dziejów wynikały tylko z tego, że zamiast pić piwo, ludzie wymyślili rozmaite obrzydliwości, jak koniaki czy też whisky.

Dziewczyna bez wahania weszła do baru. Dziennikarz, odkąd ujrzała go pierwszy raz w gmachu „Minerva-Palace-Hotelu”, budził w niej zaufanie. A teraz Margareta musiała komuś opowiedzieć, co widziała i poradzić się, co należy robić. Ten przestraszony profesor! I Diego! Chociaż podły, bo tak ją porzucił, ale przecież ciągle nie mogła go zapomnieć. Dlaczego biegł schodami z pistoletem w rękę?

— Oo! — ucieszył się Breman. — Nasza mała Nefretete. Siadaj, dziecko. Czego się napijesz? Wszystko co tu stoi, jest do twojej dyspozycji. „Kvällsposten” zapłaci. I tak to mu się stokrotnie opłaci. — Dziennikarz musiał już wypić niejeden kufelek mocnego szwedzkiego piwa, a przy upale działało ono podwójnie. Jak prawie wszyscy Szwedzi, nie doceniał mocy alkoholu.

— Dziękuję, nie piję.

— Nie chcesz, to nie. A z tą Nefretete, to daj sobie dziecko spokój — monologował reporter. — Młoda jesteś i żal mi ciebie. Takie talizmany nie przynoszą szczęścia.

— Panie redaktorze — przerwała dziewczyna, nie orientując się do czego zmierza Sven Breman — przed chwilą ten siwy polski uczoney, który mieszka w sąsiadującym z panem pokoju, wyszedł z hotelu. Szedł pomiędzy dwoma mężczyznami i miał przestraszony wyraz oczu, jak gdyby się czegoś bardzo bał. Towarzyszył mu ten przemysłowiec z Austrii. Też mieszka na czwartym piętrze. A za nimi gonił z pistoletem brazylijski jubiler.

„Król reporterów” natychmiast wytrzeźwiał.

— Profesor miał ze sobą teczkę? Wiesz, tę, którą nosi na łańcuszku.

— Miał. Zapiętą na rękę. Profesor wjechał na górę i poszedł do swojego pokoju. Widziałam to ze służbówki. Ale zaraz wyszedł z tymi panami. Jeden prowadził go pod ramię, a ten przemysłowiec za nimi. Kiedy doszli do końca korytarza, Austriak powiedział po niemiecku „schodami”. Wtedy nadbiegł Diego z rewolwerem, również przerażony jak profesor.

— Dogonił ich?

— Nie. Tamci wsiedli do popielatego opla, a Diego wskoczył do taksówki i polecił kierowcy jechać za nimi. Sama słyszałam, jak mu obiecał za to sto koron.

— Jak wyglądała ta taksówka?

— Nie zauważyłam firmy, ale pamiętam, że miała numer cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt trzy.

Sven Breman nagle się uspokoił. Poklepał dziewczynę po ramieniu.

— Dzielne z ciebie dziecko. Kto wie, czy nie uratowałaś życia temu swojemu Brazylijczykowi, już nie mówiąc o starym profesorze. Barman! Proszę telefon, szybko!

Barman postawił przed dziennikarzem aparat. Dla wygody gości wszystkie bary w „Minerva-Palace-Hotelu” zaopatrzone były w kontakty tak, że telefon można było postawić na każdym stoliku i także na każdym miejscu długiego kontuaru.

Sven Breman nakręcił numer. Margareta zauważyła, że był to numer trzycyfrowy, a więc wewnętrzny, do jakiegoś pokoju w hotelu.

— Mówi Breman. Proszę słuchać uważnie. Przed chwilą wprowadzono profesora Romana Jabłoniowskiego — dziennikarz bezbłędnie wymówił to tak trudne dla szwedzkiego języka nazwisko. Uprowadził go Martin Grossman, ten rzekomy Austriak. Odjechali popielatym oplem. Goni ich Diego de Periera taksówką noszącą numer: cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt trzy. Powtarzam numer: cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt trzy... Tak, dobrze! Profesor ma ze sobą teczkę, w której znajdują się dokumenty Svenska Atom. Ale wy pilnujcie, niech was diabli! — zaklął dziennikarz odkładając słuchawkę.

Po tych słowach w hotelu rozpętało się piekło. Nie minęło i pięć minut, kiedy do holu wpadło kilkunastu policjantów. Kazano telefonistce wyłączyć wszystkie numery wewnętrzne i być do dyspozycji policji.

Całą akcją kierował Bertil Svensson. Dziwnym trafem jeden z gości hotelowych, mieszkających na czwartym piętrze „Minerva-Palace-Hotelu”. Centrala policji bez przerwy

nadawała dla wszystkich radiowozów komunikat, polecający odszukanie taksówki nr. 4853 i natychmiastowe skierowanie kierowcy do gmachu hotelu. Z tym samym zadaniem wyruszyła na miasto cała armia policjantów mundurowych i cywilnych. Przedsiębiorstwo, którego własnością była taksówka, również przyłączyło się do poszukiwań.

Nic więc dziwnego, że w ciągu pół godziny jeden z radiowozów już zameldował, że odnalazł poszukiwany samochód na postoju przy stacji metra Abrahamsberg. Jadą w kierunku „Minerva-Palace-Hotelu”.

W dziesięć minut potem z rykiem syreny alarmowej radiowóz zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Za nim zahamowała tak usilnie poszukiwana taksówka.

— Czy to ten wóz? — spytano Margaretę.

— Ten sam. Poznaje po tym lekko wgniecionym tylnym zderzaku.

— A kierowca?

— Widziałam jedynie jego plecy. Kiedy wybiegłam z gmachu, samochód już ruszał.

Kierowca zresztą potwierdził, że przed godziną przywiózł jakiegoś gościa do hotelu. Kiedy tamten wysiadł, do wozu wskoczył następny, o lśniących, czarnych włosach. Kazał jechać za popielatym oplem, który właśnie oddalał się Kungsgatan w kierunku Sveavägen. Obydwa samochody przeleciały przez całe miasto w stronę Vålingby. Po ominięciu końcowej stacji metra Hässelby Strand, popielaty opel wjechał w małą uliczkę Strandlinden, położoną tuż nad jeziorem Lambarfjärden i zatrzymał się przed willą otoczoną zieloną siatką. Willa stoi w głębi ogrodu i charakteryzuje się dużym balkonem na pierwszym piętrze. On, kierowca, przypadkowo dobrze zna te strony i tę willę, ponieważ w pobliżu, w małym porcie na Lambarfjärden cumuje swoją żaglówkę. Pamięta, że z popielatego opla wysiadło trzech mężczyzn. Poszli w stronę willi.

Ten smagły facet, widząc, że ścigany przez taksówkę opel staje na Strandlinden, polecił kierowcy skrócić w Fyrspanngatan i zatrzymać się przed jednym z domków; tam

zadzwoił do furtki. Kiedy jednak kierowca wykręcił swoim wozem w tej wąskiej uliczce i jechał na postój przy Maltesholmsvägen, spostrzegł, że jego pasażer szedł Fyrspannsgatan w stronę Strandlinden. Potem stracił go z oczu.

Bertil Svensson natychmiast wydał kilka poleceń.

Z komisariatu policji położonego najbliżej Hässelby Strand wyruszyła ekipa policjantów. Mieli dyskretnie otoczyć całą posesję, na której znajdowała się willa, pilnować obu wylotów Strandlinden i odciąć przestępcom ewentualną drogę ucieczki przez jezioro. Dwie łodzie policji wodnej płynęły ile sił w motorach, by patrolować brzeg Lambarfjärden. Zabroniono jednak policjantom naruszenia terytorium willi i poszukiwań na własną rękę. Interweniować mają tylko w razie wzywania przez kogoś pomocy, względnie gdyby zorientowali się, że w willi zaczyna dziać się coś niedobrego. On, Bertil Svensson udaje się do Vålingby, gdzie osobiście pokieruje całą akcją.

Hotel, tak do niedawna pełny przedstawicieli porządku publicznego, opustoszał prawie zupełnie. Pozostało w nim dwóch funkcjonariuszy, których zadaniem było utrzymanie łączności z centralą policji i z ludźmi prowadzącymi akcję na Strandlinden, a poza tym ci policjanci, którzy właśnie przeprowadzali szczegółową rewizję w pokoju obywatela austriackiego, legitymującego się paszportem wystawionym na nazwisko „Martin Grossman”.

Bertil Svensson odjechał przed hotelu zabierając ze sobą kierowcę taksówki, aby ten, chociaż o omyłce raczej nie mogło być mowy — zidentyfikował willę, do której prowadził trop popielatego opla. Razem z nimi zabrało się dwóch policjantów.

— No i cóż, dziecko? — uśmiechnął się „król reporterów”.
— Rozpętaliśmy burzę, a oni pojechali i zostawili nas na łodzie. Dobrze nam tak, po co wtrącamy się w nie swoje sprawy.

— Mój samochód stoi za rogiem hotelu. Możemy jeszcze ich przegonić. Sportowe volvo na pewno jest szybsze od

radiowozów.

— Dobrze, jedźmy — zgodził się dziennikarz — kiedy wpadłeś między wrony, krakaj jak i one, jak mówi stare szwedzkie przysłowie.

Margareta zręcznie wyprowadziła swój wóz z gęstwiny innych pojazdów, parkujących na bocznej uliczce. Sven Breman usiadł obok niej, ale zanim samochód ruszył, powiedział do dziewczyny:

— Jeżeli jesteś z konkurencji — zastrzegam, że ja nic nie mam wspólnego z policją polityczną — to szczerze radzę, od razu jedź na lotnisko i wsiadaj w pierwszy lepszy samolot lecący za granicę.

— Nie rozumiem o czym pan mówi — dziewczyna była zdumiona.

— A Nefretete?

— Nefretete? Czy panu chodzi o ten mój naszyjnik, który noszę od czasu do czasu?

— Udajesz albo naprawdę nie wiesz, że ten medalion miał w gmachu „Minerva-Palace-Hotelu” specjalne znaczenie. Czyżbyś nie widziała, że pewna Angielka z czwartego piętra nosiła taki sam naszyjnik?

— Cóż z tego? Takich naszyjników jest wiele.

— Czy wiesz, że w kieszeni tego biedaka, który roztrzaskał się na ulicznym bruku, policja znalazła podobną blaszkę? Twoja sprawa. Nie zamierzam cię przesłuchiwać. Ale jeżeli chcesz, wysiądę z wozu, a ty pojedziesz, jak to się mówi, w siną dal. Za godzinę może być za późno. Popatrz, niektórzy także nagle wyjeżdżają.

Właśnie pikolacy wynosili do taksówek bagaże kilku mężczyzn. Zbiegiem okoliczności przeważnie byli to lokatorzy czwartego piętra.

— Jedziemy na Strandlinden — oświadczyła dziewczyna. — Ja doprawdy nie mam pojęcia o czym pan mówi — powtórzyła.

Samochód wystartował tak ostro, że głowa „króla reporterów” poleciała do tyłu. Na szczęście volvo ma miękkie, wygodne oparcia.

ROZDZIAŁ XIII

Gotowane kartofelki

Kiedy kapitan Michał Wyganowicz opuścił taksówkę, zadzwonił do pierwszego z brzegu domu. Chciał po prostu pozbyć się kierowcy. Ten człowiek i tak już wiedział zbyt wiele. Niech więc przynajmniej teraz zgubi trop.

Starszą niewiastę, która otworzyła mu drzwi, oficer zapytał o pana Erika Janssona. Niełatwo mu było dogadać się z kobietą, ponieważ należała do tych nielicznych w Szwecji osób, nie znających języka angielskiego. Michał ryzykował, bo w tym domu lub w pobliżu mógł rzeczywiście mieszkać jakiś Jansson. W samym tylko Sztokholmie Janssonów i Johanssonów jest przeszło pięć tysięcy wymienionych w książce telefonicznej, ale chyba właśnie dlatego to nazwisko przyszło mu do głowy.

Na szczęście obyło się bez dodatkowych komplikacji. Szwedka wreszcie zrozumiała, o co Anglikowi chodzi, i gestem głowy dała mu do zrozumienia, że się omylił. Teraz kapitan mógł spokojnie zawrócić. Właśnie jego taksówka skręcała w stronę głównej ulicy tej dzielnicy, to jest w stronę Maltesholmsgatan.

Oficer zapamiętał, przed którą willą na Strandlinden zatrzymał się popielaty opel. Poszedł więc tą krótką uliczką, ale po przeciwnej stronie interesującego go budynku. Dzięki temu miał znacznie lepszy widok.

Była to typowa willa, jakich tysiące znajduje się na przedmieściach Sztokholmu. Na dole garaż i pomieszczenia gospodarcze, wysoki parter, a na poddaszu jeszcze dwa lub trzy pokoje. Jedynym odstępstwem od reguły panującej na Strandlinden było to, że budynek cofnięto poza linię innych domów, ogród przed willą nie tonął w kolorowych kwiatach, w których tak się lubują Szwedzi, lecz przed oczyma przechodniów zasłaniał go wysoki żywopłot rosnący za

pomalowaną na zielono siatką. Przez furtkę w siatce widać było wąski chodnik prowadzący do budynku. Jego obydwie boki również okalał żywopłot.

Uliczka kończyła się lasem. Z prawej strony rozciągała się jasnoniebieska tafla „jeziora”, jak mówią Szwedzi, a właściwie jednej z odnóg sztokholmskiego fiordu. Pomiędzy Strandlinden a jeziorem zmieściło się pasemko lasu, graniczące dalej z zieloną murawą, schodzącą do obetonowanych brzegów jeziora. Tutaj znajdował się mały port jachtowy oraz kąpielisko z niewielkim splechciem żółtego piasku, importowanego zapewne z daleka. Na plaży i w porcie jachtowym było wiele osób. Jeszcze więcej siedziało na ławkach lub na trawie. Klimat Sztokholmu nie należy do najłagodniejszych, toteż Szwedzi nauczyli się dobrze wykorzystywać stosunkowo rzadkie chwile pięknej, słonecznej pogody.

Od strony lasu posesje przy Strandlinden ogrodzone były przeważnie prowizorycznymi płotkami lub jedynie żywopłotem. Ponieważ teren, w miarę zbliżania się do jeziora, opadał dość stromo, z dołu stawało się lepiej dostrzegalne całe otoczenie willi. Pomiędzy budynkiem a ogrodzeniem rozciągał się dość duży ogród, raczej zaniedbany. Drzewa nie były tak starannie utrzymane jak u sąsiadów, a nie podcinane krzaki bardzo się rozrosły. Jedynie wysoka siatka i żywopłot świadczyły o jakiejś trosce gospodarza domu o swoją posiadłość.

Okna willi na parterze i w dolnych pomieszczeniach były pozamykane. Niektóre z nich miały nawet zaciągnięte starannie zasłony. Jedynie okna pierwszego piętra pozostały otwarte. Od tej strony willa miała również duży taras z drzwiami prowadzącymi do dwóch pomieszczeń. Schody tarasu prowadziły na ścieżkę wiodącą aż do furtki w ogrodzeniu. Widocznie jednak tej drogi dawno nie używano, bo w szparach chodnika porosła już wysoka trawa, a sama furtka, poza normalnym zamkiem, zabezpieczona była łańcuchem. Taka ostrożność w Szwecji, prawie nie znającej pospolitego złodziejstwa, każdego mogła zdumieć.

W jednym miejscu, tuż przy siatce, rosła wysoka, gruba sosna. Tę okoliczność kapitan postanowił wykorzystać. Pod pozorem spaceru powoli zbliżył się do drzewa, by tu usiąść, opierając się o jego konar. Rozejrzał się dokoła, ale nikt nie zwrócił uwagi na przechodnia. Pilniej obserwowano grupę młodych ludzi, którzy w kolorowych kostiumach trenowali bieg na przełaj, w lesie, wokół jeziora.

Z drugiej strony, za siatką, nie widać było znaku życia. Dom wyglądał jak wymarły. Ogród świecił pustką. Nic nie wskazywało również na to, by w tym domu hodowano psy. W taki piękny dzień nie trzymano by ich pod zamknięciem, lecz hasałyby po całym ogrodzie.

Oficer ostrożnie wstał i jeszcze uważniej zbadał ogród. Korzystając z osłony krzaków można było ryzykować dostanie się do willi bez zaalarmowania jej mieszkańców. Opierając się o pień sosny nie będzie zbyt trudno przeskoczyć siatkę. Tuż przy drzewie żywopłot był znacznie niższy i rzadszy. Po prostu sosna nie pozwalała krzakom rosnąć tak bujnie.

Kapitan ponownie upewnił się czy nikt go nie obserwuje, podskoczył i uchwycił się najniższej gałęzi sosny. Podciągnięcie się na rękach, energiczny wymyk i Michał Wyganowicz znalazł się dwa metry nad ziemią. Skok ponad ogrodzeniem i siatką nie przedstawiał żadnych trudności.

Oficer spadł na bujną trawę i w tej pozycji pozostał jakiś czas, aby upewnić się, że nie jest obserwowany. Zdawał sobie sprawę z tego, że teraz znalazł się w kolizji z prawem. Naruszył cudzy teren, a więc poważny powód do wezwania policji, która zabrałaby intruza ze sobą, nie słuchając żadnych wyjaśnień. Zresztą oficer uważałby to jeszcze za najlepsze wyjście z sytuacji. Ludzie, mający na sumieniu uprowadzenie profesora Jabłoniowskiego i zabranie jego bezcennej teczki, szli przecież na całego. Przy takiej stawce jeden trup więcej nie odgrywał roli. Wyganowicz był absolutnie pewien, że ci co uprowadzili uczonego, już przedtem nie zawahali się posłać na tamten świat człowieka z konkurującego z nimi wywiadu. A czym oficer różnił się od

tego Amerykanina z niemieckim paszportem? Tylko tym, że był Polakiem, a papiery miał brazylijskie. Dlaczego jego mieliby bardziej oszczędzać, gdyby wpadł im w łapy? Nie tylko o siebie Michałowi chodziło. Jego obowiązkiem było przede wszystkim ratowanie życia profesora i odzyskanie ważnych dokumentów.

Nad jeziorem i w ogrodzie nadal nie działo się nic podejrzanego. Oficer sprawdził czy w jego pistolecie kula znajduje się w lufie i ruszył naprzód.

Skokami od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, powoli zbliżał się do budynku. Ciągłe nadśluchował. Ciągłe był w pogotowiu. Ale wokoło panowała cisza. Nawet ptaki wyniosły się z tego zapuszczonego ogrodu.

Droga trwała dość długo. Wreszcie oficer znalazł się w bezpośredniej bliskości willi. Jeszcze jeden skok i przywarł do jej ściany. Teraz był niewidoczny dla ludzi z wewnątrz, chyba że otworzyliby okna i wychylili się. Ale willa nadal robiła wrażenie wymarłej. Gdyby Wyganowicz na własne oczy nie widział trójki mężczyzn wysiadających z popielatego opla i niknących za gęstym żywopłotem, mógłby sądzić, że zmylił trop i znalazł się na terenie nie zamieszkałej posesji.

Kapitan schylił się, usiłując zajrzeć przez okno sutereny do wnętrza willi. Mieścił się tam jakiś warsztat lub pralnia. Różne stare, nikomu nie potrzebne już graty zajmowały środek pomieszczenia, pod ścianami znajdowały się puste półki. Oficer doszedł do narożnika i wyjrzał zza węgła. Ta ściana willi miała na dole małe okna, jak strzelnice. Były one w dodatku zakratowane gęstą siatką. Nie miało najmniejszego sensu tam zaglądać. Korzyść mała, a ryzyko nieporównanie groźniejsze, bo skradającą się przy białej ścianie postać łatwo można było dojrzeć nawet z ulicy.

Wyganowicz zawrócił. Największą trudnością było tu ominięcie tarasu. Wznosił się on wprawdzie na tej samej wysokości co suterena, ale szerokie schody nie chroniły oficera kontrwywiadu przed wzrokiem kogoś, kto znajdowałby się akurat przy oknie lub przy oszklonych drzwiach.

Michał postanowił zabawić się w Winnetou czy też innego Old Shaterhanda i całą drogę przepęłnić. Widocznie i tym razem Polakowi sprzyjało szczęście, bo w willi nadal panowała kompletna cisza. Pomimo to kapitan aż się spocił z emocji, zanim dotarł do końca tarasu.

Tutaj czekała go niespodzianka, ponieważ tego szczegółu budowy przedtem nie zauważył. Oto w bocznej ścianie tarasu znajdowały się drzwi. Nie były zamknięte, a jedynie uchylone. Prawdopodobnie służyły one jako dodatkowe wejście, aby po pracy w ogrodzie nie okrążać domu, lecz bezpośrednio dostawać się do pomieszczeń gospodarczych w suterenie.

Te półotwarte drzwi jak gdyby zapraszały kapitana do wejścia. Oficer wiedział, że napastników jest przynajmniej dwóch. Tylu bowiem uczestniczyło w porwaniu profesora. Czy jednak w głębi tego domu nie kryło się jeszcze kilku współników? Tego nie można było przewidzieć. W tej sytuacji oficer zdecydował się działać przez zaskoczenie. Tylko ono rokowało sukces.

Michał ostrożnie zszedł w dół parę schodkami i stanął przy drzwiach. Nadśłuchiwał. Cisza. Delikatnie pchnął drzwi. Uchyliły się szerzej, bez najmniejszego szmeru. Oficer usiłował zajrzeć przez utworzoną w ten sposób szparę. Ukazywała na wpół ciemny, niewielki korytarzyk, kończący się drugimi drzwiami, również nie domkniętymi. Prawdopodobnie z pomieszczenia za nimi prowadziły na górę wewnętrzne schody.

Wyganowicz wyjął z kieszeni pistolet i trzymając palec na cynglu popchnął drzwi na szerokość pozwalającą wejść do środka. Z bronią gotową do strzału, kapitan zrobił dalsze trzy kroki i dobrał się do następnych drzwi. Poddały się, ale w tej chwili poczuł straszliwy ból od ciosu w głowę i bez przytomności osunął się na betonową podłogę korytarza.

Głowy Polaków są mocne. Nie minęło piętnaście minut, kiedy oficer rozpoczął powrotną drogę do przytomności. Najpierw wrócił silny ból i szum w całej głowie, potem świadomość. Chciał ruszyć ręką, lecz nie mógł jej unieść. W

przegubach coś go zapiekło. Michał zrozumiał, że został związany. Jeszcze nie otwierając oczu, ponowił próbę. Nie mylił się. Skrępowano go jakimś cienkim sznurem lub drutem, który silnie wpijał się w ciało rąk. Nogi miał wolne.

— Psiakrew! — całkiem już oprzytomniał. — Dobrowolnie wlałem w pułapkę, jak ten głupi baran idący do rzeźni.

Uniósł nieco powieki. Leżał na podłodze dużego, widnego pokoju. Nie opodał, w fotelu, siedział profesor Roman Jabłoniowski. Na lewej ręce miał ciągle zapięty łańcuszek od teczki. Drugą rękę wolną. Natomiast skrępowano mu nogi. Naprzeciwko niego, w takich samych fotelach, siedziało dwóch mężczyzn. Gdyby nie te więzy i pistolet trzymany w ręku jednego z dwóch pozostałych mężczyzn, można by pomyśleć, że toczy się tu towarzyska rozmowa. Właśnie Austriak tłumaczył Polakowi:

— Pan, profesorze, jest człowiekiem mądrym i inteligentnym. Musi się więc pan orientować w sytuacji, w jakiej się znalazł. A także w tym, że dla zdobycia tych dokumentów nie cofniemy się przed niczym. Chcielibyśmy jednak tego uniknąć i nie pozbawiać waszej ojczyzny tak wybitnego uczonego. Ale niestety, na pański upór będziemy musieli zareagować ostrzejszymi środkami. Jeszcze raz pytam, jak się otwiera ten zamek zwalniający łańcuszek?

— Nie wiem — odpowiedział profesor.

— Pan jest w doskonałym humorze, jeśli się go trzymają takie żarty. Przecież pan codziennie otwierał i zamykał łańcuszek. I to raz na rękę, a drugi raz na nodze fotela stojącego w pańskiej sypialni. Jak pan słyszy, my wszystko wiemy i zapewniam, że znamy także doskonale sposoby na odświeżanie ludzkiej pamięci.

Profesor milczał.

— Pan sam zmusza nas do tego — ciągnął Austriak.

— Hans, przynieś maszynkę i nastaw kartofelki. A co z tym drugim? Zobacz, czy nie odzyskał przytomności. Coś za długo leży.

Człowiek nazwany Hansem roześmiał się.

— Nie potrzeba nawet sprawdzać. Po moim uderzeniu nikt

nie śmie obudzić się wcześniej niż za dwie, trzy godziny.

— Przyznaję — Martin Grossman pochwalił kolegę — że dobrze to wykombinowałeś. Facet dał się złapać na te nie zamknięte drzwi.

— Dureń. Myślał, że nie widzieliśmy jak jechał za nami przez cały Sztokholm. Czy on jednak nie narobił alarmu i nie zawiadomił policji?

— Na pewno nie. Wybiegł z hotelu tuż za nami. Prawdopodobnie agent wywiadu komunistycznego. Pan go zna, profesorze? Miał was ochraniać. Pana i pańskiego asystenta.

— Ja?! — prawdziwe zdumienie brzmiało w głosie profesora. — Pierwszy raz go widzę.

— Ma dokumenty brazylijskie. Niewątpliwie autentyczne — wyjaśnił Hans — wizy prawie wszystkich państw na świecie. Widać, że facet stale w podróży. Do krajów komunistycznych nie kwapił się. Był tylko w Związku Radzieckim trzy lata temu i to bardzo krótko. Zaledwie tydzień w Moskwie. Myślę, że tym razem pan Jabłoniowski powiedział prawdę. Ten gość deponował w hotelowym sejfie drogie kamienie dużej wartości.

— Nie jest jednak zwykłym jubilerem, raczej z konkurencji. Ale dla kogo pracuje? Central Intelligence Agency?

— Raczej nie. Nie zauważyłem, żeby się kontaktował z tamtym młodym durniem ani z jego pomocnicą. Kiedy Ziegfrieda wykończyli, faceta na pewno nie było w hotelu. Prędzej Francja albo Izrael.

— Kiedy odzyska przytomność, to pogadam i z nim. Chyba chłoptaś nam się zwierzy. A teraz przynieś te kartofelki.

Hans wyszedł i za chwilę powrócił z małą maszynką elektryczną i aluminiowym garnkiem, wypełnionym w połowie nie obranymi i zalanymi wodą ziemniakami. Mężczyzna ustawił naczynie na kuchence i włączył prąd.

— Mamy jeszcze kilkanaście minut czasu — objaśnił Austriak — zanim się kartofelki ugotują. Radzę więc panu profesorowi porzucić ten śmieszny upór. Potem będzie bardzo przykro. Powtarzam, że nie lubię takich metod, ale pan sam nas zmusza. Niech pan nie będzie taki głupi.

Profesor Jabłoniowski milczał.

— Moja ostatnia propozycja. Podyktowana jedynie szacunkiem dla pana profesora. Pan zdejmie z ręki teczkę, otworzy ją i da nam papiery. Za piętnaście minut zwrócimy je nie naruszone. Nikt nic nie pozna. Odwieziemy pana natychmiast do hotelu. Gdyby indagowano pana, cóż prostszego powiedzieć, że wstąpił pan na kawę i spędził przyjemną godzinę w towarzystwie dobrych znajomych. A za tę grzeczność dziesięć tysięcy dolarów. Pan nie wierzy? Proszę, oto są pieniądze.

Martin Grossman podszedł do stojącego pod ścianą biurka i wyjął z szuflady plik zielonych banknotów.

— Nie — odpowiedział Jabłoniowski.

— Dziesięć tysięcy dolarów gotówką i pięćdziesiąt tysięcy czekiem do zrealizowania w jakimkolwiek banku zachodnioeuropejskim.

Profesor milczał. Odruchowo spojrział na leżącego na podłodze człowieka, jak gdyby od niego oczekiwał pomocy. Austriak zrozumiał to jednak inaczej.

— Rozumiem pana obiekcje, profesorze. Takie sprawy załatwia się bez świadków. Ale zapewniam pana, ten człowiek, gdyby nawet był przytomny i słyszał naszą rozmowę, nikomu nie zdradzi tej tajemnicy. Już my się o to postaramy.

Uczony nadal milczał.

— Ma pan czas do namysłu, dopóki kartofle się nie ugotują. Pieniądze leżą na stole, czek mogę zaraz wypisać. Decyzja należy wyłącznie do pana.

Mijały minuty. Jabłoniowski nie dawał odpowiedzi. Austriak nie kwapił się do rozmowy. Woda w garnku gotowała się, z cicha bulgocąc. Od czasu do czasu Hans podchodził do stołu i próbował nożem czy ziemniaki zmiękły.

— Chyba mają dosyć — stwierdził w końcu.

— A więc panie profesorze? — głos Martina Grossmana zabrzmiał nieprzyjemnie — po raz ostatni pytam, czy przyjmuje pan naszą propozycję?

— Nie — zdecydowanie odpowiedział Jabłoniowski.

— Hans, czy Schmidt czuwa?

— Tak. Jest na swoim miejscu, w razie czego sygnały alarmowe zaraz by się odezwały. Miałeś ich próbkę, kiedy ten Brazylijczyk przeskoczył siatkę. Jesteśmy zupełnie bezpieczni.

— Dobrze. Przygotuj go!

Martin Grossman podszedł do garnka, nożem wyjął z wrzątku jednego kartofla. Żeby się nie poparzyć, trzymał go przez chusteczkę.

Tymczasem drugi mężczyzna chwycił profesora za prawą rękę i gwałtownym ruchem skrzył ją do tyłu, a jednocześnie kolanem przygniół Jabłoniowskiego do fotela. Grossman podszedł do na wpół zduszonego uczonego, jednym szarpnięciem rozdarł mu koszulę na piersi i włożył mu kartofel pod pachę. Potem docisnął łokieć profesora do jego boku, aby tym ruchem rozgnieść gorący ziemniak na ciełe. Polak usiłował się bronić, ale cóż mógł poradzić starszy człowiek przeciwko dwóm silnym i wysportowanym drabom? Ból, jaki odczuwał, musiał być potworny. Zagryzł bowiem wargi do krwi, a mimo to głuchy jęk wydobył się z jego krtani, a duże krople potu wystąpiły na czole.

Po kilku chwilach Grossman zwolnił uścisk, przerwał torturę i usunął kartofel. Spokojnie usiadł naprzeciwko Jabłoniowskiego i uśmiechając się powiedział:

— To była pierwsza maleńka próba. A kartofelków mamy w garnku jeszcze dużo. Znamy poza tym jeszcze skuteczniejsze sposoby.

— Gestapo — z odrazą wyszeptał zmordowany uczony.

— Dobrze, dobrze. Nie wymagamy od pana miłości, tylko oddania nam. teczki. Zaraz pan się przekona, że kartofelek w pachwinie daje znacznie lepszy efekt.

— Gestapo! — powtórzył Jabłoniowski.

— Odepnij teczkę! — ostrym głosem rozkazał Grossman.

— Nie! — równie ostro zareagował Polak.

— Nie? — fałszywy Austriak był naprawdę zdziwiony.

— Możecie mnie zabić, ale łańcuszka nie otworzę.

— Czy to tak trudno odciąć komuś rękę? Myślisz, że nie

mamy w domu siekiery? Jeżeli jeszcze tego nie zrobiliśmy, to dlatego, żebyś sam nam pomógł. Może okaże się, że po otworzeniu teczki będą nam potrzebne dodatkowe informacje. Wolę, żebyś żył do tego czasu. A posłuszeństwem możesz i uratować życie, i zarobić piękny grosz.

Jabłoniowski milczał. To była jego obrona, a zarazem protest.

— Słuchaj, daję ci oficierskie słowo honoru, że jeszcze się taki nie urodził, z którego nie potrafiłbym wydobyć wszystkiego co zechcę.

Profesor i tym razem zignorował te pogróżki.

— Milczysz? Dobrze! Już ja cię zmuszę nie tylko do mówienia, ale nawet do śpiewu. Hans! — rozkazał — następny kartofelek.

— Dajcie mu spokój — odezwał się człowiek leżący na podłodze. — Ja wiem jak rozpiąć łańcuszek i jak się ta teczka otwiera.

ROZDZIAŁ XIV

Kapitan zaczyna pertraktacje

Kapitan Michał Wyganowicz, pomimo skrępowanych rąk i choć w głowie pracowały mu przynajmniej dwie młockarnie, dźwignął się z podłogi. Na ten widok Hans upuścił z wrażenia trzymany w ręku kartofel, a Martin Grossman pochwycił leżący na stole pistolet.

— Leż! — wrzasnął Hans podbiegając do oficera.

— Bo jak cię trzasnę drugi raz w ten pusty łeb, to się obudzisz, ale na innym świecie.

— Nie bądź głupi — spokojnie odpowiedział kapitan.

— Z nas wszystkich tylko ja umiem otworzyć teczkę. Wyganowicz nieco chwiejnie podszedł do wolnego

fotela i usadowił się w nim wygodnie. Wyciągnął ręce do Hansa i polecił:

— Rozwiąż!

— Ja ci... — Hans zamierzył się pięścią, uzbrojoną w kastet.

— Daj spokój — rozkazał Martin Grossman.

— Nie ma się co bawić z tym łobuzem — odwarknęła Hans, ale odsunął się od oficera.

— Kim jesteś? — zapytał Grossman.

— Co ciebie to obchodzi? Jednym z branży. A nazwisko znacie. Przecież zabraliście mi portfel z dokumentami.

— Takie to i twoje nazwisko.

— Podobnie jak wasze — roześmiał się Wyganowicz.

— Grajmy lepiej w otwarte karty zamiast się sobie wzajemnie przedstawiać.

— Dla kogo pracujesz?

— Czy to nie wszystko jedno? Ja o nic nie pytam. Mnie tak samo, jak i wam, zależy na tych dokumentach. Wy macie w ręku teczkę i profesora, a ja znam tajemnicę jej otwierania.

— Nie zapominaj, że mamy w ręku również ciebie.

— Jabłoniowskiemu nie wydrzecie jego sekretu. Zabić go żadna sztuka, ale sami wiecie, jaki wrzask podniesie się na cały świat. Domyślam się dla kogo pracujecie, jak zapewne i wy wiecie, kogo ja reprezentuję. Doskonale też zdajecie sobie sprawę, że w razie jakiejś większej grandy, wasi mocodawcy nie tylko zostawią was na lodzie, ale wręcz wyprą się kontaktów z wami. Trzeba byłoby wtedy odpowiadać za morderstwo. A po co to, kiedy można zrobić dobry interes i zarobić ładne pieniądze.

— Nie wymądrzaj się.

— Zamiast gadać głupstwa, rozwiązalibyście mi ręce.

— Dlaczego?

— Bo związanymi nie otworzę zameczka na łańcuchu, przytrzymującym teczkę na ręku profesora. Poza tym nie lubię rozmawiać o interesach, kiedy sznurek | wpija mi się w przeguby dłoni. Przecież jest was dwóch i macie broń.

— Nie bądź taki przemądrzały. Jeżeli umiesz otwierać teczkę, to wymień cyfry na jakie jest nastawiony zameczek łańcuszka.

— To jest towar do sprzedania, a jeszcze nie zrobiliśmy interesu.

— Jak ci dam w pysk! — rozzłościł się Hans.

— Zostaw! — ponownie interweniował Grossman.

— Jest nas trzech — mówił dalej kapitan. — Rozporządzacie, jak słyszałem przed chwilą, sześćdziesięcioma tysiącami dolarów. Na każdego z nas przypada więc po dwadzieścia tysięcy. Niedużo wprawdzie, ale łatwo i szybko zarobione, czyli nie do pogardzenia.

Oficer kontrwywiadu usiłował mówić to wszystko tonem spokojnym, aby w oczach swoich rozmówców zaprezentować się jako typ bez skrupułów. Taki, który pójdzie na każde świństwo, aby tylko zarobić. Rozumiał dobrze, że tylko w tym wypadku może stać się partnerem obecnych przeciwników. Nie omylił się. Na dźwięk „dwadzieścia tysięcy dolarów”, nawet tak manifestacyjnie wrogo nastawiony Hans, spojrział na Wyganowicza z większą uwagą. On zaś dalej prowadził swoją niebezpieczną grę.

— Zarówno waszym, jak i moim szefom, chodzi o formułę katalizatora. Reszta, to dla każdego fizyka względnie łatwe zadanie. Jestem pewien, że formuła znajduje się w tej teczce. A jak się ją zdobyło? Co to kogo obchodzi? Wystarczy trzymać język za zębami. Nie wygadać się, że zrobiono dwa zdjęcia dokumentów, a nie jedno. Podzielimy się odbitkami. Jedna dla was, druga dla mnie. A pieniądze? Was jest dwóch, musicie więc wziąć dwie trzecie.

— To są nasze pieniądze. Nie dziel skóry na niedźwiedziu.

— Pieniądze są na koszty zdobycia dokumentów. Jeżeli profesor będzie żył i będzie milczał, wasz szef zrozumie, że przyjął waszą propozycję... włącznie z dolarami.

— Coś kręcisz. Wyłóż to jaśniej — Grossman z coraz większym zainteresowaniem słuchał rzekomego Brazylijczyka, Diego de Periera.

— To przecież zupełnie proste. Wy macie teczkę, ja ją wam otworzę. Zrobimy fotokopie dokumentów i podzielimy się nimi. Wy weźmiecie jeden komplet, ja drugi. Zarówno wy, jak i ja, zameldujemy naszym mocodawcom o wykonaniu zadania.

— Mamy teczkę i sami możemy ją otworzyć.

— Bez uszkodzenia teczki albo bez uszkodzenia profesora tego nie zrobicie. Ta teka ma specjalne urządzenia. Trzeba by ją pruć rakiem, jak kasę pancerną.

— No to co?

— Uszkodzenie teczki stanie się dowodem, że ktoś zawładnął papierami. Zranienie lub zabicie profesora, to gruba awantura międzynarodowa. A ja mogę otworzyć tę teczkę. Wyjmiemy dokumenty, zrobimy zdjęcia. Teczuszkę zamknie się z powrotem na ręce profesora. Z wielkimi honorami odwieziecie go do hotelu albo w jego pobliże. Trzeba mu tylko zmienić koszulę, bo ta nie wytrzymała próby, nie tyle czasu, co kartofla. Profesor będzie milczał jak grób, a my podzielimy się pieniżkami. Swoim szefom wyjaśnicie, że zapłaciliście tę kwotę Jabłoniowskiemu za otwarcie teczki i zdradzenie wam tajemnic. On nie będzie mógł udowodnić, że było zupełnie inaczej.

— Łajdak! — rzucił profesor.

— Łajdak, nie łajdak, ale interes jest czysty jak złoto.

— A jeżeli profesor wygada?

— Właśnie tłumaczę wam, że się nie wygada. Jeżeli na teczce nie będzie uszkodzeń, Jabłoniowski nie piśnie ani słówka. Gdyby nawet przysięgał, że go uprowadzono i przemocą zawładnięto papierami, nikt mu nie uwierzy. Ani w Szwecji, ani za żelazną kurtyną. Spokojna głowa. Profesor nie puści pary z ust. Co innego, jeżeli teczka zostanie uszkodzona... Rozumiecie?

— W tym co mówisz, jest trochę sensu.

— Nie trochę, ale cały sens. Nie zaprzeczam, że sami możecie dobrać się do tych dokumentów. Ale jakim kosztem? Wasi mocodawcy woleliby, aby cała sprawa potoczyła się bez najmniejszego rozgłosu. Mieli już za swoje z powodu tych dwóch trupów w „Minerva-Palace-Hotelu”. Nawet ja, najzupełniej niewinny, musiałem się gęsto tłumaczyć centrali, że nie maczałem w tej robocie swojego palca.

— A jaką mamy gwarancję, że otworzysz teczkę?

— Przecież jest was dwóch. Macie pistolety. Będziecie mnie pilnowali!

Kapitan najmniejszym drgnięciem twarzy nie zdradził, że zauważył jak stojący z boku Hans dawał Grossmanowi znaki, aby zgodzić się na propozycję rzekomego Brazylijczyka. Ten „telegraf” był wyjątkowo łatwy do rozszyfrowania. Brzmiał on: „Zgódź się, on otworzy teczkę, a potem go wykończymy i całe pieniądze nam przypadną. Po co dzielić na trzy, kiedy lepiej na dwa”.

Oficer z zadowoleniem pokwitował kiwnięcie głową Martina, na znak, że zrozumiał współnika.

— Uprzedzam — powiedział Austriak — że jeżeli zechcesz nas wykiwać, natychmiast strzełę.

— Czy ja nie chcę zarobić? Przetnij mi więzy.

Tym razem Martin Grossman zgodził się bez oporów.

— Rozwiąż go — polecił Hansowi, a sam cofnął się nieco z pistoletem wycelowanym w Wyganowicza.

Hans rozciął kapitanowi więzy, tym samym nożem, którym

próbował miękkość kartofli. Oficer poruszał zdrętwiałymi palcami i masował sobie kostki.

— No, dosyć tej zabawy — denerwował się Hans.

— Otwieraj tekę.

— Zaraz, zaraz, a pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Dwadzieścia tysięcy dolarów, które mi się uczciwie należą. Na stole widzę tylko dziesięć. Poproszę o czek na resztę sumy.

— Dostaniesz razem ze zdjęciami.

— Dobrze. Trudno nie ufać takim dżentelmenom. Traktuję więc te dziesięć tysięcy jako zadatek — to mówiąc kapitan spokojnie sięgnął po zwitek zielonych papierków i władował je sobie do kieszeni. — Mam nadzieję — dodał — że nie potrzebuję liczyć? Napiłbym się kieliszek koniaku. Może macie Remy Martin?

— Ty nas nie denerwuj — zaperzył się Hans.

— Dostaniesz i koniaku, kiedy będziemy mieli papiery w rękę. Wtedy będzie pora i na oblewanie naszego interesu — Grossman lepiej panował nad swoimi nerwami niż jego pomocnik.

— Robię to tylko ze względu na naszą starą i wypróbowaną przyjaźń — zgodził się oficer.

— Ty mnie nie wyprowadzaj z cierpliwości —• jeszcze chwila i Hans rzuciłby się na Wyganowicza.

— Najpierw trzeba odpiąć łańcuszek z ręki profesora — wyjaśnił oficer. — Muszę mieć przy tym waszą pomoc. Trzeba przytrzymać Jabłoniowskiego za ręce, aby się nie szarpał. Inaczej nie uda się ustawić równo cyfr. Niech Hans trzyma za prawą, a ty za lewą.

— Nie bądź za mądry! Ja sam wystarczę, a Martin będzie w ciebie mierzył z pistoletu.

— Wzajemne zaufanie, to najpiękniejsza cecha prawdziwych przyjaciół — mruknął kapitan — takich, jak my trzej. No dobrze, spróbujemy we dwóch. Zobaczmy czy poradzisz. Trzymaj mocno! Żeby nie mógł się ruszyć.

Hans zbliżył się do profesora. Wprawdzie Jabłoniowski

usiłował się bronić, zdołał nawet uderzyć bandytę, ale co mógł cherlak przeciwko siłaczowi? Obie ręce uczonego znalazły się jak w stalowych kleszczach.

— Doskonale — pochwalił rzekomy Diego de Periera. Podszedł do fotela profesora i nastawił zamek łańcuszka na odpowiednie cyfry. Dziękował sobie w duchu, że je zapamiętał, kiedy pułkownik Mogajski po raz pierwszy demonstrował mu tę teczkę.

Zamek szczęknął i stalowa obręcz na ręku profesora otworzyła się. Nie podtrzymywana już przez łańcuszek, teczka upadła na podłogę. Hans puścił ręce uczonego i jak błyskawica chwycił bezcenny skarb.

— Oj, Hans — roześmiał się kapitan. — Ty nigdy nie zmądrzejesz. Po co ci teczka, skoro nie umiesz jej otwierać?

Ale Hans nie dawał za wygraną. Mocował się z jednym z zamków teki. Naturalnie bez żadnego skutku.

— Tylko uważaj — ostrzegwał Wyganowicz — żebyś nie porysował skóry lub nie zrobił szczyrby na okuciu. Komuniści dobrze obejrzą tę tekę, bez względu na to co im powie profesor. Jeżeli zauważą znaki, cały nasz plan diabli wzięli.

— On ma rację — zgodził się Grossman. — Zostaw teczkę. Niech on ją otworzy.

— Po co? W kieszeniach Jabłoniowskiego znaleźliśmy cały pęk kluczy. Trzeba je wypróbować. Na pewno któryś z nich pasuje.

— Próbuje, próbuje — zadrwił oficer. — Teka ma takie specjalne urządzenia, że w razie niewłaściwego jej otwierania wszystko wewnątrz zalane zostaje kwasem solnym, który zniszczy dokumenty. Po tamtej stronie żelaznej kurtyny także umieją myśleć. Jeżeli wpakujecie jakikolwiek klucz w ten zamek, ja umyвам ręce.

— Zostaw, Hans — Martin Grossman jeszcze raz musiał uspokoić swojego kolegę. — Niech on sam to zrobi. A jak się ta teczka otwiera?

— Zamek na łańcuszku nastawia się na odpowiednią kombinację cyfr. Po skończonej operacji zapnę go ponownie

na rękę profesora. Także i teka ma podobne urządzenie. Ten zamek i otwór na klucz, to pułapka dla nie wtajemniczonych. Uruchamia radiowy sygnał alarmowy. W teczce jest małe radio nadawcze. Otwiera też zbiorniczek z kwasem solnym. Natomiast teka otworzy się sama, jeżeli naciśnie się ją w paru odpowiednich miejscach.

— Skąd to wiesz?— Hans nadal nie dowierzał Brazylijczykowi.

— Drogo nas kosztowało zdobycie tej tajemnicy. Na szczęście i wśród komunistów można znaleźć ludzi, którzy lubią dobrze i szybko zarobić. Zanim ta teka wyszła z warsztatu, już znaleźliśmy jej tajemnicę. Może nie akurat tej, bo podobnych cacek wyprodukowano tam całą serię, między innymi dla poczty dyplomatycznej, ale zasada jest identyczna.

— Otwórz wreszcie tę teczkę!

— Dobrze.

Michał Wyganowicz jedną ręką przytrzymał teczkę, a drugą zaczął ją naciskać. Tecka jednak ani drgnęła

— Samemu trochę niewygodnie. Hans, pomóż mi. Trzymaj tekę, a ja będę ją otwierał. Patrz, jak to się robi.

Tym razem Hans nie protestował. Wziął w obie ręce teczkę i uważnie obserwował ruchy rąk kapitana. Oficer pod pozorem, że szuka sekretnych miejsc, uruchamiających mechanizm zamka, niespodziewanie zadał szpiegowi cios w podbrzusze, tak wymierzony, że przeciwnik natychmiast stracił przytomność.

Nim ciało opryszka zważyło się na ziemię, kapitan pochwyił teczkę i cisnął nią w pistolet, który trzymał w ręku Grossman.

Huknął strzał. Kula uderzyła w teczkę, ześliznęła się z niej i poszła rykoszetem w leżącego na ziemi człowieka. Martin nie zdążył wystrzelić po raz drugi, gdyż Wyganowicz rzucił się na niego i zdołał lewą ręką uchwycić za lufę pistoletu, odciągając ją w bok.

Obydwaj mężczyźni, spleceni ze sobą, w milczeniu walczyli o rewolwer. Coraz to lufa kierowała się niebezpiecznie w

stronę Michała. Coraz to, w ostatniej niemal chwili, oficer zdołał ją odsunąć i uwolnić się od niebezpieczeństwa. To jeden, to drugi brał górę. Twarze zmagających się stawały się coraz bardziej purpurowe. Martin Grossman lewą ręką usiłował odepchnąć przeciwnika, który prawicą oplatał szyję Austriaka.

Obydwu wydawało się, że ich zapasy trwają długo, chociaż walczyli zaledwie kilkanaście sekund.

Profesor Jabłoniowski, który początkowo nic nie rozumiał z rozwijających się wokół niego zdarzeń, powoli zaczynał się orientować, że zwycięstwo południowca leży w jego interesie. Chciał mu pomóc w tej śmiertelnej walce, ale związane nogi uniemożliwiały mu dzwignięcie się z fotela. Sięgnął do więzów krępujących mu ruchy, aby je rozplątać. Nylonowa linka była jednak dobrze zaciśnięta. Mowy nie było, aby bez pomocy noża można się było od niej uwolnić. Nóż leżał wprawdzie na stole, ale poza zasięgiem ręki uczonego.

Tymczasem powoli, powolutku, Polak zaczynał brać górę. Lufa pistoletu wędrowała coraz dalej do tyłu. Wreszcie Grossman nie miał już siły, żeby utrzymać broń w mdlejących palcach. Rozwarły się one i ciężkie żelazo z głuchym łoskotem uderzyło o podłogę. Wyganowicz zdołał je odsunąć nogą o dwa metry.

Ale w tej chwili Grossman odskoczył i wolną prawą ręką zadał Polakowi straszliwy cios. W ostatnim momencie kapitan trochę się odchylił i pięść, spadająca na jego szczękę, napotkała już głowę lecącą do tyłu. To spowodowało, że cios, który mógł znokautować, rzucił tylko Wyganowicza na podłogę.

Martin Grossman postanowił wykończyć przeciwnika potężnym kopnięciem w głowę. Kapitan nie stracił jednak przytomności i zdołał się uchylić. Austriak zachwiał się i również znalazł się na podłodze.

Przeciwnicy poderwali się błyskawicznie, aby ponownie runąć na siebie. Spleceni w uścisku potoczyli się po podłodze, walcząc ze zmiennym szczęściem. Na chwyt każdy z nich odpowiadał chwytem. Cios parował ciosem. Żaden z

nich nie mógł w tej walce zyskać decydującej przewagi.

Wreszcie Michałowi Wyganowiczowi udało się pochwycić Martina obu rękoma za gardło. Próżno Austriak bronił się i zadawał uderzenia, które padały jak lawina na twarz i barki Polaka. Jednakże nie miały one większej mocy, leżącemu na ziemi człowiekowi brakowało rozmachu, aby wyprowadzić skuteczny cios. Jednocześnie tracił siły i coraz ciężiej było mu łapać szeroko otwartymi ustami powietrze.

Michał był bliski zwycięstwa, jego przeciwnik stawiał już mniejszy opór. Nagle do uszu oficera dotarł rozkaz:

— Tu policja! Ręce do góry!

Nie puszczając gardła przeciwnika, kapitan z trudem odwrócił głowę w stronę drzwi. W ich progu stał jakiś cywil z pistoletem w ręku. Za nim dwóch mundurowych policjantów.

Nadeszła pomoc. Oficer puścił leżącego pod nim przeciwnika i ostatkiem sił dźwignął się z podłogi. Z trudem uniósł ręce nad głowę. Martin Grossman leżał na podłodze bez ruchu.

Michał Wyganowicz rozpoznał w cywilu sympatycznego Szweda, który według zapisu w księdze hotelowej posiadał jakieś kopalnie na północy kraju i którego tak często widywał w barku hotelowym. Kilkakrotnie wypił z nim po kieliszku whisky. Przemysłowiec bardzo interesował się wówczas Brazylią i szmaragdami. Rzekomy Diego de Periera demonstrował mu swoją kolekcję.

ROZDZIAŁ XV

Tajemnica willi na Strandlinden

Bertil Svensson zatrzymał swój samochód na małym placyku zamkniętym z jednej strony budynkiem stacji metra Häselby Strand, a z drugiej pawilonami, w których mieściły się dwa sklepy, jeden spółdzielczy, a drugi prywatny, sklep rybny i z konfekcją. Do Strandlinden było stąd paręset metrów.

Tutaj, na kierującego akcją, oczekiwał komisarz z najbliższej placówki policyjnej. Raportował krótko:

— Cała ulica otoczona moimi ludźmi. Willa pilnowana zarówno od strony Strandlinden jak i od jeziora Lambarfjärden. Nawet mysz by się nie wymknęła stamtąd.

— A co w willi?

— Jak zdołaliśmy ustalić przy pomocy specjalnej aparatury, na pierwszym piętrze przebywa jeden człowiek. Wygląda na to, że pełni wartę, bo regularnie pojawia się w oknie wychodzącym na jezioro, albo obserwuje ulicę. Okna na parterze zasłonięte są gęstymi zasłonami, przez które nie można niczego zobaczyć.

— A ten Brazylijczyk? Diego de Periera?

— Nikogo o wskazanym rysopisie nie zauważono ani w pobliżu posesji, ani w ogóle w całej dzielnicy.

— Na pewno wpadł im w łapy — skonstatował Bertil Svensson.

— Ustaliliśmy — wyjaśniał dalej komisarz — że willa należy do bogatej wdowy po armatorze, fru Raket Hedberg. Pani Hedberg przed paru miesiącami wyjechała na dwa lata za granicę. Jej pełnomocnik wynajął tę posiadłość wraz ze wszystkimi urządzeniami niejakiemu Karlowi Starkowi, obywatelowi szwedzkiemu pochodzenia niemieckiego. Jego pierwotne nazwisko brzmiało „Strackmann”. Trochę je sobie zeszwedził, naturalizując się w Skandynawii. Herr Stark zapłacił za pół roku z góry i zastrzegł w umowie przedłużenie

kontraktu na następne półrocze, aż do powrotu właścicielki. Jest to człowiek zamożny. Posiada sporą fabrykę aparatury pomiarowej.

— Kto go polecił?

— Nikt. Wynajmujący zasięgał jedynie opinii Stockholm Enskilda Bank. Wypadła ona dla Starka pomyślnie. Ogłoszenie o wynajęciu willi ukazało się w „Svenska Dagbladet”. Pełnomocnik pani Hedberg, poza tym co wiemy, nie umiał powiedzieć niczego konkretnego o swoim kontrahencie. Rozmawiał z nim kilka razy telefonicznie, a widział najwyżej trzy razy. Jest zadowolony ze zrobienia tego interesu, bo czynsz był wysoki, a Stark nie targował się. Inni mieszkańcy ulicy Strandlinden uważają Starka za spokojnego lokatora. Prawie go nie widać.

— A popielaty opel?

— Prawda! To jest wóz Starka. Stoi w garażu, w suterenie willi. Posesja jest ogrodzona wysoką siatką. Poleciała to zrobić pani Hedberg, która podobno lokowała część swoich kapitałów w złocie oraz w brylantach, a wolała je trzymać w domu. Do willi prowadzą dwa wejścia: od ulicy Strandlinden furka dla pieszych oraz wrota dla wjazdu samochodem; poza tym jest furka, zabezpieczona dodatkowo grubym łańcuchem, wychodząca na jezioro, ale tej nie używano od wjazdu właścicielki. Pan Stark widocznie nie lubi wody i nie spaceruje po lesie. Nigdy go tam nie widziano.

Komisarz relacjonował te wiadomości z dumą w głosie. Nic dziwnego. Od zarządzenia alarmu nie minęła jeszcze godzina, a jego ludzie zdążyli aż tyle się dowiedzieć. Komisarz, chociaż nikt go nie wtajemniczał w szczegóły, domyślał się, że chodzi tu o jakąś bardzo ważną sprawę, skoro kieruje akcją wyższy funkcjonariusz policji politycznej, a przy tym postawiono na nogi całą sztokholmską policję. Tego nie robi się dla ujęcia złodziejaska lub innego zwykłego przestępcy.

— Bardzo dziękuję, komisarzu, rzeczywiście jest pan doskonale poinformowany o wszystkim, co dzieje się na jego terenie. Pozwoli pan teraz, że przejdę się po tej Strandlinden

i osobiście zbadam, jak to wygląda.

— Jestem na pańskie rozkazy. Czy mam panu towarzyszyć?

— Nie. To byłoby zbyt ryzykowne. Mieszkańcy Vällingby znają przecież swojego komisarza policji. Pański widok mógłby zaalarmować ludzi znajdujących się w willi. Nasza akcja powinna być szeroko rozegrana, aby uniknąć strzelaniny i niepotrzebnych ofiar. Ci, tam wewnątrz, nie mają wiele do stracenia.

— Może na wszelki wypadek któryś z moich ludzi pójdzie dyskretnie za panem?

— Po co? Nie sędzę, żeby otworzyli nagle ogień do spokojnie idącego przechodnia. Gdyby nawet mnie poznali, nie uczynią tego. Co najwyżej przygotowują się odpowiednio na nasze przyjęcie lub spróbują ucieczki. Czy pańscy ludzie mają tarcze kulochronne?

— Tak jest. Pełne wyposażenie bojowe. Hełmy, tarcze, poza bronią ręczną automaty i granaty łzawiące. W każdej chwili możemy uderzyć na willę.

— Mam nadzieję, że obejdzie się bez oblężenia. Spróbujemy ich zaskoczyć. Proszę tu czekać na mnie. Przejdę przez Strandliinden i wrócę nad jeziorem, żeby drugi raz nie pokazywać się na tej samej ulicy.

Po upływie dziesięciu minut Bertil Svensson był z powrotem na Hässelby Strand.

— Mielicie rację, komisarzu — Bertil nawiązał do przerwanej rozmowy — ulica jest pusta, wokoło panuje spokój. Wasi ludzie są doskonale zamaskowani. Chociaż wiedziałem, że są, trudno mi było ich zauważyć. Mam nadzieję, że ci w willi niczego nie spostrzegli.

— Jestem również tego pewien — komisarz rozpromienił się na tę pochwałę.

— Dziwię się tylko, że nie ma tam psów.

— Psów?

— No tak. Facet wynajmuje willę w pewnych celach, pozostających w wyraźnej kolizji z naszym kodeksem karnym. Zamienia ją w małą fortecę, a nie postarał się o żadnego wilczura, który czuwałby nad bezpieczeństwem

mieszkańców odosobnionego budynku. Czy to nie jest dziwne?

— Ma pan rację. Przypominam sobie, że fru Hedberg miała trzy ogromne psiska. Kiedyś policja musiała nawet interweniować, bo mieszkańcy sąsiednich domów skarżyli się, że ciągle ujadanie tych bestii zakłóca im spokój. Ale pani Hedberg zabrała psy ze sobą, aby nie rozstawać się ze swoimi ulubieńcami.

— Sam pan widzi, komisarzu, w tym coś jest.

Bertil Svensson zamyślił się.

— Gdzie tu jest transformator?

— Transformator elektryczny?

— Tak. Chodzi mi o transformator, który dostarcza prądu dla ulicy Strandlinden.

Komisarz przywołał jednego ze swoich ludzi i powtórzył mu pytanie Svenssona. Policjant pobiegł w stronę budynku metra. Kiedy wrócił stamtąd, wyjaśnił:

— Transformator znajduje się na Fyrspannsgatan, tuż za rogiem Strandlinden. Na jednej z tamtejszych posesji. Służy obu tym ulicom i klubom nad jeziorem.

— Doskonale — ucieszył się kierownik akcji — proszę natychmiast go wyłączyć.

— Wyłączyć? — komisarz nie wierzył własnym uszom. — Przecież w ten sposób pozbawimy prądu część naszej dzielnicy.

— Nie szkodzi — Bertil Svensson nie przejął się obiekcjami miejscowej policji. — Życie ludzkie jest ważniejsze niż dopływ prądu przez pół godziny lub nawet dłużej. Proszę to zrobić natychmiast!

Dopiero kiedy zameldowano, że prąd w całej dzielnicy nad jeziorem został wyłączony, Bertil Svensson uznał, że można przystąpić do akcji.

— Komisarzu, proszę upozorować na Strandlinden większy ruch niż normalnie. Jeden z policjantów ma obserwować willę, a zwłaszcza tego człowieka na pierwszym piętrze. Kiedy zauważy, że ten podchodzi do okna, od razu dawać sygnał przez radio. Grupa szturmowa, na której czele stanę

osobiście, będzie forsowała posesję od strony jeziora. Skokami, właśnie w tym czasie, kiedy ten człowiek z okna zajmie się kontrolowaniem ulicy.

— Jaki ma być ten ruch na Strandlinden? — na wszelki wypadek zapytał komisarz. Wolał dostać bardziej ściśle instrukcje, aby później, w razie niepowodzenia akcji, nie zwalono całej winy na kierownika miejscowego komisariatu.

— Niech tam jedzie samochód, który zatrzyma się w pobliżu willi, ale oczywiście nie naprzeciwko. Kierowca otworzy maskę i będzie grzebał w motorze. Jadący w wozie mogą wysiąść i rozglądać się wokoło.

— To będzie wyglądało dość podejrzanie. Wprawdzie ze Strandlinden można na upartej wyjechać na Mirabellgatan i innymi uliczkami na Maltensholmsvägen, ale Strandlinden nie jest trasą przelotową. Tak nikt nie jeździ.

— O to chodzi! Niech to właśnie wygląda nieco podejrzanie, ale jeszcze nie tak bardzo, aby facet podniósł alarm.

— A gdyby jednak tak było?

— Gdyby pan, komisarzu, bo właśnie pan będzie kierował akcją od strony Strandlinden, doszedł do wniosku, że nieprzyjaciel został ostrzeżony i atak przez zaskoczenie nie ma szans powodzenia, proszę komunikować o tym przez radio i nie licząc się już z niczym uderzać od frontu na willę. Macie jakiegoś Strzelca wyborowego z odpowiednią bronią?

Komisarz był zaskoczony tym pytaniem.

— Nie spodziewaliśmy się wojny. Myślałem, że chodzi o obławę na jakąś bandę. Wiedziałem, że mam tu ściągnąć wielu ludzi, ale nie podejrzewałem, że nasza akcja przybierze tak ogromne rozmiary.

— Słusznie pan powiedział, że to wojna. Po cichej, toczonej od paru tygodni, nadchodzi ta prawdziwa.

— Mam kilku ludzi, którzy dobrze strzelają, ale nie mamy karabinów, już nie mówiąc o przyrządach celowniczych.

— Trudno, obejdziemy się bez tego. Niech pan weźmie dwóch najlepszych strzelców, wyszuka im dobrze zamaskowaną pozycję, najlepiej na posesji po przeciwnej stronie ulicy. W razie ataku oni pierwsi mają otworzyć ogień

z pistoletów do człowieka na pierwszym piętrze. Może uda im się go trafić.

— Bez żadnego ostrzeżenia i wezwania do poddania się? — dla oficera szwedzkiej policji, przyzwyczajonego do ścisłych rygorów, taki rozkaz był całkowitym zaskoczeniem. Nie mieściło mu się to w głowie.

— Lepiej strzelać bez uprzedzenia niż później brać udział w pogrzebie swoich kolegów. Ja ponoszę odpowiedzialność za całą akcję i za jej skutki.

— Tak jest — komisarz postanowił nie dyskutować więcej z przedstawicielem policji politycznej, który stał znacznie wyżej od niego w hierarchii służbowej.

— Jeszcze jedno — dodał Bertil Svensson. — To jest wojna, a na wojnie różnie się zdarza. Gdybym został wyeliminowany z akcji, pan obejmuje ogólne dowództwo. Kto poprowadzi grupę szturmową od jeziora?

— Forste kriminal assistent, Kjell Albién — wyrecytował komisarz. — Porucznik jest już nad jeziorem i kieruje obserwacją z tamtej strony.

— W willi zastaniecie dwóch ludzi. Jeden krępy, siwy. Profesor z Polski. Drugi Brazylijczyk, o czarnych, bardzo wypomadowanych włosach, jak wszyscy południowcy. Obydwaj są prawdopodobnie więźniami mieszkańców willi. Jeżeli zastaniecie ich jeszcze przy życiu, należy dać im szybki i najlepszy ratunek. W willi trzeba odszukać brązową teczkę z łańcuszkiem do zapinania na rękę. Teczki nie otwierać, ani nawet tego nie próbować, ale natychmiast, pod specjalnym konwojem, przewieźć do siedziby Svenska Atom. Są to, oczywiście, instrukcje na wypadek, gdybym przestał osobiście kierować akcją. Z członków bandy nikt nie może uciec. Jeśli można, brać żywcem. Jeśli nie, strzelać celnie.

— Tak jest! Wszystko zostanie wykonane zgodnie z poleceniami — słowa Svenssona „Svenska Atom” wyjaśniły komisarzowi, jak odpowiedzialne zadanie mu przypało. Teraz już nie dziwił się niczemu.

— No, to się żegnamy. Zawiadomię, kiedy moja grupa będzie gotowa. A wy będziecie podawać, kiedy można

rozpocząć forsowanie przejścia.

Bertil Svensson okrężną drogą podążył na stanowisko nad jeziorem. Tutaj do akcji wybrał ośmiu ludzi, w tym porucznika Albiena. Pozostałym rozkazał, aby w razie strzelaniny zrobili coś w rodzaju osłony ogniowej grupy atakującej i ostrzeliwali wszystkie okna budynku. Ukryci za drzewami lub leżąc w wysokiej trawie, nie mogli być widoczni z willi. Czekali. Wreszcie w malutkim radio nadawczo-odbiorczym rozległ się głos komisarza:

— Gotowe. Samochód stoi na Strandlinden, niedaleko willi. Człowiek na pierwszym piętrze nie spuszcza z niego oczu. Posługuje się lornetką. Jest bardzo zaintrygowany tym wozem, ale nie widać, żeby wpadł w panikę. Dwóch moich ludzi ma go na muszce.

— Zaczynamy — odpowiedział Bertil Svensson i pierwszy przebył siatkę tą samą drogą, co przed dwiema godzinami kapitan Michał Wyganowicz. Za przykładem dowódcy, ośmiu policjantów, pomagając sobie wzajemnie, znalazło się po drugiej stronie ogrodzenia. Przypadli w trawę.

— Stoi w oknie — meldował znowu komisarz.

Svensson podniósł rękę w górę, dając tym znak swojej grupie. Skokami przebył kilka metrów, dzielących go od grupy krzaków. Znowu przywarował. W jego ślady poszedł mały oddziałek. Stosując tę taktykę, do- I arii do białego budynku. Przywarli do ściany. Svensson badał możliwości ataku czołowego przez drzwi i okna na tarasie, ale uznał to za zbyt ryzykowne. Może znajdzie się jakaś inna droga? Ostrożnie obchodził willę, aż dotarł do drzwi prowadzących pod taras. Były uchylone. Hans bowiem nie pofatygował się je zamknąć lub upojony swoim sukcesem, po prostu o nich zapomniał. Oficer ruchem ręki przywołał trzech najbliższych znajdujących się policjantów. Rozkazał szeptem:

— Wy, dwaj, pójdziecie ze mną tymi drzwiami. Broń do ręki. Strzelać do każdego napotkanego człowieka, z wyjątkiem krępego, siwego i drugiego o czarnych włosach. Kazać im tylko podnieść ręce do góry. Wy — powiedział do trzeciego policjanta — uprzedźcie kolegów, że gdyby nam się

nie powiodło i gdyby usłyszeli strzelaninę wewnątrz budynku, niech atakują przez taras. Wybijać szyby, wyważać drzwi. Gdyby panowała cisza, pod wodzą porucznika wchodzić tą drogą, co my.

— Tak jest — potwierdził rozkaz policjant i skradając się przy ścianie, wycofał się do swoich towarzyszy.

Bertil Svensson powoli otwierał drzwi. Kiedy powstała szpara, pozwalająca na wślizgnięcie się do środka, oficer nagle otworzył je na całą szerokość i jednym susem przeskoczył mały korytarzyk. Dwaj idący za swoim dowódcą policjanci asekurowali go pistoletami trzymanymi w pogotowiu.

Ale nic się nie działo. Korytarzyk był pusty. Svensson ujął za klamkę następnych drzwi. Te były zamknięte.

— Macie wytrychy? — zapytał.

— Tage Lood — jeden z tych co czekają pod ścianą budynku, jest specjalistą od otwierania, czy pójść po niego?

Gdzieś w głębi domu rozległ się pojedynczy strzał. Po nim znowu nastąpiła cisza. Nie było czasu do stracenia.

— Silnie, chłopcy — polecił dowódca małej grupki — razem wywalimy te drzwi. Nie wyglądają na zbyt mocne.

Pod naporem trzech muskularnych ciał drzewo wygięło się, a zamki puściły z głuchym trzaskiem. Znaleźli się teraz w sporym pomieszczeniu, z którego schody prowadziły na parter willi, a kilkoro drzwi wiodło do innych pomieszczeń suterenu. Svensson szybko przebył schody. Drzwi wiodące na parter nie były zamknięte na klucz i policjanci znaleźli się w sporym, kwadratowym holu. Nie ulegało wątpliwości, że dębowe drzwi zabezpieczone łańcuchem, to wejście frontowe do tego budynku. Svensson po cichu podszedł do tych drzwi, zdjął łańcuch nie czyniąc przy tym żadnego hałasu i odsunął dużą, stalową zasuwę, jakich w Szwecji od dawna się nie używa. Jeszcze przekręcenie zatrasku i Bertil szeroko otworzył drzwi. Nie omylił się. Przed sobą ujrzał schodki, płyty chodnika i furtkę prowadzącą na Strandlinden.

Teraz, gdyby nawet trzeba było przypuścić frontalny atak, policja miała ułatwione zadanie. Główna brama fortecy stała otworem.

Bertil Svensson wycofał się na środek holu. Poza tymi, którymi przedostali się tutaj z sutereny, było tu jeszcze czworo drzwi. Zza którychś z nich dobiegało sapanie, a może przesuwanie ciężkich przedmiotów? Nagły stuk, jaki usłyszeli ludzie czający się w holu, przypominał hałas wywołany przewróconym krzesłem.

— To na pewno tutaj — jeden z policjantów wskazał środkowe drzwi.

— Za mną!

Svensson gwałtownym ruchem szarpnął klamką i szeroko rozwarł podwoje, od razu uskakując w bok. Ostrożność ta była jednak zbyt duża. Nikt nie zainteresował się niespodziewanymi gośćmi.

Najbliżej wejścia, na posadzce dużego pokoju, leżał bez ruchu potężny, atletycznie zbudowany mężczyzna. W głębi pokoju toczyła się walka. Dwóch mężczyzn zwarło się ze sobą w śmiertelnym wysiłku. Jeden z nich dusił drugiego za gardło, a ten odwzajemniał się uderzeniami pięścią. W fotelu, bez ruchu, jak widz w teatrze, siedział starszy już człowiek.

— Tu policja! — krzyknął Svensson. — Ręce do góry!

ROZDZIAŁ XVI

Bertil strzela pierwszy

W mężczyźnie, który chwiejąc się na nogach uniósł się z podłogi, Bertil Svensson rozpoznał brazylijskiego jubilera, Diego de Periera. Obaj więźniowie byli więc zdrowi i cali. A w kącie leżała bezcenna, brązowa teczka.

W tej chwili hol zaludnił się. To porucznik Kjell Albien przyprowadził swoją siódmkę policjantów. Bertil szybko wydawał mu rozkazy:

— Na górze jest jeden lub więcej członków bandy. Wezwać do poddania się, a jeżeli nie zejda, cisnąć granaty łzawiące. Potem forsować schody. Tylko uważać, bez ofiar z naszej strony. W razie gdyby się bronili, użyć granatów bojowych. Przeprowadzić dokładną rewizję całej willi, od suterenu aż do strychu. Mieliśmy wiadomości o jakiejś nielegalnej stacji radiowej, nadającej szyfrem. Radiogoniometria ustaliła, że stacja ta pracuje gdzieś w okolicach jeziora Lambarfjärden. Nie zdołano jednak dokładnie jej zlokalizować. Powinniście znaleźć ją w tym domu.

— Jeżeli tu jest, na pewno ją wykryjemy. A o tych na górze niech pan będzie spokojny. Zrobimy wszystko, żeby wziąć ich żywcem.

— Przede wszystkim bez ofiar z naszej strony — z naciskiem powtórzył Svensson. — To najważniejsze. No to, poruczniku, do dzieła.

Bertil Svensson, spokojny o dalszy przebieg akcji, wrócił do pokoju, gdzie dwaj policjanci pod groźbą pistoletów nie pozwalali opuścić rąk dwóm niedawnym więźniom bandy. Profesorowi Jabłoniowskiemu mdlały już mięśnie przedramion.

— Nie mogę dłużej — jęknął.

— Ach wy, durnie — Svensson niesprawiedliwie potraktował swoich podwładnych, którzy całkowicie nie

orientowali się w sytuacji, bo nikt ich nie uświadomił, że akcja podjęta została wyłącznie dla ratowania tego siwego mężczyzny.

— Oczywiście może pan opuścić ręce. Bardzo pana przepraszam profesorze — tłumaczył się wyższy oficer policji politycznej. — Czy nic się panu nie stało?

— Rozwiążcie mi więzy na nogach.

— Co za ludzie! Człowiek jest związany i zamiast go ratować, jeszcze grożą pistoletami. Niechże się który ruszy!

Jeden z policjantów chwycił leżący na stole nóż i przeciął więzy na nogach Jabłoniowskiego. Profesor podniósł się, z trudem zrobił kilka kroków, podniósł z podłogi teczkę i szybko zapiął sobie łańcuszek na lewej ręce. Kiedy z powrotem opadł na swój fotel, zaczął rozmasowywać prawie zupełnie zdrętwiałe dolne kończyny.

— Pan się źle czuje? Może wezwać lekarza?

— Nie. Dziękuję. Marzę tylko o jednym, o jak najszybszym znalezieniu się w swoim pokoju.

— Ty — warknął drugi z policjantów — nie opuszczaj rąk.

Bertil Svensson przerwał rozmowę z profesorem. Diego de Periera, pobity i posiniaczony w walce z Grossmanem, ciągle trzymał ręce nad głową.

— Banda idiotów! — wrzasnął Svensson i dodał uprzejmym tonem zwracając się do rzekomego Brazylijczyka — i pana bardzo przepraszam za moich ludzi. Może panu potrzebna jest pomoc lekarska?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Michał Wyganowicz — ja również najchętniej powrócę do swojego pokoju w „Minerva-Palace-Hotelu”. Poza powierzchownymi zadrapaniami i siniakami, nie odniosłem większych obrażeń.

— Herr polisdirektör sam wydał rozkaz „ręce do góry” i nie odwołał go — policjanta mocno ubodła nagana. Ci panowie z policji politycznej mogą być bardzo ważni, ale, tak prawdę mówiąc, na zwykłej, codziennej pracy policji znają się tak, jak kura na pieprzu.

Bertil Svensson puścił tę uwagę mimo uszu. Nachylił się nad leżącym na podłodze Hansem. Uważnie mu się

przyglądał.

— Nie znam go — powiedział — ten nie mieszkał w „Minerva-Palace-Hotelu”. Nigdy go nie widziałem. Czy to Stark, właściciel tego mieszkania?

— Nie — wyjaśnił jeden z policjantów — pan Stark jest wprawdzie wysoki, ale o wiele szczuplejszy i ma jasne włosy. Widziałem go kilka razy, kiedy patrolowaliśmy tę dzielnicę. Jechał wtedy swoim popielatym oplem.

— Dobrze. Zbadamy później jak ten się nazywa. Dostał postrzał. Kula trafiła go w lewy bok. Prawdopodobnie ominęła zebra i przebiła komorę serca. Trup na miejscu. Czy to pan strzelał?

Zanim Michał Wyganowicz zdołał odpowiedzieć na pytanie, na górze rozległ się pojedynczy wystrzał.

— Nie — wtrącił Jabłoniowski. — Ten pan — wskazał na Wyganowicza — obalił go na ziemię. Wtedy ten drugi, Austriak, strzelił. Ale kula odbiła się o moją teczkę i poszła rykoszetem, trafiając tego, co leży na podłodze. Austriak mówił na niego „Hans”.

— To pięknie — Bertil Svensson nie przejął się tym, że jeden z członków bandy przypadkowo zastrzelił swojego współnika.

Do pokoju wbiegł porucznik Albien.

— Na górze był tylko jeden — zameldował — wezwałem go do poddania się, krzyknąłem, że dom jest otoczony i obrona nie ma najmniejszego sensu. Ten człowiek nie posłuchał wezwania. Wolał się zastrzelić, niż oddać w nasze ręce. Włożył pistolet w usta i pociągnął za cyngiel. Leży na piętze bez życia.

— Szkoda, że nie udało się wziąć go żywcem — powiedział Bertil Svensson, ale w tonie jego słów nie czuło się żalu.

— Samobójcą okazał się Karl Stark — uzupełnił porucznik. — Teraz moi ludzie przeszukują willę. Jeżeli znajdą coś podejrzanego, natychmiast dam znać.

— Dziękuję wam, poruczniku, i bardzo się cieszę, że obyło się bez ofiar.

Oficer, zadowolony z pochwały, wrócił do swoich ludzi.

Tymczasem Bertil Svensson ponownie pochylił się nad ciałem Hansa. Zaczął go dokładnie obszukiwać. Wyciągnął mu spod pachy pistolet i położył go na stole. Z jednej z kieszeni wyciągnął portfel, z innych różne drobiazgi. Wszystko kładł koło znalezionej broni. Wreszcie z tylnej kieszeni spodni wydobyl jeszcze jeden rewolwer.

— Uwaga! — krzyknął Wyganowicz padając na podłogę — Ten drugi ma broń.

Leżący w rogu pokoju, rzekomy Austriak, Martin Grossman, albo od [początku udawał nieżywego, względnie nieprzytomnego, albo od pewnego czasu odzyskał przytomność. Korzystając z tego, że nikt się nim nie zajmuje, spróbował ostatniej szansy. Powoli dopełznął do leżącego nie opodal pistoletu, który Wyganowicz wyrwał mu z ręki w czasie bójki. Martin pochwycił broń. Zapewne orientował się, że w nierównej walce nie ma żadnych szans ucieczki, ale postanowił przynajmniej drogo sprzedać życie i przed tym wysłać na tamten świat swoich wrogów. Przede wszystkim starego profesora i tego czarnego diabła, który tak szpetnie go oszukał. A w końcu wymuskanego gogusia z „Minerva-Palace-Hotelu”. Nie spodziewał się, że jest on szwedzkim szpiclem.

Rozległ się strzał. Ale to nie Austriak pociągnął za cyngiel. Martin Grossman szarpnął się gwałtownie, ogromnym wysiłkiem woli zdołał jeszcze nacisnąć na spust pistoletu, lecz jego strzał nie wyrządził już nikomu krzywdy. Kula utkwiała w murze pod oknem.

Rewolwer wysunął się z ręki umierającego, a całe jego ciało drgnęło po raz ostatni i zastygło bez ruchu. Trzeci z członków bandy podzielił los swoich towarzyszy.

Bertil Svensson był bowiem szybszy i to on uprzedził Grossmana.

— Ależ wy uważacie! — policjantom znowu dostało się od przedstawiciela policji politycznej. — Nawet nie zrewidowaliście tych ludzi i nie sprawdziliście, że tamten drugi żyje i tylko udaje zabitego. Zrewidować go.

Policjanci znaleźli przy zabitym Austriaku portfel z

pieniężmi i papierami Diego de Periera.

— Czy pan profesor mógłby nam opowiedzieć przebieg wypadków? Naturalnie krótko i nieoficjalnie, żebym się w tym wszystkim zorientował. Później, jeśli będzie to konieczne, sporządzimy oficjalny protokół.

— Proszę bardzo — zgodził się Jabłoniowski. — Kiedy wszedłem do swojego apartamentu w „Minerva-Palace-Hotelu” i zdążyłem zamknąć drzwi, z sąsiadującej z salonikiem sypialni wyskoczyło tych dwóch.

O jednym z nich wiedziałem, że jest Austriakiem, nazywa się Martin Grossman i mieszka w tym samym hotelu. Drugiego nigdy na oczy nie widziałem. Obydwaj mieli rewolwery w rękach. Kazali mi zejść na dół. Uprzedzili, że w razie najmniejszego alarmu, natychmiast mnie zastrzelą. Przerażony usłuchałem tego rozkazu. Pod groźbą rewolwerów wsiadłem do samochodu. Tutaj na różne sposoby usiłowano mnie zmusić, abym otworzył teczkę i wydał im dokumenty.

— Torturowali go — uzupełnił Diego de Periera.

Bertil Svensson rozejrzał się po pokoju. Dopiero teraz zauważył maszynkę elektryczną i stojący na niej garnek z ziemniakami.

— Tortura kartofla? — domyślił się. — A to lotry! Czy pan bardzo poparzony, profesorze? Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli sprowadzimy lekarza.

— Nie, nie! — gwałtownie zaprotestował uczony. — Nic mi nie jest. Tylko raz wsadzili mi kartofel pod pachę. Potem ten pan im przeszkodził. Jednego unieszkodliwił, a z drugim toczył walkę, kiedy przyszliście z ratunkiem.

— A pan? W jaki sposób znalazł się pan na Strandlinden?

— Po prostu przyjechałem taksówką — z niewinną miną odparł Michał Wyganowicz. Wolał jak najmniej mówić o sobie i o roli, jaką spełniał w Sztokholmie.

— Och, o tym doskonale wiemy. Taksówka nosiła numer cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt trzy. To był (pierwszy ślad, dzięki któremu dotarliśmy do tej willi. Pańskie nazwisko Diego de Periera?

— Tak jest. Na stole leży mój portfel ze wszystkimi dokumentami. Może pan sprawdzić.

— Dziękuję. To już zrobiło biuro meldunkowe dla cudzoziemców. Wiemy, że paszport jest oryginalny, a wszystkie wizy autentyczne. Sprawdziliśmy, że pańskie piękne szmaragdy rzeczywiście nie są imitacją i przedstawiają znaczną wartość. Otrzymaliśmy kabel z Brazylii, potwierdzający, że pan Diego de Periera udał się do Europy celem spieniężenia swojej kolekcji. Proszę, niech pan schowa swoją własność. — Bertil podsunął Wyganowiczowi portfel z dokumentami. — Chodzi mi tylko o to, z jakiego powodu znalazł się pan właśnie tutaj?

— To proste. W „Minerva-Palace-Hotelu”, jak w każdym hotelu, kursuje masę plotek. Bohaterem jednej z nich był polski uczoney. Jego zapinana na rękę teczka przejdzie chyba do legendy. Miały się w niej znajdować nadzwyczajne skarby. Kiedy więc dzisiaj po południu zobaczyłem, jak profesora Jabłoniowskiego pod konwojem wyprowadzają z hotelu, nie miałem wątpliwości, że jakaś banda postanowiła zawładnąć skarbem uczonego. Do tej pory nawet nie domyślałem się co to może być. Ale w tych sprawach my, jubilerzy, mamy wyćwiczone oko. Postanowiłem więc ratować tego człowieka. Wybiegłem z hotelu. Właśnie wsiadali do samochodu. Wskoczyłem do nadjeżdżającej taksówki i kazałem kierowcy jechać za tym popielatym oplem. Później próbowałem wejść do willi, żeby uwolnić profesora. Niestety, wpadłem w zasadzkę. Ogłuszonego i związanego przyniesiono mnie do tego pokoju, gdzie byłem świadkiem torturowania Jabłoniowskiego. Dzięki podstępowi udało mi się odwieść bandytów od dręczenia uczonego. Rozwiązali mi ręce, a wtedy rzuciłem się na nich. W czasie walki wyście weszli.

— Bardzo zręcznie spreparowana historyjka — uśmiechnął się Svensson. A zwracając się następnie do profesora, z języka angielskiego przeszedł na polski — czy to wasz człowiek? Przysłany z Warszawy dla ochrony dokumentów?

Na twarzy uczonego odbiło się nieklamane zdumienie. Jego zaskoczenie było całkowite zarówno dlatego, że ten wysoki w

hierarchii urzędnik szwedzkiej policji zadaje mu pytania w jego ojczystym języku, którego znajomość wśród Szwedów jest czymś wyjątkowym, jak dlatego, że posądza się go o powiązania z Diego de Periera. Profesora wprawdzie zastanawiało, skąd Brazylijczyk zna tajemnice teczki, ale doszedł do wniosku, iż nie pora dzielić się ze Svenssonem swoimi wątpliwościami. Nasunęły mu się one już w tym czasie, kiedy Diego de Periera tak zręcznie w swoim opowiadaniu, przeznaczonym dla przedstawiciela policji szwedzkiej pominął wszystkie szczegóły pertraktacji z Grossmanem. Profesor ograniczył się jednak do stwierdzenia:

— Nie. Nic o nim nie wiem. Pierwszy raz zobaczyłem go w hotelu. Wasz dziennikarz, Sven Breman, pokazał mi go kiedyś w restauracji. Stąd znam jego nazwisko i dlatego wiem, że ten pan jest jubilerem.

W czasie tej rozmowy Szwed nie spuszczał oczu z twarzy rzekomego Diego de Periera. Michał ani jednym drgnięciem powiek nie dał po sobie poznać, że coś zrozumiał z tej wymiany zdań w języku polskim.

— Czy pan jest z polskiego kontrwywiadu? — padło pytanie skierowane już bezpośrednio do Wyganowicza. — Może pan nie krępować się odpowiedzią, bo przecież nasze interesy są wspólne. Razem mamy chronić dokumenty i czuwać nad bezpieczeństwem profesora Jabłoniowskiego.

— Nie rozumiem — spokojnie odpowiedział jubiler

— w jakim języku pan mówi?

Bertil Svensson wzruszył ramionami i przeszedł na angielski:

— Czy pan specjalnie czuwał nad bezpieczeństwem profesora Jabłoniowskiego?

— Nie miałem do tego żadnych podstaw ani żadnych uprawnień. Po prostu zobaczyłem człowieka w niebezpieczeństwie i pośpieszyłem mu na ratunek.

— Dlaczego jednak nie zwrócił się pan do policji szwedzkiej?

— Nie miałem na to czasu. Przed hotelem nie ma

posterunku policyjnego, a tamci już odjeżdżali. Kierowcy taksówki tylko z największym trudem udało się nie zgubić śladów popielatego opla.

— A skąd pan wiedział, że w tej teczce są cenne dokumenty? — Bertil Svensson rozpoczynał formalnie przesłuchanie dziwnie zachowującego się dżentelmena o czarnych włosach.

— Powtarzam, że o tej teczce krążyły w hotelu całe legendy. Kiedyś, chyba pan Sven Breman, roześmiał się, że chciałby mieć tyle pieniędzy, ile jest warta ta teka.

— Ten Sven Breman stanowczo zbyt często wtyka nos w nie swoje sprawy — mruknął policjant. — Żeby mu ktoś go nie przyciął.

— Gdyby nie ten Sven Breman — rozległ się głos od progu — i gdyby nie ten jego długi nos, to wy byście do tej pory spokojnie siedzieli w „Minerva-Palace-Hotelu”. Teka już by pewnie była za granicą, a profesor Jabłoniowski podziwiałby sprawność szwedzkiej policji z bardzo wysoka, bo aż z tamtego świata.

Bertil Svensson odwrócił się. W drzwiach stał „król reporterów”. Nieco za nim piękna dziewczyna w mundurze pokojówki „Minerva-Palace-Hotelu”. Ogromne oczy dziewczyny wpatrzone były w posiniaczoną twarz Diego de Periera. Ten próbował do niej się uśmiechnąć opuchniętymi wargami.

— Dlaczego tu wszystkich wpuszczacie? — Bertil Svensson znowu rozgniewał się na swoich' podwładnych.

— Nie wszystkich, a jedynie mnie — odpowiedział Breman. — Jeszcze nie znalazł się taki, który by mnie zatrzymał.

— To ja będę pierwszym, który pana stąd wyprosi.

— Świetnie! — spokojnie odparował „król reporterów”. — Będę miał materiał na temat nieudolności naszej policji. Ani nie potrafiła upilnować jednego człowieka i jednego małego przedmiotu, ani dobrze nie traktuje przedstawicieli prasy. Nie zapominajcie, że zapobiegłem światowej kompromitacji naszych władz państwowych i nieobliczalnym wprost następstwom, jakie mogłaby wywołać kradzież teczki z

formułą katalizatora.

Bertil Svensson zgrzytnął zębami. Wiedział dobrze, że dziennikarz potrafiłby spełnić swoją groźbę. A ujawnienie niektórych faktów byłoby niewątpliwie nieprzyjemne, zwłaszcza że mogło zachwiać tak pięknie zapowiadającą się jego karierą.

Tymczasem dziennikarz nie zważając na zły humor przedstawiciela policji politycznej, spokojnie wszedł do pokoju i ciekawie po nim się rozglądał.

— Oo! — zauważył — kartofelki w mundurkach. Widzę, że Martin Grossman zrobił wszystko, żeby swoich miłych gości podjąć wprawdzie nie ze starogermańską, ale z hitlerowską gościnnością.

— Pan coś wie o tym człowieku?

— Ja wiem wszystko o wszystkich — fałszywa skromność nie była największą wadą reportera.

— Może pan podzieli się z nami swoimi wiadomościami — w głosie Bertila Svenssona zabrzmiała nuta ironii.

— Proszę bardzo — Breman zignorował ten ton. — Martin Grossman, nazwisko oczywiście fałszywe. Zasłużony oficer Abwehry. Najpierw członek Hitlerjugend, a później „SS”. Wierny współpracownik generała Gehena. Obecnie w stopniu majora. Czy jeszcze coś chciałby pan wiedzieć?

— Nie, nie — szybko przerwał Bertil Svensson. — Nie myślę słuchać pańskich wyssanych z palca bajeczek.

— Na górze leży jeszcze jeden trup z rozwaloną głową — kontynuował Sven Breman. — Typowe samobójstwo. Karl Stark. O nim także umiałbym, jak pan uprzejmie to nazwał, „wysać z palca” równie interesującą bajeczkę. A tutaj dwóch. Jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności. Odpada kłopot o żywych, uciążliwych' cudzoziemców. Żadnych komplikacji z wymianą not dyplomatycznych i z rozmowami z ambasadorami pewnych z nami zaprzyjaźnionych mocarstw. Pięknie układa się wszystko na tym najwspanialszym ze światów.

— Niestety — wtrącił jeden z policjantów nie pojmujących sensu tej dziwnej rozmowy — nie udało nam się ująć żywcem

żadnego z tych bandytów.

— Niestety! — powtórzył „król reporterów” tonem zjadliwej ironii.

Margareta podeszła do Michała Wyganowicza. Chusteczką otarła smużkę krwi z rozbitego łuku brwiowego.

— Nic ci nie zrobili? — pytała z niepokojem w głosie.

— Możesz donieść swoim szefom, że jestem zdrow i cały. Powiedz im, żeby ze mną nie próbowali takich sztuczek, jak ze Svenem Bremanem. Nie mam też zamiaru popełniać samobójstwa przez powieszenie, jak Ziegfried Lachman.

Czy można się dziwić, że Michał Wyganowicz stracił w końcu panowanie nad swoimi nerwami? Reporter chciał wtrącić się do rozmowy tych dwojga, lecz już nie zdążył, bo dziewczyna odwróciła się i bez słowa opuściła pokój. Obecni posłyszeli, że sportowy wóz z rykiem silnika gnał za chwilę w stronę śródmieścia Sztokholmu.

— Panie profesorze — odezwał się Bertil Svensson — jeśli pan pozwoli, odeślę go do „Minerva-Palace- -Hotelu” jednym z samochodów będących w naszej dyspozycji. Dla pewności podczas przejazdu przez miasto, drugi wóz policyjny będzie czuwał nad pańskim bezpieczeństwem. Nie wiemy czy banda nie miała jeszcze innych członków, i czy nie przygotowano następnej zasadzki.

— Tak, tak, dobrze pilnujcie profesora! Szkoda, żeście przedtem pozwolili, aby sprzed nosa uprowadzono wam człowieka wraz z dokumentami. — Sven Breman skorzystał z nowej sposobności, aby rzucić kamyczek do ogródka policji.

— Jak długo panowie będą jeszcze w Sztokholmie?

— dopytywał Svensson.

— Za trzy dni wyjeżdżamy.

— Samolotem?

— Nie. Pojedziemy do Ystad, a stamtąd ferrą.⁸

— Doskonale — ucieszył się policjant — w ciągu tych kilku dni zapewnimy panom szczególną ochronę w Sztokholmie, a podróż do Ystad odbędziecie panowie samochodem, pod

⁸ Ferra — po szwedzku „prom”. W tym przypadku prom „Gryf”, kursujący na trasie Świnoujście—Ystad.

naszą opieką. Na ferze niech się już polskie władze martwią o was.

Bertil Svensson wydał odpowiednie dyspozycje i profesor Jabłoniowski, w towarzystwie kilku policjantów, opuścił willę przy Strandlinden.

— To może i ja już bym się pożegnał z panami? — zaproponował Michał Wyganowicz.

— Niestety, nie mogę się na to zgodzić.

— Dlaczego?

— Musimy załatwić wszystkie formalności śledztwa. Sporządzić protokół, przesłuchać świadków, a między innymi pana Svena Bremana. Na pewno wkrótce zjawią się tu dziennikarze z prasy szwedzkiej. Oni również są ciekawi zobaczyć pana i porozmawiać z nim o jego przygodach. Porwanie bogatego jubitera z luksusowego hotelu w centrum Sztokholmu, i to w biały dzień, czy może być lepsza gratka dla prasy? Zostanie pan prawdziwym bohaterem. Pańskie podobizny, idę o zakład, ozdobią jutro wszystkie gazety w całej Szwecji.

— Chętnie ustąpię tego zaszczytu profesorowi.

— Jakiemu profesorowi? — głos Bertila Svenssona zabrzmiał zdumieniem. — O kim pan mówi?

— O profesorze Jabłoniowskim.

— Jabłoniowski? Nie znam takiego. Czy któryś z panów — Bertil Svensson zwrócił się do obecnych w pokoju policjantów — widział tutaj jakiegoś pana Jabłoniowskiego?

Żaden z policjantów nie odpowiedział.

Michał Wyganowicz musiał mieć głupią minę, bo Sven Breman zakrzuszył się ze śmiechu:

— Oto są metody postępowania naszych miłych panów. Tak, żeby było „i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek”. Nie było żadnej afery z tajnymi dokumentami. W naszym szczęśliwym państwie nie istnieją problemy szpiegostwa. Jeszcze żaden agent żadnego wywiadu nie przekroczył granic Królestwa Trzech Koron. Są tylko groźni bandyci, którzy kochają szmaragdy. Ale dzielna policja wyratowała biednego jubitera z opresji, chociaż, niestety, nie udało jej się ująć

żywcem ani jednego z opryszków. Zaś umarli mają ten miły zwyczaj, że milczą. Jak by to było pięknie, żeby ci podli ludzie zdołali przedtem sprzątnąć i niejakiego Diego de Periera i reportera „Kvällsposten” Svena Bremana. Prawda, drogi przyjacielu?

Bertil Svensson, słysząc te kpiny, omal nie rzucił się na dziennikarza.

— Zgoda! — szybko oświadczył Michał Wyganowicz — rzeczywiście, napadli na mnie bandyci i usiłowali mnie zmusić do wydania im cennej kolekcji szmaragdów. Podpiszę protokół, jaki pan tylko zechce. Byle szybko, bo naprawdę jestem zmęczony.

— Mądrzy ludzie zawsze się dogadają — Svensson okazał wyraźne zadowolenie, że Brazylijczyk tak szybko zrozumiał, o co mu chodziło. Ponieważ jednak, pomimo najautentyczniejszych jego dokumentów, nadal nie wierzył, że ten człowiek jest jubilerem, dodał niesłychanie uprzejmym tonem — mamy również gorącą prośbę do pana...

— Słucham?

— Wolelibyśmy, aby pan nie przedłużał swojej bytności w Szwecji. Czy cztery, pięć dni wystarczy panu na załatwienie interesów w Sztokholmie? W razie czego, gotowi jesteśmy nawet zwrócić mu koszty pobytu w naszym kraju.

— Tak to bywa — z ironią uzupełnił „król reporterów”. — Teraz pan może ocenić naszą gościnność. Ratuje pan nas od niebotycznej wprost kompromitacji, a my grzecznie wyrzucamy pana za drzwi.

Wyganowicz puścił mimo uszu zjadliwą uwagę Bremana.

— Sądzę, że w proponowanym przez pana terminie będę mógł opuścić Sztokholm. A co do zwrotu kosztów, mam nadzieję, że w końcu sfinalizuję pewne transakcje. Nie skorzystam więc z waszej uprzejmości.

— Niech pan nie będzie taki frajer, zapłacą tyle, ile pan zażąda — doradzał Sven Breman. — Nie ma co żałować socjalistycznego rządu Jego Królewskiej Mości. Niech płaci!

— I tak miałem zamiar wyjechać w tych dniach. Najlepszy dowód, że zamówiłem pokój w hotelu tylko na dwa tygodnie,

a siedzę trochę dłużej.

— Ma pan rację, że nic pan od nich nie chce — Breman zmienił front. — Niech pan jedzie stąd do Polski. Przynajmniej poczęstują pana dobrą, polską wódką.

— Jadę do Wiednia — wyjaśnił rzekomy jubiler. — Ale może rzeczywiście pan ma rację? Z państw komunistycznych byłem jedynie Moskwie i to zaledwie kilka dni. Przy okazji dobrze byłoby poznać Polskę, zwłaszcza że najkrótsza droga do Austrii prowadzi przez jej terytorium.

Bertil Svensson nie wtrącał się do tej rozmowy. Jego misja nie była wdzięczna. Musiał wypraszać ze swojego kraju cudzoziemca, który tak bezinteresownie szedł mu na rękę. Tego ludzie nie lubią. Wolą zapłacić, tym bardziej kiedy mogą to zrobić z cudzej kieszeni.

Podczas spisywania protokołu, zawierającego relację o przebiegu wypadków, Sven Breman podszedł do Svenssona i podając mu niewielkie zdjęcie fotograficzne powiedział:

— Niech pan i to załączy do dokumentów.

Bertil spojrział na fotografię. Przedstawiała ona jakiś balkon, z którego zawisała w dół mocno napięta lina. Człowiek z nożem w ręku właśnie ją przecinał. Mężczyznę można było, już na pierwszy rzut oka, zidentyfikować z Martinem Grossmanem.

— Skąd pan ma to zdjęcie? — Bertil Svensson aż podskoczył. — Kto to zrobił? To fotomontaż!

— Fotografia to takie moje niewinne hobby.

— Pan wyda mi kliszę tego zdjęcia.

— Z prawdziwą przyjemnością. Natychmiast po opublikowaniu jej w „Kvällsposten”.

— Porozmawiamy jeszcze o tym — w głosie oficera policji politycznej brzmiała nie maskowana groźba.

— Wszędzie i zawsze, kiedy tylko pan zechce. Napoje na pański koszt.

Jeszcze trzy godziny Diego do Periera spędził w willi na Strandlinden. Pisanie protokołu, przesłuchiwanie świadków, wyłącznie policjantów, którzy uczestniczyli w akcji, i inne czynności śledztwa ciągnęły się długo. Na dobytek wpadło ze

trzydziestu dziennikarzy. Strzelały flesze. Pracowały długopisy reporterów. Każdy chciał dowiedzieć się czegoś, czego konkurencja nie zauważyła. Zmęczony przeżyтыми wrażeniami, kapitan odpowiadał jedynie monosylabami. Za to Bertil Svensson promieniał. Plastycznie odmalował akcję policji przy uwalnianiu uwięzionego jubilera, nie zapominając podkreślić bohaterstwa tego człowieka, który unieszkodliwił jednego ze znanych międzynarodowych bandytów, a zwyciężał drugiego, kiedy dzielni policjanci wkroczyli z odsieczą.

Słowem, prasa miała prawdziwą wyzerkę.

Jedynie Sven Berman słuchał tego wszystkiego z pogardliwym uśmieszkiem i nie zadał ani jednego pytania.

Kiedy wreszcie Michał Wyganowicz i „król reporterów” wracali taksówką do „Minerva-Palace-Hotelu”, Berman smętnie zauważył:

— Na co najmniej kilka dni popsulem humor temu gogusiowi z policji politycznej. Będzie teraz drżał ze strachu, co napiszę. Mogę go zniszczyć. A kto wie, czy nawet nie zachwiać ministrem spraw wewnętrznych. Ale jako dobry obywatel, nie napiszę ani słowa. To by kompromitowało nie tylko- rząd, na czym mnie, nie członkowi partii socjalistycznej wcale nie zależy, ale stawiałoby w złym świetle moją ojczyznę.

— Ma pan rację, że przemilczy pan całą aferę lub poda oficjalną wersję wypadków. Nie ma potrzeby rozpisywania się o tym. A co do tej kompromitacji pańskiego kraju, uważam, że pan przesadza. Macie doskonałą, sprawnie działającą policję. Najlepszy dowód jak nas szybko odszukała. Atak na willę przeprowadzono po mistrzowsku. A w ogóle jestem zakochany w Szwecji. Gdybym, nie urodził się... — tu Diego de Periera trochę się zająknął — Brazylijczykiem, to chciałbym być Szwedem.

Sven Berman rozpogodził się.

— Ma pan niewątpliwie sporo racji. Co prawda nie wiem jak by wyglądała sprawność naszej policji, gdyby nie pewna fertyczna pokojóweczka, która wybiegła za panem i

zapamiętała numer taksówki.

— Margo?

— Śliczna Margareta! Przeżona śmiertelnie, przybiegła do mnie wołając, że grozi panu ogromne niebezpieczeństwo. Uruchomiłem więc garnizon Sztokholmskiej policji dla ratowania jej ukochanego. A pan tak brzydko ją potraktował.

— Jak to? — zachnął się Wyganowicz — Przecież ona pracuje dla CIA.

— Głupstwa pan gada.

— Sam pan zwrócił mi uwagę na naszyjnik z Nefretete, który ta dziewczyna nosiła na szyi. Pan wyraźnie ostrzegwał mnie przed nią.

— Drogi panie, zmieniłem zdanie, bo tylko głupcy go nie zmieniają. Takich naszyjników w samym Sztokholmie sprzedano w tym roku kilkadziesiąt tysięcy sztuk. Cóż dziwnego, że pewna miła pokojóweczka zafundowała sobie podobiznę Nefretete?

Po powrocie do hotelu Michał Wyganowicz pobiegł do służbówki na piątym piętrze. Siedziała tam jakaś korpulentna, starsza niewiasta. Kapitan zapytał o Margarete.

— Fröken⁹ Margareta Estberg już u nas nie pracuje.

— Od kiedy?!

— Została zwolniona w dniu dzisiejszym. Za niesubordynację i samowolne opuszczenie pracy. Przed godziną zabrała swoje rzeczy.

— Gdzie mieszka? Jak ją znaleźć?

W odpowiedzi starsza pokojówka wzruszyła ramionami.

9 fröken — po szwedzku „panna”.

ROZDZIAŁ XVII

Jeszcze Margareta

Ostatnie trzy dni pobytu w Sztokholmie polskich uczonych przeszły bez żadnych przygód. W holu „Minerva-Palace-Hotelu” zawsze siedziało kilku panów, w których już na kilometr poznawało się przedstawiciele tajnej policji. Tacy sami panowie kręcili się na czwartym piętrze. Polaków odwożono i przywożono z gmachu Svenska Atom również w towarzystwie agentów. Skoro się Bertil Svensson raz sparzył, wolał teraz dmuchać na zimne.

Profesor Jabłoniowski, pomimo przygody na Strandlinden, trzymał się dobrze i nie zmienił trybu życia. Jak zwykle, po obiedzie starszy pan pisał parę godzin, później udawał się na spacer i kolację, a następnie aż do zaśnięcia oddawał się lekturze.

Sven Breman zniknął z hotelu. Wszystkie gazety rozpisywały się na swoich pierwszych stronach przede wszystkim o zuchwałej próbie wprowadzenia brazylijskiego jubilera Diego de Periera. Sam bohater tej przygody finalizował swoje interesy, związane ze sprzedażą szmaragdów, i również szykował się do drogi. Wszelkie jego próby odnalezienia przystojnej pokojówki spełzyły na niczym. Dzwonił nawet do Göteborgu, ale w hotelu pana Esberga odpowiedziano mu krótko, że Margarety nie ma, i położono słuchawkę.

Kapitan złożył szczegółowy raport swoim władzom. Długo też konferował na ten temat ze swoim łącznikiem. Ten wcale nie zdziwił się postępowaniem Bertila Svenssona.

— Szwedzka policja polityczna — wyjaśniał — zachowuje się znacznie przyzwoiciej niż jej „bliźniaczki” w innych państwach zachodniej Europy. Nigdy nie posługuje się, na przykład, metodami prowokacji lub szantażu. Do jej głównych zadań należy odpowiednia ochrona najwyższych

władz państwowych i dyskretne obserwowanie cudzoziemców. A do tego kraju, słynącego z najwyższego bodaj poziomu życia nie tylko na naszym kontynencie, ale na całym świecie, przyjeżdżają bardzo różni ludzie. Wśród nich nie brakuje pospolitych przestępców, zwykłych hochsztaplerów, jak i agentów różnych wywiadów, którzy korzystając z tradycyjnej już neutralności Szwecji, usiłują łowić ryby w mętnej wodzie.

— To zupełnie zrozumiałe — zauważył kapitan.

— A Szwecja jest państwem liczącym zaledwie ponad osiem milionów ludności. Jej dobrobyt zależy przede wszystkim od przemysłu i handlu zagranicznego. Nie należy zapominać, że to państwo importuje prawie wszystkie surowce, w tym tak podstawowe, jak węgiel i ropa. Dlatego też Szwedzi chcą żyć w zgodzie z całym światem. Starają się więc unikać najmniejszych nawet zatargów międzynarodowych. Niech się pan zatem nie dziwi, że poproszono go, zresztą bardzo grzecznie i elegancko, o opuszczenie granic Królestwa Trzech Koron. Wprawdzie pana nie rozszyfrowali, ale pan napewno naraził się paru możnym tego świata. Tym samym stał się pan tutaj niepożądanym cudzoziemcem. Nie można też mieć za złe Bertilowi Svenssonowi, że nie ukrywał swojego zadowolenia, kiedy w willi na Strandlinden pozostały tylko trupy napastników. Gdyby ci ludzie ujęci zostali żywcem, dopiero zaczęłyby się prawdziwe kłopoty dla policji politycznej. Poszłyby w ruch noty dyplomatyczne i demarche ambasadorów. Wyłoniłby się też problem, co zrobić z agentami obcego wywiadu. Puścić wolno? To znaczy narazić się stronie poszkodowanej, czyli Polsce. Postawić ich przed sądem? To znowu automatycznie równałoby się ujawnieniu wszystkich szczegółów afery.

— To racja.

— A tak, Bertil Svensson ma sprawę z głowy. Nikt nigdy nie zaprotestuje, że zastrzeleni na Strandlinden nie należeli do szajki międzynarodowych bandytów. Ktoś tam w Pullach, w Langley czy gdzie indziej pozgrzyta zębami i poklnie w czterech ścianach swojego gabinetu, ale pary z ust nie puści.

Interesy Szwecji nie poniosą najmniejszego uszczerbku.

— Trudno nie zgodzić się z panem. Pod tym względem ludzie na takich stanowiskach, jak Bertil Svensson, nie mają łatwego życia. Muszą ciągle lawirować.

— Nawet „król reporterów”, Sven Breman, dobrze to zrozumiał. Ten nie liczący się z niczym i tak wpływowy dziennikarz z prasy, która bynajmniej nie popiera obecnego rządu, nie napisał ani słowa na ten temat, lecz przyjął wersję oficjalną. A przecież wie o całej aferze znacznie więcej niż my wszyscy razem.

— Tak. To szatan, a nie człowiek — zgodził się kapitan. — Cieszę się, że nie był naszym przeciwnikiem.

— Ma pan słuszność. Z nim byłoby trudniej niż nawet z Martinem Grossmanem i spółką.

— Pozostaje kwestia pieniędzy. Co mam zrobić z tymi dziesięcioma tysiącami dolarów, które schowałem do kieszeni w willi na Strandlinden?

Łącznik roześmiał się.

— Na pewno nie zwrócimy ich do kasy w Pullach. Byłby to zbytek uprzejmości. Szwedzi tych pieniędzy nie przyjmą. Dla nich to zamknięty rozdział, ani myślą powracać do tej sprawy, bo to oznacza nowe kłopoty. Czym zresztą wytłumaczyłby pan im „hojność” Grossmana? Niech pan, kapitanie, jedzie z dolarami do Warszawy. Tam zadecydują co zrobić z tym fantem. Ale czy to nie komiczne, że Bundesnachrichtendienst sfinansował nam całą naszą akcję? To nie często się zdarza.

Ystad jest małym, ale chyba najładniejszym portem w całej Skanii — jednej z prowincji południowej Szwecji. Ludzie tu weseli i gościnni, a miasto tak czyste, że można by w białych spodniach usiąść na środku jezdni bez obawy ich zabrudzenia.

Dzisiejszy Ystad, to miasto szwedzko-polskie. Słowa polskie słychać na ulicach. Kelnerzy w każdej restauracji i portierzy w hotelu władają naszym językiem. W każdym większym sklepie na pewno znajdzie się sprzedawca, który, choć kalecząc polski język, stara się porozumieć w mowie

ojczystej klientów zza Bałtyku. Jego nadburmistrz, doskonale włada polskim w mowie i piśmie, ma żonę Polkę. Flagi biało-czerwone zawsze powiewają nad małym budynkiem dworca morskiego.

Te więzy Ystad z Polską zacieśniły się od kilku lat, kiedy piękny biały prom „Gryf” codziennie, przy dźwiękach Mazurka Dąbrowskiego, wpływa do portu, aby po paru godzinach powrócić do Świnoujścia z turystami polskimi i szwedzkimi na pokładzie. Przeprawa „Gryfem” przez Bałtyk trwa zaledwie sześć godzin.

Tego wieczoru już od godziny ósmej na „Gryfa” wjeżdżały samochody. Najpierw ogromne, wielotonowe ciężarówki, później samochody osobowe, ze znakiem „S”. Około dziesiątej zjawili się na promie pierwsi pasażerowie, przeważnie Polacy, którzy wydali pieniądze do ostatniej korony i teraz woleli spędzić te dwie godziny na statku niż bez grosza w kieszeni spacerować po mieście.

Około godziny dziesiątej pod „Gryfa” podjechały dwa samochody. Z jednego wysiadło dwóch polskich uczonych w towarzystwie delegata Svenska Atom, który swoich gości odprowadzał aż do Ystad. Pasażerami drugiego wozu była ochrona policyjna. Jeszcze chwila rozmowy z dyrektorem, potem pożegnanie się z nim i z funkcjonariuszami policji, szybkie załatwienie formalności granicznych — i po trapie na statek. Zgodnie z przepisami międzynarodowego prawa morskiego, uczeni znaleźli się na pływającym terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Bertil Svensson, który do końca towarzyszył parze uczonych i odprowadził ich po schodki, odetchnął z ulgą, kiedy profesor Roman Jabłoniowski wraz ze swoją nieodłączną teczką zniknął w głębi statku. Zresztą i starszy pan nie krył swojej radości, że jego odpowiedzialna i, jak się okazało, niebezpieczna misja dobiega końca. Za kilka godzin cenne dokumenty znajdą się wreszcie pod właściwą opieką.

Asystent profesora był wyraźnie zmartwiony i — co tu dużo mówić — mocno skacowany. W ciągu ostatnich trzech nocy niewiele godzin spędził w swoim łóżku. Zaś pożegnalna

zabawa w nocnym barze „Minerva-Palace-Hotelu” pobiła wszystkie rekordy i na trwałe zapisana została w kronikach luksusowego lokalu. Że nie trafiła również do kronik policyjnych, to tylko zasługa Bertila Svenssona, który również w niej uczestniczył. Dodajmy nawiasem, że wysoki funkcjonariusz szwedzkiej policji politycznej był w tym gronie jedynym Szwedem, który nie tylko bezbłędnie odśpiewał wszystkie strofki „Góralu, czy ci nie żal”, ale i ku niesłychanemu entuzjazmowi swoich rodaków, Holendrów, Anglików i Amerykanów płci obojga, brawurowo odtańczył „zbójnickiego” na jednym ze stolików. Co to znaczy mieć żonę Polkę!

Kiedy orkiestra w końcu przestała grać, bo pianista nie trafiał już w klawisze, saksofonista zapomniał w który koniec instrumentu należy dmuchać, a barmanowi pomdlały ręce od napełniania kieliszków, jedynie mała grupka powróciła do swoich apartamentów. Ogromna reszta spędziła pozostałe godziny w barze. Nieliczni z głową na stole; inni smacznie pochrapywali na puszystych dywanach, pokrywających podłogę nocnego lokalu.

Jednym z uczestników zabawy był kapitan Michał Wyganowicz. Teraz, kiedy w promieniu trzech metrów od profesora Jabłoniowskiego zawsze znajdowało się co najmniej dwóch szwedzkich policjantów, oficer kontrwywiadu uważał za stosowne otoczyć swoją opieką młodszego z uczonych, i to nie w obawie, że asystent przez wrodzoną lekkomyślność może coś wypaplać. W „Minerva-Palace-Hotelu” nawet ściany miały uszy! Wyganowicz był przekonany, że stary profesor dawno ocenił wartość swojego pomocnika i nie zdradził mu żadnej ważnej tajemnicy. Oficer obawiał się jednak zemsty ludzi z Pullach. Profesor Jabłoniowski i jego teka znaleźli się poza zasięgiem długich rąk tych panów, ale ich wściekłość mogła się wyładować na drugim z uczonych. Nie cieszył się on wprawdzie sympatią i uznaniem kapitana, który nadal nie mógł pojąć, jak można było takiego lekkoducha uczynić członkiem tak niesłychanie ważnej misji, niemniej oficer kontrwywiadu uważał za swój

obowiązek również czuwać nad całością skóry młodego hulaki.

Wyganowicza zastanawiał fakt, że ani profesor Jabłoniowski, ani Svenska Atom nie próbowali ograniczyć choć trochę szerokiego gestu „złotego młodzieńca”, płacącego astronomiczne rachunki nie ze swojej kieszeni, lecz z konta gospodarzy. Może Szwedom nie wypadało cofać raz udzielonego przywileju? Ostatecznie dla tej instytucji, obracającej setkami milionów koron, taki wydatek nie odgrywał zasadniczej roli. Natomiast profesor był zbyt pobłażliwy dla swojego niesforemego towarzysza. U Michała wzbudzało niesmak szastanie cudzymi pieniędzmi.

On także szczerze się cieszył, kiedy rankiem tego dnia obaj uczeni zajęli miejsca w policyjnych samochodach, by opuścić Sztokholm. Jednakże kapitan nie odczuwał pełnego zadowolenia ze swojego pobytu w Szwecji. Oficer wyrzucał sobie, że nie dopilnował Jabłoniowskiego i pozwolił na jego uprowadzenie z hotelu, a później dał się głupio nabrać i włął w zastawioną nań pułapkę. Trzeba było działać nie tak pochopnie, z większą rozwagą. Wprawdzie wszystko skończyło się dobrze, ale kardynalnym błędem, Wyganowicz sam to przyznawał, było nie rozszyfrowanie roli Bertila Svenssona; na jego pomoc i jego ludzi mógł przecież zawsze liczyć. Ogromną lekkomyślnością było działanie w pojedynkę na ulicy Strandlinden. Dobrze, że skończyło się to happy-endem.

Poza tym pozostawała sprawa Margo. Michał uważał, że postąpił nie po rycersku wobec dziewczyny. Nie trzeba się było w ogóle angażować w tę przygodę. A jeśli tak się już stało, należało zachować się zupełnie inaczej. Była niejedna okazja, aby sobie wszystko szczerze wyjaśnić. Nonsensem było boczenie się na dziewczynę i podejrzewanie jej o współpracę z CIA, kiedy Margareta, zaniepokojona jego losem, zjawiała się na Strandlinden. Nie, Michał nie mógł sobie tego darować, zamiast miłych wspomnień po całej przygodzie pozostał niesmak i... żal. Żal do siebie samego, że tak skończyło się coś, co nigdy się nie powtórzy, co minęło

bezpowrotnie.

Kiedy uczeni opuścili w samochodach Sztokholm, Wyganowicz wsiadł w samolot i po godzinie wylądował w Malmö. Większość dnia spędził w tym bodaj najmiłszym ze szwedzkich miast. Pojechał nawet na Stockholmsvägen do „SDS-KP tidninghusett av Europas modernaste”¹⁰, aby pożegnać się z „królem reporterów”, lecz w ogromnym budynku wielkiego koncernu prasowego na próżno poszukiwano Svena Bremana. Swoim zwyczajem zniknął bez słowa i nikt nie mógł powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa. Kapitanowi nie pozostało nic lepszego, jak napisać bilecik ze słowami pożegnania i udać się do Ystad, aby tam poczekać na przyjazd uczonych i na „Gryfa”.

Dzięki swojemu „zawodowemu” oku, Wyganowicz bez trudu spostrzegł, że maleńki budynek dworca morskiego, okoliczne ulice oraz wybrzeże roją się od agentów szwedzkiej policji. Każdy podejżdżający do „Gryfa” samochód był starannie sprawdzany, a dokumenty pasażerów dokładnie kontrolowane. W tej sytuacji kręcenie się po dworcu nie miało najmniejszego sensu. Kapitan więc z daleka obserwował przyjazd uczonych i ich wejście na statek. Potem wstąpił jeszcze do kawiarni na „małą czarną”, zwyczajem szwedzkim podawaną tu ze śmietanką, i dopiero na pół godziny przed podniesieniem trapu skierował się w stronę rozjarzonego wszystkimi światłami „Gryfa”. Oficerowi, podobnie jak Bertilowi Svenssonowi, również kamień spadł z serca.

Kiedy Michał Wyganowicz podchodził do budynku dworca morskiego, z cienia wyłoniła się jakaś postać. Oficer poznał ją natychmiast.

— Margo! — zawołał z radością.

— Nienawidzę cię! Jesteś podły. Jak mogłeś nawet przez moment pomyśleć, że ja zdradzam swoją ojczyznę. Że ja... ja tylko dlatego wtedy przyszedłem do ciebie... Sven Broman wszystko mi wytłumaczył. Masz...

¹⁰ SDS-KP tidninghus... — po szwedzku, gmach, Sydsvenska Dagbladet i „Kvällsposten” — najbardziej nowoczesny w Europie.

Dziewczyna sięgnęła do torebki i cisnęła czymś w Wyganowicza. Przedmiot ten miał trafić go w twarz. Ale, jak to bywa kiedy kobiety biorą się do rzucania, poszło niecelnie, przynajmniej o metr w lewo. Michał zdążył zauważyć w blasku latarni, że mignęło coś żółtego, a potem usłyszał, jak upadło z lekkim brzękiem.

Margareta zawróciła, przebiegła przez jezdnię i skręciła w boczną uliczkę. Oficer nie wiedział, czy ją gonić, czy też szukać przedmiotu, którym zamierzała go uderzyć. Ale kiedy zdawało się, że postać dziewczyny zniknie mu z pola widzenia, zza narożnego budynku wyłonił się Sven Breman. „Król reporterów” widocznie obserwował tę scenę, bo chwycił Margaretę za rękę i mimo jej oporu przyprowadził do kapitana.

— Nie chcę, nie pójdę — powtarzała Margareta, usiłując wyrwać się ze stalowego chwytu dziennikarza.

— Trzymaj ją, niedołągo — Sven Breman popchnął w stronę Michała dziewczynę, która już zrezygnowała z daremnego oporu — bo jak ci jeszcze raz ucieknie, to jej nigdy nie dogonisz.

Oficer nie kazał sobie tego powtarzać. Mocno objął Margaretę.

— Nie, nie! Nigdy ci nie przebaczę — powtarzała, aż zamknął jej usta pocałunkiem.

I trwaliby chyba długo w tym uścisku, gdyby głos dziennikarza nie przywrócił ich rzeczywistości:

— Macie tę swoją Nefretete. To nie honor dla królowej Egiptu leżeć na bruku Ystad — „król reporterów” podał Michałowi złotą blaszkę.

Trzeba było na coś się zdecydować. Nie można bez końca całować się przed budynkiem dworca morskiego w Ystad, tym bardziej że do odpłynięcia „Gryfa” pozostawały już minuty.

— Chodź! — Wyganowicz nie puszczając ręki dziewczyny skierował się do wejścia na dworzec.

— Dokąd?

— Na „Gryfa”, do Polski.

— Zwariowałaś!
— Chodź. Już cię nie puszczę. Sven Breman miał rację.
— Zupełny wariat — szeptała dziewczyna, szła jednak bez protestu.

Przy okienku, gdzie szwedzcy urzędnicy dokonują formalności paszportowych, stał Bertil Svensson. Tym razem przyjaźnie rozmawiał z dziennikarzem. Na widok wchodzącej pary uśmiechnął się życzliwie:

— Przecież ja nie mam przy sobie żadnych dokumentów. Jesteś szalony — mówiła Margareta, kiedy Wyganowicz, nie puszczając jej ręki, podał urzędnikowi swój paszport,

Bertil Svensson coś cicho szepnął urzędnikowi, a ten z trzaskiem przybił pieczęć i zwracając Wyganowiczowi dokument powiedział:

— Przechodźcie państwo prędeej. Ferra już rusza.

— Diego, ja nie mogę z tobą jechać — tłumaczyła Michałowi dziewczyna, dając się jednak prowadzić w stronę trapu. — Nie mam żadnych rzeczy, nawet szczoteczki do zębów... Co powiedzą rodzice? Przecież hotel...

— Masz młodszą siostrę. A do rodziców napiszesz. Chodź!

Zaczęli wstępować na trap. Jakiś marynarz dość ostro ich poganiał.

— Szybciej. Tylko na was czekamy.

— Słuchaj — kapitan przypomniał sobie najważniejsze — muszę ci powiedzieć, że ja nie jestem brazylijskim jubilerem. Jestem Polakiem, nazywam się Michał Wyganowicz.

Było to chyba najbardziej oryginalne, oficjalne przedstawienie się dziewczynie.

— Wiem Diego — uśmiechnęła się Margo — Sven Breman mi powiedział. Jesteś oficerem tajnej służby. Wiem wszystko.

Weszli na statek. Syrena warknęła krótko. Woda pod statkiem zakotłowała się. „Gryf” prowadzony pewną ręką, zgrabnie odsunął się od nadbrzeża, zrobił skręt w basenie portowym i wziął kurs w stronę niewidocznych stąd brzegów Polski.

Epilog pełen niespodzianek

„Gryf” minął już Rugię i teraz płynął wzdłuż brzegów wyspy Uznam. Jeszcze godzina i dobieje do miejsca przeznaczenia, parzy nadbrzeżu w Świnoujściu. W kabinach sypialnych zrobił się ruch. Ci pasażerowie, a byli to przeważnie wracający do kraju Polacy, którym nie starczyło pieniędzy nie tylko na kabinę, ale i zabrakło im dwudziestu koron za wynajęcie „lotniczego” fotela w salonie, z przyjemnością prostowali się po nocy spędzonej na drzemce na drewnianej ławce. Szwedzi, rozpoczynający podróż od ustawienia się w długim ogonku do okienka kiosku z polską wódką, powoli trzeźwieli. Załoga sprzątała pomieszczenia. „Gryf” musiał w pełnej gali i lśniący czystością dobić do portu.

Ranek był dość chłodny, toteż podróżni nie kwapili się z wychodzeniem na pokład. Jedyne na przednim pomoście, koło sterówki, stała jakaś para. On obejmował ją ramieniem, ona tuliła się do niego i jak każda zakochana dziewczyna zadawała mu całą masę niepotrzebnych pytań, na które mężczyzna ma jedyną odpowiedź — może potaknąć.

— Czy zawsze będziesz mnie kochał?

— Jak mnie przyjmie twoja rodzina?

— Czy twoi przełożeni nie będą się gniewali, że mnie przywiozłeś do Polski?

— Czy naprawdę podobałam ci się już wtedy, kiedy weszłam do twojego pokoju?

— Czy będziesz dobry dla mnie?

— Czy...?

Kapitan Michał Wyganowicz obawiał się trochę spotkania z pułkownikiem Mogajskim. Wprawdzie wszystko zakończyło się pomyślnie i profesor Jabłoniowski oraz jego teka dotarli szczęśliwie na pokład „Gryfa”, a więc byli cali i bezpieczni pod polską banderą, ale...

Ale kapitan sam przed sobą przyznawał, że nieco pokpił sprawę. Co prawda jego przełożeni także popełnili błąd,

polecając mu nienawiązywanie żadnego kontaktu z uczonym, chociaż trzeba było liczyć się z możliwością próby uprowadzenia profesora, a nie jedynie zamachu na jego dokumenty. Gdyby nie ten brak łączności i umówionych sygnałów alarmowych, nie doszłoby do zdarzeń na Strandlinden.

A Margo?

Za nią mogą Michałowi dobrze natrzeć uszu, lub — kto wie — wyciągnąć poważne konsekwencje służbowe, aż do zmiany pracy włącznie. Przecież oficerowi kontrwywiadu, będącemu za granicą w misji specjalnej, nie wolno bawić się w romanse. Tym bardziej gnębiły Michała wyrzuty sumienia, że w swoich raportach ani słówkiem nie wspomniał o dziewczynie. Nawet wówczas, kiedy żywił poważne obawy, że jest agentką obcego wywiadu. Natychmiast po opuszczeniu „Gryfa” zaczną się również inne, poważne kłopoty. Margareta, jako jedyny dokument, miała w torebce... szwedzkie prawo jazdy.

Ale niech się dzieje co chce! On, Michał Wyganowicz, spełnił swoje zadanie. Kiedy trzeba było, bez wahania ryzykował życiem. Grunt, że wszystko skończyło się dobrze i że z nim jest Margo. Na zmartwienia przyjdzie czas później.

Statek zatoczył łuk i zgrabnie przybił do nadbrzeża. Kapitan Wyganowicz i jego dziewczyna byli pierwszymi pasażerami, którzy zeszli z trapu. Michał miał niepewną minę, Szwedka nie kryła swojego zdenerwowania. Jej noga pierwszy raz dotknęła tej ziemi, która miała stać się jej drugą ojczyzną.

Przeszli kilkanaście kroków trotuarem wzdłuż nabrzeża i weszli do budynku dworca. Jeszcze długi korytarz i barierka z budką dla oficera WOP-u. Graniczna kontrola dokumentów.

Michał szedł na przedzie. Podał swój brazylijski paszport. Nadal był nie kapitanem Wyganowiczem, lecz jubilerem Diego de Periera. Porucznik dokładnie obejrzał (podany mu paszport zagraniczny. Sprawdził czy wiza jest w porządku i czy fotografia odpowiada wyglądowi właściciela. Znalazł, że wszystko jest w porządku i z rozmachem przybił stempel.

— Pani dowód? — zwrócił się do stojącej za kapitanem Szwedki.

— Ta pani jest ze mną — próbował wyjaśnić Wyganowicz.

— W porządku — zgodził się podporucznik WOP-u — proszę o jej paszport.

— Pani zdecydowała się tak nagle na wyjazd — tłumaczył rzekomy jubiler — że nie zdążyła wziąć ze sobą paszportu. Ma tylko prawo jazdy.

Margo chociaż nie rozumiała ani słowa z tej toczącej się w polskim języku rozmowy, doskonale orientowała się o co chodzi i podała podporucznikowi zielony kartonik z fotografią i szwedzkim tekstem. Wopista obejrzał podany mu dokument i zwrócił go Szwedce.

— Jeżeli pani nie ma paszportu — wyjaśnił — musi pani wracać spowrotem tym samym promem do Szwecji — zdecydował — proszę natychmiast wrócić na „Gryfa” albo do restauracji „Baltony” i tam czekać do odjazdu.

— Ależ poruczniku — interweniował Wyganowicz — pani specjalnie przyjechała do Polski. Pozwólcie jej jechać do Warszawy, tam postaramy się o zgodę na dalszy jej pobyt w tym kraju.

— Niestety nie mogę — podporucznik rozłożył ręce.

— Takie są przepisy.

— Może jednak...

— Nie da rady.

Dziewczynie łzy stanęły w oczach. Michał też nie miał najweselejszej miny. Podporucznikowi zrobiło się ich żal.

— Idźcie do dowódcy — poradził — może on będzie mógł wam coś pomóc? To te drugie drzwi na lewo.

Margo i Wyganowicz zapukali i weszli do środka. W małym pokoiku siedział przy biurku oficer WOP-u z dystynkcjami kapitana. Michał wytłumaczył w jakiej sprawie przybywa.

— Jak można bez dokumentów wybrać się w taką drogę? — oficer WOP-u nie wiedział, czy się śmiać, czy gniewać. — I co ja teraz z wami mogę zrobić?

— Niech pan, kapitanie — prosił Wyganowicz — tylko pozwoli jej dojechać do Warszawy. Tam sobie jakoś

poradzimy.

— Poczekajcie chwilę — oficer wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Kiedy po paru minutach wrócił, był w znacznie lepszym humorze.

— W drodze wyjątku — wyjaśnił — uznamy, że ta pani zgubiła na promie swój paszport zagraniczny. Po prostu wypadł jej z torebki tak nieszczęśliwie, że wleciał do morza. Wydamy pani tymczasowe zaświadczenie z prawem pobytu w Polsce, powiedzmy — lekko się zawahał — na siedem dni. Jeżeli w tym czasie ambasada szwedzka w Warszawie zgodzi się wystawić drugi paszport, to w wizę zaopatrzyć się w Komendzie Milicji w Pałacu Mostowskich. Wystarczy? To maksimum tego co mogę dla was zrobić.

— Bardzo dziękujemy, panie kapitanie — Wyganowicz był uszczęśliwiony z tak pomyślnego załatwienia sprawy.

— W takim razie zaraz wystawię odpowiednie zaświadczenie. Proszę tylko o to prawo jazdy, bo muszę mieć personalia tej pani. Państwo niech przejdą do drugiego pokoju i tam zaczekają.

A w tym drugim pokoju na stole leżał piękny duży bukiet czerwonych róż, a za stołem siedział... bezpośredni zwierzchnik kapitana Wyganowicza, pułkownik Stanisław Mogajski.

Kapitan na widok „starego” najpierw tak się zdziwił, że aż wypuścił z rąk walizkę. Ale natychmiast odzyskał przytomność i przepisowo stanął na baczność. Był pewien, że zaraz dostanie największą w swojej służbie burę. Ale pułkownik z energią, której nikt by się nie spodziewał po tym dość tęgawym mężczyźnie o jowialnym wyglądzie twarzy, zerwał się zza biurka i podchodząc do podwładnego wyciągnął rękę.

— Kapitanie — powiedział Mogajski ściskając dłoń Michała — w imieniu służby dziękuję za wzorowe wypełnienie powierzonego wam zadania. Margareta — pułkownik przeszedł na angielski — witam panią serdecznie na polskiej ziemi i cieszę się, że właśnie mnie przypadł zaszczyt powitania pani w jej przyszej ojczyźnie. Życzę wiele, wiele

szczęścia.

Pułkownik szarmancko ucałował dłoń dziewczyny i wręczył jej bukiet pięknych róż.

— No, stary — dodał otwierając ramiona — winszuję. Daj pyska!

Wyganowicz ze zdziwienia nie mógł głosu wydobyć z gardła. Margo zaś śmiała się, dziękowała za kwiaty i tuliła twarz w czerwonych płatkach.

Za chwilę wszedł kapitan WOP-u. Zwrócił dziewczynie dokument i wręczył jej tymczasowe prawo pobytu w Polsce. Jeszcze raz pouczył Margaretę, że w stolicy musi się natychmiast zgłosić do ambasady szwedzkiej.

— No, dzieci — zdecydował pułkownik — podziękujcie kapitanowi i nie zawracajcie mu dłużej głowy. Rozmawiać możemy i w holu.

W holu dworca morskiego stała spora grupka. Wśród nich Wyganowicz bez trudu rozpoznał charakterystyczną sylwetkę przewodniczącego Polskiego Komitetu do Spraw Atomistyki i łysą głowę naczelnego dyrektora Zjednoczenia Materiałów Rozszczepialnych. Było tam jeszcze dwóch wiceministrów, jakieś kobiety i kilku młodych urzędników z bardzo ważnymi minami.

Właśnie z odprawy celnej wychodzili dwaj uczeni. Krępy, siwy z nieodłączną teczką zapiętą na łańcuszku. Młodszy niósł niedbale w rękę niewielką, czarną walizeczkę. Grupka zgromadzonych w holu ruszyła na ich spotkanie.

— Serdecznie witam pana profesora — przewodniczący w towarzystwie jednej z pań, trzymającej kwiaty, wysunął się nieco do przodu. — Bardzo się cieszę, że wszystko ułożyło się tak pomyślnie i że pan profesor w tak rekordowo krótkim czasie nie tylko zapoznał się z całym procesem produkcyjnym, ale, jak nam donieśli ze Svenska Atom, jeszcze dokonał tam szeregu istotnych ulepszeń.

Przewodniczący gorąco ścisnął rękę... młodszemu z dwójki uczonych. Towarzyszka przewodniczącego również przywitała się najpierw z tym młodszym i wręczyła mu kwiaty, a dopiero później podała rękę siwemu mężczyźnie z

teczką na łańcuszku.

— Gorąco witam i pana inżyniera Malinowskiego — przewodniczący zwrócił się do drugiego z uczonych — znamy pańskie przygody i cieszymy się, że miały one pomyślne zakończenie.

Margo nie znająca języka polskiego pytała, co tu się dzieje, ale Michał Wyganowicz nie był zdolny do udzielenia jakiejś sensownej odpowiedzi. W ogóle nie był zdolny do żadnego myślenia. Cały czas wpatrywał się w młodego, opalonego mężczyznę, tego samego, co niezmordowanie bawił się noc w noc w barze „Minerva-Palace-Hotelu”, i na którego tyle się naskarżył w swoich raportach. Teraz tego niestrudzonego podrywacza wszyscy tak honorowali i nazywali „panem profesorem Jabłoniowskim”.

Kiedy ceremonia powitań została wreszcie zakończona, do obu uczonych podeszło czterech mężczyzn. Dwóch z nich dźwigało sporą, stalową kasetę.

— Jesteśmy z banku. Opancerzony samochód czeka przed budynkiem. Może pan profesor będzie uprzejmy wydać nam dokumenty. Zamknie je pan w tej kasecie, którą przewieziemy pod konwojem do naszego skarbcza. Tam papiery będą zupełnie bezpieczne.

— Doskonale — zgodził się młody uczyony.

Wyganowicz uważnie obserwował tę scenę. Był pewien, że tak pilnie strzeżona przez niego teczka nareszcie spocznie w bezpiecznym miejscu, lecz znowu spotkało go rozczerowanie. Był to dzień pełny niespodzianek. Inżynier Stanisław Malinowski ani myślał o rozpięciu łańcuszka. Za to młodszy z uczonych podniósł swoją walizeczkę i otworzył. Na samym wierzchu leżał gruby plik fotografii, które ku wielkiemu niezadowoleniu najstarszych i najmłodszych panów nie mają u nas debitu. Profesor wcale się nie zmieszał zdziwionymi spojrzeniami otaczającej go grupki. Wziął pornograficzne zdjęcia i przełożył je do stalowej kasy.

— To jest komplet — powiedział — cała dokumentacja wyrobu katalizatora, łącznie z jego formą chemiczną. Wystarczy odwrotną stronę zdjęć naświetlić promieniami

podczerwonymi. Pilnujcie, panowie, tych zdjęć, jak oka w głowie. W Sztokholmie codziennie umierałem ze strachu, że ktoś może je rozszyfrować.

Przedstawiciele banku z całą powagą zamknęli kasetę na kilka skomplikowanych kluczy i wynieśli z budynku dworca morskiego. Opancerzony samochód wystartował do Warszawy.

— No, kapitanie — zdecydował pułkownik — wasza rola nareszcie się skończyła. Mam tu swój wóz, najpierw pojedziemy na śniadanko do Szczecina, a później do Warszawy. Po tych wszystkich emocjach należy wam się odpoczynek. To chyba będzie urlop okolicznościowy z okazji zmiany stanu cywilnego?

Wyganowicz nie zdobył się na żadną odpowiedź. Zakończenie przeszło jego oczekiwania.

Dopiero, kiedy auto po wyjeździe ze Szczecina, pędziło do stolicy, kapitan odzyskał mowę.

— Ale pułkownik zrobił mnie w konia!

— Nie ja, kapitanie, nie ja. Kiedy dostałem wasz pierwszy raport, długo nie mogłem zrozumieć, o co wam chodzi. Opisywaliście, że profesor Jabłoniowski, krępy, siwy pan, zajął apartament na czwartym piętrze, a jego asystent pokój na szóstym. A przecież ja znałem obydwóch. Od razu więc zorientowałem się, że jest odwrotnie. Cała maskarada zaczęła się przypadkowo. Kiedy obaj Polacy wylądowali na lotnisku w Sztokholmie, tam oczekiwał ich jeden z dyrektorów Svenska Atom wraz z małżonką. Dyrektor najpierw przywitał się z tym starszym, inżynierem Malinowskim, tytułując go cały czas „profesorem”, a żona dyrektora wręczyła mu kwiaty. Na młodego ledwie zwrócili uwagę.

Wtedy właśnie profesorowi Jabłoniowskiemu przyszedł doskonały pomysł, aby Szwedów nie wyprowadzać z błędu. Do końca pracował jako... „młody, zdolny asystent, prawa ręka profesora, wprowadzający nawet pewne ulepszenia”, toteż przez palce patrzono na jego hulanki. Zresztą w recepcji „Minerva-Palace-Hotelu” powtórzyła się ta sama scena. Portier z całym szacunkiem powitał starszego pana i

wręczył mu klucz do apartamentu na czwartym piętrze. Właśnie dla lepszej maskarady, prawdziwy Jabłoniowski udawał złotego młodzieńca i codziennie szalał w hotelowych knajpach.

— No, tak bardzo znowu się nie poświęcał — mruknął kapitan, przypominając sobie, jakie to piękne kociaki podrywał młody uczonek.

— Na ten kawał dali się też nabrać i wszyscy agenci. Polowali na starszego pana i na jego teczkę. A tajemnice leżały na wierzchu stołu, w nie strzeżonym, często nawet otwartym pokoju na szóstym piętrze. Niejeden agent, mówię naturalnie o kobietach — pułkownik mrugnął do kapitana — nieraz miał je w ręku, lecz nikomu do głowy nie przyszło, że to, o co tak walczą i zabijają się, mają tuż przed nosem.

— A ja tak osmarowałem tego Jabłoniowskiego w swoich raportach!

— Zapewne podobnie jak wy, kapitanie, wyrażali się o nim i rezydenci Langley czy Pullach.

— A co było w teczce?

— Inżynier Malinowski pisze właśnie doktorat na temat budowy kryształów miedzi i swoją pracę chował do tej teczki.

Zapadło milczenie. Wreszcie Michał Wyganowicz zdobył się na odwagę i zapytał pułkownika:

— A o Margarecie skąd pułkownik wiedział?

— Synku! — uśmiechnął się dobrodusznie oficer. — Jakżebym mógł wysłać na tak niebezpieczną misję swojego człowieka, nie zapewniwszy mu asekuracji? Wiedziałem o każdym waszym kroku. Nawet o tych nieporozumieniach, wtedy o świcie.

— Ale skąd te kwiaty? Przecież pułkownik nie mógł wiedzieć, że Margo jedzie ze mną — upierał się młodszy z oficerów. — To się stało w ostatniej chwili. Decyzja zapadła na kilka minut przed odjazdem.

Mogajski głośno się roześmiał.

— Tylko idiota wypuściłby taki skarb ze swoich rąk. A ja was, kapitanie, znacznie wyżej cenię.

KONIEC



Wydawnictwo „Śląsk”

lesiojot